



Roberto Pazzi
Konklawe

w
a
b

ROBERTO PAZZI

KONKLAWE

przełożyła Alina Pawłowska-Zampino

CONCLAVE

Spis treści

Strona tytułowa

	1								
	2								
	3								
	4								
	5								
<u>6</u>	<u>7</u>	<u>8</u>	<u>9</u>	<u>10</u>	<u>11</u>	<u>12</u>	<u>13</u>	<u>14</u>	<u>15</u>
	<u>16</u>								
	<u>17</u>								
	<u>18</u>								
	<u>19</u>								
	<u>20</u>								
	<u>21</u>								
	<u>22</u>								
	<u>23</u>								
	<u>24</u>								
	<u>25</u>								
	<u>26</u>								
	<u>27</u>								
	<u>28</u>								

Nie potrafił odgadnąć, która jest godzina, bo przez całą noc miał wrażenie, że świt szarzeje już za oknem. Pewnie za sprawą światła, które paliło się przez cały czas w oknie po drugiej stronie podwórza.

Wstając z łóżka, dostrzegł na ciemnożółtych, matowych szybach mieszkania naprzeciwko cienie jakichś postaci. W tej samej chwili usłyszał przeciągły skowyt psa, przypominający bardziej skargę niż wycie, jakby miał przyciągnąć uwagę tych, co poruszają się za oknami na wyższych piętrach. Może chodziło właśnie o niego albo o nieznanomych mieszkańców pokoju za matowymi szybami. Podwórze jest tak wąskie i ciemne, że z góry psa nie widać – o ile rzeczywiście tam jest.

Teraz dzwony rozpoczynają swój koncert na przywitanie rzymskiego dnia i zagłuszają zawodzącego psa. Zwiastują pierwsze msze. Podczas porannych nabożeństw modlitwy księży i myśli wiernych będą pewnie skupione na tym, co dzieje się w pałacu, w którym on spędza bezsenne noce.

Nie wszyscy jego współtowarzysze, znakomici goście tego skrzydła Pałacu Apostolskiego, cierpią na bezsenność.

Pewnego ranka do zebranych w Kaplicy Sykstyńskiej dołączył ze sporym spóźnieniem jeden z najmłodszych, świeżo nominowany kardynał z Irlandii. Natychmiast ktoś z tych, co gotowi są zawsze interpretować wszelkie zdarzenia jako znaki i proroctwa, wyciągnął z tego wniosek, że w tym właśnie dniu zostanie wybrany Irlandczyk. Przewidywania te nie sprawdziły się podczas żadnego z dwóch głosowań. Przedłużony sen nie był, jak się okazało, sprawą Ducha Świętego, ale słabości ciała.

Jeden z najstarszych kardynałów elektorów, podobnie jak on spędzający wiele bezsennych nocy, madrytczyk Oviedo, wspominał coś, co tylko dwóch innych kardynałów mogło jeszcze pamiętać – a mianowicie, iż podczas ostatniego konklawe, kiedy to zresztą wszystko zdecydowało się w krótkim czasie, w pomieszczeniach pałacu panował o wiele większy spokój. Ale

Rzym był wtedy całkiem innym miastem, hałas ruchu ulicznego tutaj nie docierał.

„Postaraj się o woskowe zatyczki do uszu, podobne do moich, a nie będziesz miał problemu” – poradził z właściwą sobie ironią kardynał z Palermo, Celso Rabuiti, obecny przy skargach starego Hiszpana.

Ciekawe, kto śpi za tymi matowymi szybami? Nie potrafił tego odgadnąć, chociaż wydawało mu się, że w tej części pałacu na trzecim piętrze mieszkają prawie wyłącznie włoscy kardynałowie^[1].

To oni najczęściej spotykają się z sobą w przerwach między kolejnymi głosowaniami, żeby się porozumieć co do osoby, na którą powinni oddać głosy. Utrata papieżstwa ciąży Włochom; mówi się, że pewien polityk wysokiej rangi w imieniu rządu usiłował wyrzucić nacisk na jednego z włoskich członków Świętego Kolegium:

„Niechby nawet był z Południa, niechby był stary, ale niech to będzie Włoch, bardzo proszę, Eminencjo! Włochy, które straciły w Europie należne sobie miejsce, pokładają w was wielką nadzieję... wybierzcie Włocha...”

Duchy dawnych czasów, kiedy to kardynał Puzyna z Krakowa zgłosił *veto* cesarza Austrii podczas konklawe, z którego potem wyszedł jako papież kardynał Sarto... Obecnie ingerencje są o wiele mniej bezpośrednie i bardziej zawoalowane; nie wierzy więc, żeby któryś z włoskich polityków zachował się w ten sposób.

Te ruchliwe cienie za matową szybą, te nierozpoznawalne postacie, tak aktywne w ciągu nocy, są jak chiński teatr cieni, w którym słowo zastąpione jest ciszą i gestem; jak teatr, który naśladuje życie, odwołując się do jego podstawowych potrzeb. Są wśród nich: władza, miłość, gniew, uleganie pokusom, tajemnica, spiskowanie, modlitwa...

Z pewnością nie jest to jedyny pokój, w którego oknach pojawiają się o tej porze cienie gestykułujących postaci. Innych cieni jednak nie widzi, ich istnienia może się tylko domyślać – tak jak istnienia milionów ludzi, którzy w tym momencie w jednej połowie świata odpoczywają i śnią, a w drugiej

biegają jak oszalałe mrówki, żeby następnie zamienić się rolami.

Zaskakiwało go zawsze, że z takim trudem przychodziło mu wyobrażanie sobie życia osób nieobecnych, zwłaszcza najbliższych, kiedy był od nich daleko. Myślenie o nich nie przywraca im pełnego życia, sprawia tylko, że czuje się jeszcze bardziej samotny. Dlatego tak bardzo lubi fotografie i rozmowy telefoniczne, chociaż pogłębiają jego tęsknotę.

Cienie na szybach wciąż się poruszają. Na ich widok przychodzi mu do głowy tyle pytań, tak bardzo jest ciekawy, co będzie potem – kiedy znikną z okna, by pojawić się w drzwiach pokoju naprzeciwko, jako ludzie z krwi i kości – że wątpi, czy tej nocy zdoła na powrót zasnąć.

Nie chce jednak budzić Contariniego. Sądząc po absolutnej ciszy w sąsiednim pokoju, jego sekretarz i kapelan śpi jeszcze. Spogląda na telefon. Może zadzwonić do Clary, siostry, która mieszka w Bolonii? Ale o tej godzinie nie może jej zakłócać spokoju. Ciekawe, czy Francesco zdał egzamin z budownictwa? To było jego drugie podejście, prosił, żeby się za niego pomodlić.

Zdjęcie Francesca z matką, oprawione w srebrną ramkę, wszędzie mu towarzyszy. Z wiekiem siostrzeniec robi się coraz mniej podobny do ojca. Ale do niego też nie jest podobny, ma w sobie coś z babci i z ich brata, biednego Carla – może nos albo usta – kiedy się śmieje. Wujkowie często okazują się bardzo ważni przy szukaniu podobieństw, czasem dzieje się to kosztem niezamierzonego odkrywania rodzinnych sekretów...

Próbuje na powrót zasnąć, zmuszając się do pozostania w łóżku. Jest dopiero piąta rano, przed siódmą nie może odprawić mszy w asyście Contariniego. Mógłby się pomodlić zamiast fantazjować na temat cieni w oknie naprzeciwko czy podobieństw rodzinnych. Wiele osób prosi go o to: „Eminencjo, proszę pamiętać o mnie w swoich modlitwach!” I prawie wszyscy powierzają mu jakieś strapienie, ból, cierpienie czy tajemnicę.

Patrzy na złożony klęcznik z czerwoną poduszką pod krucyfiksem – mebel, który na pewno znajduje się w pokojach wszystkich stu dwudziestu

siedmiu kardynałów obecnych na konklawe. Myśli o tych mężczyznach, odzianych jednakowo w czerń i purpurę, oddających się modlitwie w podobnej pozie, wykonujących te same gesty. Istna modlitewna linia montażowa. Nie dołączy do nich. Może się modlić, leżąc w łóżku, patrząc na malunki na kolebkowym suficie, na złożone framugi drzwi, na rzeźbioną szafę, mieszczącą w swoim wnętrzu ołtarzyk, przy którym odprawia msze święte.

Zaczyna odmawiać różaniec za tych, którzy go o to prosili i o których wie, że cierpią najbardziej. Za matkę dwudziestoletniego chłopca, umierającego na raka. Za ojca dwóch narkomanek, uważanych przez rok za zaginione i niedawno odnalezionych, które leczą się teraz w ośrodku odwykowym. Za wdowę niemającą nikogo bliskiego. Za burmistrza pewnego miasta i prezesa pewnej wielkiej spółki przemysłowej, którzy nie odważyli się wyznać, dlaczego proszą o jego modlitwę. Kto wie, może mają wyrzuty sumienia albo boją się, że wykryje się ich udział w jakiejś aferze finansowej?

Kiedy się modli, ma wrażenie, że nad tą grupą wiernych unosi się aura tchórzostwa, nałogów, słabości, egoizmu: taki jest materiał, z którego stworzone są istoty ludzkie – również on sam, a także ruchliwe postacie za matową szybą. Ale jednocześnie człowiek posiada niezwykłą zdolność do bezinteresownej ofiarności, do poświęcenia się za kogoś, kogo kocha. Jedyłą siłą zdolną do uwolnienia człowieka od egoizmu jest miłość. Cud miłowania innego człowieka ponad siebie samego zdarza się jeszcze. Patrzy na krucyfik. Jest czarny i uduchowiony w formie. To dzieło jakiegoś osiemnastowiecznego rzeźbiarza, który naznaczył je flamandzką czy może jeszcze bardziej północną ekspresją.

Przebity bok, kości mocno zaznaczone pod skórą, ciało Wygięte i naprężone, twarz naznaczona cierpieniem, opaska na biodrach rozwiana, jakby szarpana gwałtownym wiatrem. Widział podobne krucyfiksy w muzeum w Sztokholmie, mieście bardzo odległym od wpływów klasycyzmu.

Odwraca wzrok. Niechętnie modli się przed tym krzyżem. Odkłada różaniec na nocny stolik. Zamyka oczy. Może odmawianie *Ave Maria* sprowadziło na niego sen, a może była to chęć odsunięcia chwili, kiedy będzie musiał wstać z łóżka, odprawić mszę, wyjść z pokoju. Często uciekamy w sen, by uniknąć tego, czego nie lubimy.

Z pokoju obok dobiegają hałasy, monsignore Contarini wstaje z łóżka i otwiera jakieś drzwi. Pierwszy atak kaszlu. I pierwszy papieros, zapalony po kryjomu.

Wie, że potem kapelan otworzy okna, aby wypuścić dym. Podczas wszystkich tych lat służby sekretarz wiele razy próbował rzucić palenie.

Teraz już na pewno nie zaśnie.

Prawda jest taka, że nie potrafi się już modlić. Porusza ustami, ale myśli uciekają daleko, a przed oczami przewija się film o życiu innych ludzi. Podczas konklawe – w tych dniach przymusowych wakacji, kiedy zwykłe, codzienne życie zostaje zawieszona – nasiliło się u niego pewne niezwykle pragnienie, które narodziło się w ostatnich czasach. Jest to chęć wyjścia z siebie – po to, by śledzić życie innych ludzi i zapomnieć o własnym. Uważa się go za wspaniałego spowiednika. Szkoda tylko, że obowiązki arcybiskupa wielkiego miasta przemysłowej północy kraju pozwalają mu na wypełnianie tej misji zaledwie parę razy w roku.

Kiedyś, podczas jednej z wizyt pasterskich w małym prowincjonalnym miasteczku, spędził prawie cały dzień na słuchaniu spowiedzi. Najbardziej zadziwili go młodzi ludzie, klękający przed konfesjonalem. Było ich niewielu, ale zasypywali go pytaniami, włącznie z tymi najbardziej osobistymi. Widział, jak bardzo zależało im, by nie zerwała się nić porozumienia, nawiązana ze spowiednikiem. Tej młodzieży nie chodziło o sprawy wiary, ale o to, by znaleźć się w centrum czyjegoś zainteresowania, a jednocześnie wyrazić własną potrzebę miłości, i o to, by przy tej niecodziennej okazji opowiedzieć komuś o własnym życiu bez wstydu i skrępowania.

Przez kratę konfesjonału widział wpatrzone w niego oczy, ogolone głowy, często z błyszczącymi kolczykami w uchu czy w nosie.

Na pytanie jednego z nich, czy wkrótce wróci, zaciekawił się:

– Dlaczego mnie o to pytasz?

– Bo chciałbym wyjechać stąd z Jego Ekscelencją.

– Ze mną? A niby dlaczego?

– Bo tutaj nikt mnie nie chce wysłuchać, przed wszystkimi muszę udawać.

– Ale co ty ukrywasz? Dlaczego musisz udawać?

– Wszystko muszę ukrywać, dokładnie wszystko. Że nie chce mi się pracować, że chciałbym podróżować i być bogaty. Że chciałbym jeździć ferrari, a nie fiatem punto mojego ojca, że podoba mi się dziewczyna kolegi, że chciałbym mieszkać w mieście...

– W mieście?...

– Tak, i dlatego chciałbym pojechać do Turynu z Jego Ekscelencją. Czy Jego Ekscelencja nie potrzebuje przypadkiem kierowcy albo kucharza? Umiem prowadzić samochód, robię pyszne naleśniki, pizzę też i co najmniej trzy rodzaje sosu do makaronu...

– Ja mało jem – makaron, sałatę, trochę mięsa...

– To jeszcze lepiej, z tym nie będzie problemu.

– Ale ja jestem kardynałem i arcybiskupem, życie przy mnie byłoby dla ciebie bardzo nudne. A ile ty masz lat?

– Dziewiętnaście.

– Nudziłbyś się strasznie... dla ciebie jestem już staruszkiem, mam sześćdziesiąt trzy lata.

– Zawsze wolałem przestawać z ludźmi starszymi niż z młodymi; są bardziej interesujący, a poza tym Jego Ekscelencja jest kimś, na pewno bym się nie nudził.

– Ja też byłem młody, zanim stałem się interesującym staruszkiem. Każdy wiek jest piękny, nie śpiesz się, przeżyj swoją młodość jako dar, bo szybko się skończy.

– To takie gadanie. Młodych nikt nie chce. Młodzi są niczym.

– Ale właśnie to „nic” jest Bogu najmilsze. Przypomnij sobie, co mówi Pismo Święte o dzieciach: „Jeżeli nie będziecie tacy, jak te dzieci, nie wejdziecie do Królestwa Bożego”.

Pamięta, że po tych słowach chłopak nagle zamilkł. Nie dlatego, żeby go przekonał. Wręcz przeciwnie. Chyba właśnie cytowanie Pisma Świętego oddaliło go. Spowiedź była tylko pretekstem, żeby zbliżyć się do gwiazdy, do kogoś, od kogo bił magiczny blask sukcesu.

W małym prowincjonalnym miasteczku kardynał jest kimś takim jak aktor czy biznesmen, prawie jak piłkarz czy piosenkarz. Zresztą między młodymi słuchaczami seminarium też niejeden marzy o karierze kościelnej.

Kariera w Kościele...

On wszedł na najwyższy szczebel z możliwych, znalazł się w Kolegium Kardynalskim. I w tym miejscu rozpoczęła się jego tęsknota za niższymi stopniami, za początkami w bolońskim seminarium.

Ponownie podnosi się z łóżka, słyszy, że ruchy Contariniego stają się coraz szybsze, to dyskretny sygnał dla niego, że pora przygotować się do mszy świętej.

Podchodzi do okna i patrzy na zewnątrz; zrobiło się jaśniej, okno naprzeciw, z matowymi szybami, nie odróżnia się już tak wyraźnie, gestykujące cienie zniknęły, ale pies wciąż jeszcze szczeka.

Podnosi oczy; błękit rzymskiego nieba jest inny niż w jego mieście. To błękit lapis-lazuli, przedsmak nieba Afryki. I nigdy nie ma porannych mgieł, jak w jego stronach. Łatwiej się tu budzić.

Przechodzi do łazienki, patrzy na wannę na lwich nogach, na owalne okno z matową szybą. Przychodzi mu na myśl, że sto dwadzieścia siedem podobnych łazienek służy o tej porze dnia takiej samej liczbie wiekowych kardynałów. Przygląda się swojej twarzy w lustrze. Powinien się ogolić, wczoraj tego nie zrobił, ma wyraźny zarost.

Minęło już pięć dni, od kiedy zostali zamknięci na konklawe po wydaniu

przez kardynała kamerlinga polecenia *extra omnes*. Drzwi pałacu są zapieczętowane, ze światem zewnętrznym można kontaktować się jedynie po uprzednim powiadomieniu o tym asystentów kamerlinga. Wszyscy powinni zostawić na zewnątrz telefony komórkowe. Wczoraj ktoś chyba złamał tę regułę, bo poproszono ich o oddanie telefonów na przechowanie, żeby uniknąć nieprzyjemnych sytuacji. Wie na pewno, że niektórzy Amerykanie mają telefony komórkowe zawsze ze sobą – widział ich, jak rozmawiali, i pewnie wielu robi to samo.

Podczas golenia zacina się starą brzytwą w lewe ucho. Boli go prawe ramię i dlatego nie ma pełnej kontroli nad swoimi ruchami. To reumatyzm, który ostatnio często mu dokucza. Taki sam ostry, przenikliwy ból czuje zawsze przy udzielaniu uroczystego błogosławieństwa z ołtarza swojej katedry, przy kaplicy, gdzie przechowywany jest całun turyński.

Nagle przychodzi mu na myśl gest błogosławieństwa *urbi et orbi*, udzielanego z łodzi Bazyliki Świętego Piotra. Przerywa golenie i patrzy na siebie w lustrze, z brzytwą w powietrzu. A gdyby on miał to robić?

Opiera się lewą ręką o brzeg umywalki i spuszcza oczy. Nie istnieje taka możliwość. Jego nazwisko nigdy nie padło w żadnych przewidywaniach, ani w Kurii, ani poza nią. Nie reprezentuje żadnego stronnictwa, nie ma poparcia w żadnej dykasterii Kościoła. Godność kardynalską uzyskał niedawno i jest na razie dokładnie obserwowany przez Watykan. Wie, że uważa się go raczej za duszpasterza niż za erudyte czy polityka. A typ duszpasterza nie jest najbardziej pożądany wśród kandydatów na Ojca Świętego. Po takim papieżu, jakim był ten ostatni, trudno przypuszczać, żeby spośród Włochów wybrano kogoś, kto żyje w cieniu. Wie jednak, że swoją kardynalską nominację zawdzięcza szacunkowi, jakim darzył go tamten niezapomniany człowiek.

– Gdyby opatrzność boża tak zrządziła i pozostałbym u siebie, w mojej diecezji, żyłbym tam podobnie jak Wasza Eminencja... – powiedział mu podczas śniadania spożywanego w gronie nielicznych wybrańców, kilka lat

po konsystorzu, podczas którego kreował go kardynałem. Po tych słowach papież dodał zaraz:

– Słyszałem, że w waszych stronach rodzi się mało dzieci, jest za to dużo rozwodów...

– To prawda. Jest to skutek źle przetrawionego dobrobytu, pozbawionego wartości duchowych. Muszą być i inne przyczyny, ale jeszcze ich nie znalazłem i szukam... szukam ich... – przerwał, odkładając srebrny widelec na porcelanowy talerz z Limoges. Nie chciał powiedzieć papieżowi, że szuka ich w sobie. Ale właśnie te słowa usłyszał z jego ust:

– I szuka ich Wasza Eminencja... w sobie.

Skinął twierdząco głową, patrząc na tego starego, zgarbionego człowieka. A więc potrafi czytać w jego myślach?

Tego pamiętnego dnia nie umknęło jego uwadze spojrzenie jednego z najbardziej wpływowych ludzi Kurii, kardynała Vladimira Veronello, kamerlinga Świętego Kościoła Rzymskiego, który przez całe śniadanie obserwował go uważnie, aczkolwiek bez życzliwości. Instynktownie wyczuł w nim nieufność, podejrzliwość i raczej antypatię niż szacunek, jak gdyby nawet ta krótka rozmowa ujawniła jego nikłe zdolności do kierowania Kościołem oraz wątpliwości, których zresztą nie starał się ukryć.

Tymczasem najwyżsi dygnitarze kościelni powinni sobą reprezentować niewzruszoną pewność, a więc cechę, której potrzebują miliony ludzi słabych i zagubionych. Miał wrażenie, że takie właśnie wnioski wyciągnął ów człowiek ze swoich obserwacji podczas tamtego śniadania.

Teraz Veronelli jest kamerlingiem, który wraz z kardynałem dziekanem Antoniem Leporatim przygotował w najdrobniejszych szczegółach machinę konklawe, mającą znaleźć następcę tego papieża, który tak wybitnie odznaczył się w historii. Jest tym, który mówi po łacinie, ale i zabrania używania telefonów komórkowych, by powstrzymać wyciek informacji. Tym, który – jak to się robi od wieków – pieczętuje drzwi zewnętrzne herbem ze skrzyżowanymi kluczami Piotrowymi pod parasolem wakującego

urzędu papieskiego, ale jednocześnie nie pozwala, by kardynałowie łączyli się z internetem i poznawali komentarze ze świata.

A on? Nie, on naprawdę nie ma żadnej szansy na to, żeby któregoś wieczoru tej łagodnej jesieni udzielić z łodzi Bazyliki Świętego Piotra błogosławieństwa *urbi et orbi*.

[1] Autor łączy w swej powieści bystre obserwacje watykańskiej rzeczywistości i specyfiki naszych czasów z elementami fantazji. Do sfery fantastycznej należą między innymi liczne opisy procedur konklawe, które obecnie, od pontyfikatu Jana Pawła II, wyglądają inaczej, niż to opisuje Pazzi. Procedury te określone są dokładnie w konstytucji apostolskiej *UNIWRSI DOMINICI GREGIS* z 1996 roku. Na jej mocy kardynałowie uczestniczący w konklawe nie mieszkają już w Pałacu Apostolskim, lecz w nowoczesnym Domu św. Marty. Tekst konstytucji znaleźć można m.in. pod adresem: http://www.opoka.org.pl/biblioteka/W/WP/jan_pawel_ii/konstytucje/unive (przyp. red.).

Ksiądz kardynał odprawia mszę świętą w asyście swojego kapelana, monsignore Giorgio Contariniego. W pewnej chwili promień światła pada na ołtarzyk, między szeroko otwarte drzwi szafy, i dociera do śnieżnobiałego obrusa i złotego kielicha. Promień, ciepły jak pieszczota, który przedarł się przez cień murów i okienne szkło, by spocząć między nim a hostią na korporale. Czuje go na prawym ramieniu, dokładnie tam, gdzie zwykle dokucza mu ból stawów. Działa kojąco, łagodzi cierpienie jak dotyk ręki kochającej osoby. Siostry, siostrzeńca, szwagra, szwagierki, wdowy po bracie, Contariniego, przyjaciół, którzy ożenili się po opuszczeniu seminarium, mają dzieci, a te z kolei swoje własne potomstwo... W jednej chwili wylicza w myślach te nieliczne, kochające go osoby, które pozostają jeszcze przy życiu. Są też umarli, tych jest o wiele więcej, lecz ich imiona nie pojawiają się tak łatwo w pamięci, zmarli jawią mu się jako szereg twarzy, ulatujących jedna po drugiej z pamięci, jakby z podmuchem wiatru, który oddziela je od imion i miesza między sobą.

Po kilku minutach zdumiewa samego siebie, kiedy podczas konsekracji wygłasza zdanie po łacinie. Contarini też okazuje swoje zdziwienie, obracając głowę, jakby chciał lepiej usłyszeć słowa Jego Eminencji: *Hoc est enim corpus meum*. Dlaczego powiedział to po łacinie? W tym języku jako dziecko po raz pierwszy wysłuchał mszy, niczego nie rozumiejąc, uczestnicząc w obrzędzie jak w jakiejś fantastycznej baśni.

Patrzy na hostię trzymaną w dłoniach: wydaje się uległa sile jego wiary w cud przeistoczenia chleba w ciało. Ileż to razy w ciągu swego życia wykonywał ten gest, czując się jednocześnie zmęczonym i niegodnym, pełnym wątpliwości, rozproszonym hałasem życia kipiącego wokół, obcego i bezsensownego. Trzymając hostię w dłoniach, doznawał wrażenia, że ta banalna codzienność zalewa go i porywa ze sobą – i nieraz niewiele brakowało, by poddał się poczuciu własnej śmieszności i porażki, by uznał

daremność wciąż nowego przemierzania kalwarii.

Teraz przeszkadza mu kaszel sekretarza, ale nie tylko: jego uwagę rozprasza też echo dalekiego klaksonu, zapach zaciągniętej woskiem podłogi, szybkie kroki na korytarzu, kroki kogoś, kto w szóstym dniu konklawe pośpiesznie zamyka i otwiera drzwi papieskiego pałacu. Wreszcie burczenie w pustym żołądku – ten odgłos zagłusza wszystkie inne, bo pochodzi z jego wnętrza, z niespokojnego, nieposłusznego ciała, obojętnego na cud, jaki dokonuje się w tym pokoju.

W swojej starej katedrze, kiedy nie potrafił skoncentrować się na hostii – kiedy w głębi swojej duszy nie znajdował jednoznacznej odpowiedzi na pytanie: „Czy wierzysz? Czy wierzysz, że ja jestem twoim Bogiem?” – mógł zawsze zrzucić winę na niewygodę szat liturgicznych, na powolność ceremoniału, na nachalność tłumów. Tutaj jednak znajduje się w niewielkim, cichym pomieszczeniu, w atmosferze skupienia i dyskrecji, i nikt nie wymaga od niego teatralnych gestów. Jest sam z hostią, jeżeli pominąć Contariniego, który stoi za jego plecami.

Dlaczego więc nie potrafi utożsamić się całkowicie z tym misterium, dlaczego nie umie odpowiedzieć na to pytanie? I czy taki człowiek jak on może być jednym z tych którzy mają wybrać papieża albo, co gorsza, spośród których papież mógłby zostać wybrany?

Kłęką przed hostią, jak zawsze. Promień słońca przesunął się, nie dotyka już jego ramienia, kiedy kardynał wstaje, żeby konsekrować wino.

Reszta mszy przepływa szybko, unoszona słowami, które pamięć przywołuje na usta; słowami martwymi jak bezimienne twarze tych, których kiedyś kochał i których już nie ma między żywymi. Zbiór precyzyjnych formułek, teraz już tylko w języku włoskim, zgodnie z reformą Soboru Watykańskiego II. Contarini przestał kasłać, jak gdyby nie chciał przeszkadzać w szybkim zakończeniu tego cichego biegu do końca obrządku, bez nowych potknięć i przystanków.

Po mszy sekretarz podaje mu śniadanie. Na stole, obok serwetki i filiżanki,

leży poczta, która przychodzi tu zawsze otwarta, z jednodniowym opóźnieniem. Przepisy konklawe nakazują ścisłą kontrolę.

Ze wszystkich stron pałacu dochodzą odgłosy budzącego się życia.

– Wasza Eminencjo, głosowanie zaczyna się o dziesiątej, za półtorej godziny. Przygotuję ubranie i teczkę z dokumentami. Potem muszę się śpieszyć na zebranie do prefekta Domu Papieskiego, wygląda na to, że są jakieś nowe pilne rozporządzenia.

– Pewnie zostaną wprowadzone zmiany, obecne reguły są przestarzałe... jak na przykład ta o kontroli poczty.

– Przyszła wiadomość od kardynała Palermo, wydaje mi się, że i jej cenzura nie ominęła.

– Ależ skąd, tego by tylko brakowało! Cenzura nie dotyczy wewnętrznego przepływu wiadomości między uczestnikami konklawe!

– Nie byłbym tego tak pewny.

Kardynał czyta list napisany odręcznie bardzo drobnym pismem:

„Drogi Ettore, musimy się spotkać przed porannym głosowaniem. Będę ja, Genua, Neapol, Mediolan, Florencja, Bolonia i Wenecja. Zależy nam także na Twojej obecności. To ważne. Spotkamy się u mnie”.

Co jest ważne? Żeby zawiązać porozumienie Włochów przeciwko kardynałom z Europy Wschodniej, o których od dawna mówi się jako o faworytach? A może przeciwko ciemnoskórym synom Afryki, którą wielu uważa za prawdziwą przyszłość Kościoła? A co z Azją? A problem Chin? Wybór Chińczyka – spadkobiercy idei zaszczepionych przez Mattea Ricciego – byłby wyzwaniem dla tamtejszego Kościoła – tajnego, prześladowanego, działającego poza prawem w kraju dla świata coraz ważniejszym, jakim są Chiny – i miałyby daleko idące konsekwencje.

Ponownie odczytuje listę: Genua, Neapol, Mediolan, Florencja, Bolonia, Wenecja – i on, z Turynu. Brakuje kardynałów z Kurii. To nie przypadek.

– Gdzie mieszka kardynał Rabuiti?

– We frontowej części, znam drogę. Musimy się pośpieszyć, jeżeli mam

odprowadzić Waszą Eminencję, bo chcę zdążyć na zebranie.

– Zaraz będę gotowy.

Wkłada sutannę z czerwoną lamówką i guzikami w tym samym kolorze, do tego purpurową piuskę. Zabiera teczkę z dokumentami i wkłada do niej nieprzeczytaną pocztę.

– Idziemy, księżę Contarini.

Wychodzi, zamyka drzwi na klucz i wręcza go sekretarzowi. Korytarze, do których nigdy nie dociera słońce, są zimne; ściany, na których tynk jest w wielu miejscach złuszczony lub nabrzmiały od wilgoci, wydzielają stęchły zapach. W oddali dostrzega zakonnicę skręcającą w sąsiedni korytarz. Czy to możliwe? Kobiety nie mają tu wstępu podczas konklawe.

– Czy to była zakonnica?

– Nie, Eminencjo, to benedyktyn w habicie.

Jak mógł popełnić taką pomyłkę? W tym świecie jest miejsce tylko dla mężczyzn. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu nowo wybrany papież poddawał się badaniom lekarskim, aby dowieść swojej męskości.

Obserwuje Contariniego szybko przemierzającego korytarz krokiem, którego nigdy nie potrafił dotrzymać. Unosi się za nim smuga zapachu wody kolońskiej, którą monsignore zwykł się skrapiać. Wygląda jak zwykle nienagannie w swoim świetnie skrojonym czarnym ubraniu, elegancki, o wypielegnowanych dłoniach, z włosami starannie zaczesanymi, w butach z ciemnymi, satynowanymi sprzączkami. Najlepszy z jego współpracowników, ale i najbardziej tajemniczy. Nie umknął jego uwadze błysk w oczach sekretarza, kiedy ten zaprzeczył, by osoba przechodząca sąsiednim korytarzem mogła być zakonnica.

Contarini to młody jeszcze mężczyzna, niedawno przekroczył czterdziestkę. W poufnych informacjach, dostarczonych kardynałowi, kiedy powoływał Contariniego na to stanowisko, przeczytał o jego małżeństwie, zawartym w bardzo młodym wieku i tragicznie zakończonym samobójstwem żony. Po jej śmierci Contarini szybko wybrał drogę

kapłańską. Nigdy nikomu nie zwierzał się na ten temat. Było jednak w tym eleganckim kardynalskim sekretarzu coś z niegdysiejszego żonkosia. Giorgio Contarini wciąż chciał się podobać; miało się wrażenie, że refleksy utraconego życia małżeńskiego odbijały się jeszcze w postaci kapelana, nieodłącznego anioła stróża swojego arcybiskupa.

Kardynałowi nie podobała się jego przesadna dbałość o wygląd zewnętrzny, ta skrupulatność, z jaką Contarini dobierał jego garderobę, ów upór przy wyborze kardynalskich butów, bielizny, mebli najwyższej jakości – podczas gdy jego faktyczne potrzeby były o wiele skromniejsze. Pozwalał mu jednak na to, doceniając wrażliwość Contariniego na kolory i zapachy, jego umiejętność właściwego dobierania potraw, kwiatów do dekoracji ołtarza czy prezentów, które przy rozlicznych okazjach należało wręczać wielu osobom, krążącym wokół kurii arcybiskupiej.

Kiedyś siostrzeniec kardynała, który przyjechał do Turynu na jego urodziny, zdradził się ze swoją zazdrością o Contariniego:

– Wujku, przynajmniej raz, w dniu twoich urodzin, moglibyśmy wyjść gdzieś na kolację sami, bez twojego giermka.

– Ale w domu będziemy czuć się swobodniej... – odparł, wykorzystując moment, kiedy sekretarz oddalił się, żeby odebrać telefon.

– Nie jestem pewien... Przy tym człowieku? A poza tym – widziałeś, ile on pali? O wiele więcej niż ja... – chłopakowi udało się znaleźć słaby punkt w tej chodzącej doskonałości, jaką jest Contarini.

Sekretarz przywołuje go do rzeczywistości:

– Eminencjo, pójdziemy tędy, krętymi schodami będzie szybciej – Contarini wskazuje drogę na prawo, w kierunku korytarza, w którym wcześniej zniknęła postać w habicie.

Nigdy nie traci orientacji, nawet w największym chaosie na rzymskich ulicach, gdy samochód – choć na masce ma chorągiewkę, która daje mu prawo pierwszeństwa – gubi się w morzu pojazdów. Contarini nie ustępuje drogi nikomu, zawsze gotowy do dyskusji z kierowcami i parkingowymi,

spokojny i pewny siebie, zwraca się do nich z wyższością, która albo rozwściecza adwersarza, albo osiąga cel – i wówczas Contarini może kontynuować jazdę bez przeszkód. W takich sytuacjach kardynał kurczy się w sobie i zasłania okna samochodu firankami, bo wstydzi się tego tonu. Nie odważa się jednak besztać swojego kierowcy, bo przecież osiąga on świetne rezultaty. Co nie oznacza, iż nie zdaje sobie sprawy, że Contarini zauważa jego zakłopotanie i znajduje wręcz przyjemność w prowokowaniu takich sytuacji, kiedy kardynał zależny jest od niego i musi powstrzymywać się od przywołania go do porządku.

Schodzi wąskimi krętymi schodami, unosząc prawą ręką kraj sutanny, żeby się o nią nie potknąć. Stare drewno stopni skrzypi przy każdym kroku. Przez górny świetlik sączy się słabe światło. Pomimo półmroku Contarini zdaje się dobrze widzieć i nie zwalnia szybkiego kroku. Zresztą dwuczęściowe ubranie pozwala mu na swobodniejsze ruchy. Na pierwszym piętrze dostrzegają drzwi, spod których ledwo sączy się słabe światło, za to głosy, jakie stamtąd dochodzą, są całkiem wyraźne. Rozmówcy przerywają swoją ożywioną dyskusję w chwili, gdy zdają sobie sprawę z czyjejś obecności na schodach.

Contarini zatrzymuje się i ogląda na kardynała. Wydaje się czekać na dalsze dyspozycje, ale po jego ustach błąka się uśmiešek.

– Chodźmy, księżo Contarini... Nie traćmy czasu.

Dopiero po chwili zdaje sobie sprawę, że szept, jakim wypowiedział te słowa, może zostać niewłaściwie zinterpretowany. Może sugerować, że sam jest współnikiem tych, co w zamkniętym pokoju prowadzą tak ożywioną rozmowę, i nie tylko nie chce im w niej przeszkadzać, ale i nie chce pozwolić, żeby ktoś odgadł, czego dotyczy. Stąd pośpieszne odejście od drzwi.

Nie dziwi go głośna replika sekretarza, którego wcale nie spieszyła ta sytuacja. Wręcz przeciwnie, widać, że z przyjemnością robi coś, co wprawia w zakłopotanie nieznanym mu ludzi za zamkniętymi drzwiami.

– Oczywiście, Eminencjo, już idziemy.

Dla kardynała ludzie ci nie są nieznani. Bez trudu wymieniliby ich nazwiska. Zeszli już o dwa czy trzy zakręty schodów, gdy usłyszeli odgłos otwieranych drzwi. Contarini natychmiast zatrzymuje się i wychyla przez poręcz.

– Księżę Contarini, proszę przestać, jesteśmy już spóźnieni!

Teraz i on, zirytowany, podniósł głos. Nie po raz pierwszy wyzywające zachowanie sekretarza ujawnia jego silną osobowość, ukrytą zwykle pod maską pokory i uległości, których wymaga charakter jego służby.

Contarini odstępuje od poręczy i znowu schodzi z pośpiechem.

Docierają w końcu do rozległego westybulu, gdzie łączą się schody i korytarz prowadzący do skrzydła zamieszkanego przez Włochów. Przekraczają próg drzwi z herbem Piusa X i słyszą czyjś głos:

– Eminencjo, jakież to honor! Księża kardynałowie zebrali się u arcybiskupa Palermo, brakuje tylko Waszej Eminencji. – To szambelan papieski wita go w drzwiach, całuje jego pierścień i prowadzi dalej, podczas gdy Contarini oddala się, żeby zdążyć na swoje zebranie.

– Proszę tędy, Eminencjo.

I znowu zaczyna się labirynt krętych korytarzy; tym razem wszystkie są na jednym piętrze, a ściany mają obwieszane herbami ostatnich papieży i portretami sekretarzy stanu: Merry del Val, Maglione, Gasparri, Tardini, Ecco. Za kolejnym zakrętem pojawia się długa lodžia, otwarta na dziedziniec świętego Damazego, zastawiona donicami z drzewkami cytrynowymi, łącząca się z jasnym, oszklonym korytarzem. Szambelan zbliża się do małych, prawie niewidocznych drzwi, wykrojonych w ścianie i o tym samym co ściana kolorze. Otwiera bez pukania i odsuwa się na bok, żeby przepuścić kardynała Turynu.

Natychmiast pojawia się Celso Rabuiti, arcybiskup Palermo, niski i okrągłutki, z twarzą nieodmiennie promieniującą radością i z ustami zawsze wygiętymi w uśmiechu. Ten wyraz twarzy nie zmienia się nigdy, nawet

wtedy, gdy Rabuiti uczestniczy w trudnych, ściśle poufnych sprawach. Jak ta, którą za chwilę będą musieli poruszyć.

– Jakże to miło z twojej strony, że przyszedłeś! Ja mówiłem naszym przyjaciołom: zobaczycie, że Ettore przyjdzie, zobaczycie, że nie zabraknie go na naszym śniadaniu!

Podskakując lekko jak wróbelek, bierze Malvezziiego pod ramię i podprowadza go tanecznym krokiem do drugich drzwi. Ledwie przekraczają próg, wybucha nowymi wylewnymi serdecznościami:

– Oto nasz drogi przyjaciel, przyszedł nasz Ettore!

Wszyscy siedzą wokół zastawionego stołu, na którym podano śniadanie o wiele obfitsze niż to przygotowane przez zakonnice w głównej kuchni, które dopiero co zjedli z Contarinim. Ogromny drewniany krucyfiks w stylu Donatella – zupełnie różny od gotyckiego krzyża, który wprawia go zawsze w smutny nastrój, gdy modli się na klęczniku w swoim pokoju – rysuje się wyraźnie na tle ściany ponad ich głowami. Wszyscy ubrani są podobnie jak on, gotowi, żeby udać się do Kaplicy Sykstyńskiej, gdzie za godzinę będą głosować.

Patrzy po kolei na twarze tych ludzi, którzy od lat pojawiają się razem z nim w prasie i w telewizji, którzy podczas włoskich podróży papieża są zawsze gotowi przyjąć go w swoich siedzibach i, z uśmiechem na stałe przylepionym do ust, siadają za nim w samochodzie papieskim, by wspólnie przedzierać się przez tłumy. Pamięta, co mówili dziennikarzom, którzy otaczali ich, kiedy wchodzili do watykańskich pałaców, co odpowiadali na pytanie o własne nadzieje na objęcie urzędu papieskiego. Niektórzy oświadczyli, że przeraża ich sama myśl o takiej ewentualności, inni twierdzili, że nie pragną niczego innego, jak tylko oddalić od siebie na zawsze ten kielich goryczy, jeszcze inni nazywali się niegodnymi takiego zaszczytu i nie chcieli o tym mówić. Wszystko to w zgodzie z odwieczną tradycją, która każe księżętom Kościoła wypierać się wiary w możliwość zostania wybranym, bo przyznanie się do takiej nadziei przynosi pecha.

Powszechnie wiadomo, że „kto wchodzi na konklawe jako papież, wychodzi z niego jako kardynał”. Tylko jego, oraz patriarchy Wenecji, dziennikarze nie pytali o nic.

Zauważa srebrne dzbanki pełne gorącej czekolady, takiej samej jak ta, którą podaje się papieżom po mszy, by wzmocnić tych sędziwych ludzi po długim poście.

Światło, zapalone pomimo jasnego dnia, wydobywa cały przepych wspaniałego barokowego serwisu ze srebra, który błyszczy na stole pod żyrandolem z weneckiego szkła. Rabuiti przysuwa mu krzesło.

– Usiądź, z pełnym żołądkiem lepiej się rozmawia, czekolada jest jeszcze gorąca, zaraz ci podam filiżankę.

3

– Tak, ten człowiek był niezastąpiony. Nie było dotąd w historii papieża, który podobnie jak on umiałby otworzyć się na świat, zrozumieć niepokoje i lęki dręczące ludzkość... Niemniej jednak trzeba wyznaczyć jego następcę. Jest to zadanie bardzo ważne, ale i bardzo trudne, jak zresztą zdążyliśmy się już przekonać. – Arcybiskup z Sycylii, jak zwykle pełen wigoru, szybko przechodzi do rzeczy: – Dlatego też musimy rozważyć nasze intencje i dobrze przygotować się do wyborów, ich wynik nie może zależeć tylko od przypadkowej większości głosów. Powinniśmy poszukać czegoś, co skupi w sobie nasze najwyższe ideały i nada naszym intencjom właściwy kierunek. Zgromadzenie głosów niezbędnych dla uzyskania wymaganej większości nie może być celem samym w sobie, jak to, niestety, było do tej pory. Wyrzucam sobie, iż dotąd nie postarałem się należycie zespolić naszych sił.

– To nie był czas stracony, Celso. Tak samo działo się na poprzednich konklawe. W pierwszych dniach odbywa się coś w rodzaju teatralnego widowiska, ale dzięki temu ma się sposobność, by odgadnąć, kogo wskazuje Duch Święty – uspokaja go arcybiskup Genui, Silvio Marussi.

– Duchowi Świętemu należy pomóc, kardynał Rabuiti ma rację – mówi swoim ciężkim, głębokim głosem Alfonso Cerini, arcybiskup Mediolanu, ten, na którego słowa wszyscy czekali, jakby chcieli poznać jego zdanie, zanim wypowiedzą się sami.

– To prawda, nie można uzależniać jego działania od ociężałych ludzkich umysłów – zgadza się z nim patriarcha Wenecji, Aldo Miceli.

– Ja jednak, z racji tego, że jestem prawdopodobnie najstarszy z zebranych – wtrąca kardynał z Florencji, Nicola Gistri – chciałbym wam przypomnieć, że kiedy zmarł Pius XII, znalezienie jego następcy też wydawało się niemożliwe. Podobnie było po śmierci Piusa XI czy Benedykta XV, a przede wszystkim w chwili wybuchu I wojny światowej, kiedy osierocił nas Pius X, dziś wyniesiony na ołtarze...

– Tak, nie należy upadać na duchu, nie pomoże nam to w dokonaniu dobrego wyboru! – kardynał z Bolonii Siro Ferrazzi, wypowiadając te słowa, dotyka sutanny na piersiach i odkrywa, że zostawił swój pectorał w celi.

– Zresztą niezwykle cnoty zmarłego Ojca Świętego, kiedy tylko zostaną poświadczone, posłużą do powiększenia listy świętych o jeszcze jednego papieża – mówi arcybiskup Neapolu, Salvatore Carapelle, nie spuszczać wzroku z zamyślanej twarzy duchownego z Mediolanu.

„Oczywiście, jeżeli rzeczywiście zostaną poświadczone... – Oto arcybiskup Mediolanu dorzuca swój kamień na trumnę zmarłego” – myśli Ettore Malvezzi i jednocześnie uzmysławia sobie, iż wszyscy czekają już tylko na jego zdanie.

I wtedy decyduje się obnażyć prawdziwe intencje wszystkich zebranych:

– Zebraliśmy się tutaj, bo chcemy wyznaczyć na papieża Włocha, a nie po to, żeby wybrać osobę najbardziej tego godną. Mam rację?

– Co ty mówisz, Ettore?! Pragniemy nade wszystko wybrać osobę najbardziej tego godną... a zarazem, o ile to możliwe, Włocha – poprawia go Rabuiti, który nawet wobec tego niedyplomatycznego wystąpienia nie gubi swojego uśmiechu. Zresztą jest wdzięczny Malvezziemu za sprowadzenie dyskusji na właściwe tory.

– Owszem, Włocha, chociaż nie za wszelką cenę. Powinniśmy jednak uczynić wszystko, co możliwe – zdradza się Carapelle, ale szybko żałuje swoich słów, gdy słyszy Ceriniego:

– Włocha za wszelką cenę. Za wszelką cenę!

W sali zapada głęboka cisza.

A zatem następca świętego Ambrożego zaproponował swoją kandydaturę i nikt już nie może nie brać tego pod uwagę. Jest to kandydatura poparta wielkim autorytetem Ceriniego i prestiżem miasta, z którego pochodzi. Malvezzi zauważa, że brakuje kardynałów z Kurii, którzy nie zostali zaproszeni na zebranie. Można jednak przypuszczać, że się opowiedzą za mediolańczykiem. Zresztą Cerini pochodzi z ich kręgów. Może to tylko

element taktyki: pozyskać sobie najpierw pasterzy diecezji, a potem polityków z Kurii Rzymskiej?

– Ettore, twoja czekolada całkiem wystygnie... – zauważa z troską Rabuiti. Rzeczywiście, Malvezzi nie skosztował ani kropli, bo od razu wciągnęła go ta błyskawiczna gra układów i porozumień, to wstępne badanie pola bitwy przed rozpoczęciem rozstrzygającej rozgrywki.

Ale czy można się temu dziwić? Miliony wiernych na świecie czekają, by poznać imię następcy świętego Piotra. To oczywiste, że cała ta stara machina musi być wprawiona w ruch, żeby doprowadzić do celu. Konklawe polega także na tym: na kularowej grze wśród nacisków i kompromisów, porażek i zwycięstw, która zakończy się z chwilą, gdy światu zostanie przedstawiona postać w bieli, uosobienie ideału ojca, pośrednik między Bogiem a człowiekiem, którego olbrzymia większość ludzkości wciąż tak bardzo potrzebuje.

Tę potrzebę zaspokajają też Dalajlama i imam izmailicki, patriarcha Moskwy, patriarcha Konstantynopola i wielu muzułmańskich ajatollahów. Każdy z nich odgrywa swoją rolę, by utwierdzić człowieka w przekonaniu, iż nie jest sam i że jego cierpienie, jego nieszczęścia, jego starość, a wreszcie śmierć mają swój sens, bo są dla Kogoś ważne. Ani na chwilę Bóg nie opuszcza swoich stworzeń, wszystko jest policzone i zważone, jedno wynika z drugiego, nic nie jest przypadkowe. Ludzie w to właśnie chcą wierzyć od najdawniejszych czasów, kiedy przerażeni błyskawicami i grzmotami wyobrażali sobie, że to znaki od ojca Zeusa. Nie inaczej jest w epoce internetu i samolotów ponaddzwiękowych, w epoce bomby atomowej i antybiotyków. Człowiek czuje się częścią potężnego towarzystwa wzajemnej pomocy, jakim są religie, wszystkie jednakowe w swoim współczuciu dla człowieka, który nigdy nie dorośnie i nie chce uwierzyć, że jest stworzony z Nicości.

Malvezzi pije swoją czekoladę, delektując się nienaturalną ciszą, jaka zapadła po słowach Ceriniego, nieskory do przerwania jej, o co prosi

błagalnym uśmiechem Rabuiti.

Zawodzący głos Carapellego wydaje się jeszcze wyższy, gdy odzywa się w chwili, kiedy nikt inny nie chciał tego zrobić:

– A więc, Alfonso, wszyscy oddamy głos na ciebie, jestem też pewny, że przedstawiciele wielu innych krajów zrobią to samo... Nas jest tylko siedmiu.

– Będziemy się musieli nieźle napracować, żeby przekonać innych – zauważa patriarcha Wenecji.

– Włochy muszą odzyskać swój prymat w rzymskim Kościele katolickim, wybór papieża o włoskiej krwi sprawi, że znów usłyszymy o odnowie siły całego narodu, przywróci Włochom dumę z ich uniwersalnego powołania, wyjątkowej inteligencji i wyrafinowanego smaku, które ostatnio zatraciły się w mieszaniu kultur obecnych w sercu Kościoła, wciąż jeszcze zbyt bliskich swoich barbarzyńskich korzeni...

Któż mógłby jeszcze powstrzymać następcę świętego Ambrożego teraz, gdy otrzymał takie poparcie? Sława jego sztuki krasomówczej już dawno dotarła do uniwersytetów, fundacji kulturalnych i towarzystw filozoficznych, gdzie wszyscy pozostają pod jej urokiem.

Tymczasem zawiadomiono księży kardynałów, że w Kaplicy Sykstyńskiej zaczyna się procedura związana z identyfikacją głosujących. Lepiej udać się tam od razu, tym bardziej że ewentualne spóźnienie całej grupy wzbudziłoby podejrzenia co do intencji Włochów.

Nikogo nie dziwi kandydatura Alfonso Ceriniego. Tylko Gistri, kardynał z Florencji, mógłby konkurować z tym człowiekiem, gdyby nie był na to za stary. Jest już właściwie wyłączony z biernego uczestnictwa w konklawe, podobnie jak wszyscy kardynałowie kierujący diecezjami, którzy mają ponad siedemdziesiąt pięć lat. W tym wieku zmuszeni są do złożenia rezygnacji z kierowania diecezją i nie głosuje się już na nich w Rzymie. Inaczej jest w przypadku kardynałów z Kurii, którym wolno zachować stanowiska po przekroczeniu granicy siedemdziesięciu pięciu lat.

Rozchodzą się bez dalszych komentarzy, pamiętając o tym, by pojawić się w Kaplicy Sykstyńskiej oddzielnie, tak jak polecił Celso Rabuiti.

Ettore Malvezzi, przechodząc krętymi schodami, którymi wcześniej prowadził go Contarini, myśli o wieku swoich kolegów, o tej radzie starców, w której uczestniczył. Myśli o tym, bo znowu słyszy te same młode głosy, które zaskoczyły go w drodze na zebranie. Słyszy ich najróżniejsze tony: od szyderstwa i ciętej drwiny po porywający, zaraźliwy śmiech; słyszy głosy, które potrafią wznieść się lub opaść w jednej chwili – a do tego głosy ludzi starych nie są zdolne.

Do kogo należą? Do członków personelu pomocniczego, kapelanów towarzyszących kardynałom, do kleryków i akolitów... Albo do członków gwardii szwajcarskiej, tej nikomu niepotrzebnej formacji wojskowej, gniazda rywalizacji i namiętności często tragicznych w skutkach, jak w przypadku potrójnego morderstwa, popełnionego przed laty przez młodziutkiego żołnierza.

Sprawa tej zbrodni rozpatrywana była przez jedyny w świecie wymiar sprawiedliwości, który mógł sobie pozwolić na to, by w kilka dni ustalić jedyną i ostateczną wersję wydarzeń, a potem odłożyć ją *ad acta* i spuścić na wszystko zasłonę milczenia. On jednak wie, co wydarzyło się tym trojgu: komendantowi gwardii, jego żonie i młodemu żołnierzowi. Poznał tego chłopaka – był siostrzeńcem jednego z jego starych przyjaciół z seminarium.

Przywołując na pamięć szczegóły tej wstrząsającej historii, opowiedzianej przez przyjaciela, którego spotkał kiedyś na konferencji teologicznej, dochodzi do otwartych na oścież drzwi Kaplicy Sykstyńskiej, osłoniętych tłumem prałatów, żołnierzy gwardii szwajcarskiej, kapelanów i kardynałów. Ci ostatni, po sprawdzeniu tożsamości, wchodzą pojedynczo i zajmują trony pod baldachimami. Sto dwadzieścia sześć baldachimów z taką samą liczbą tronów stoi rzędami wzdłuż dwóch dłuższych ścian kaplicy. Fotel kardynała kamerlinga, sto dwudziestego siódmego członka Świętego Kolegium, umieszczony jest osobno, blisko ołtarza.

Tylko jeden z tych baldachimów pozostanie podniesiony w chwili ogłoszenia nowego pontyfikatu rzymskiego, podczas gdy pozostałe sto dwadzieścia pięć, przy wtórze pieśni *Tu es Petrus*, opuści się na znak uznania nowego majestatu. W tym samym czasie kamerling wraz z kardynałem dziekanem przygotowują się do przejścia przez labirynt sal łączących pałace watykańskie z Bazyliką Świętego Piotra. Tam, z lodzii, zostanie ogłoszone Rzymowi i światu: *Habemus papam*.

Ettore obserwuje kardynałów z Azji – grupkę Japończyków, Wietnamczyków, Hindusów i Filipińczyków, którzy na każde głosowanie przychodzą razem i niezmiennie zachwycają się sztuką Michała Anioła. Z uniesionymi głowami podziwiają sklepienie i ściany, na których wizerunki Sybilli i proroków następują po sobie na przemian, z uwagą oglądają krótszą ścianę ze sceną Sądu Ostatecznego.

Ciekawe, jak tym ludziom, przynależnym do zupełnie odmiennej kultury, przedstawia się system symboli i znaków użytych przez Michała Anioła. Wszyscy oni studiowali w seminariach i na uniwersytetach katolickich, ale ich umysły zostały ukształtowane w świecie tradycji Brahmy, Wisznu i Siwy. Malvezzi doskonale pamięta przepiękne freski, widziane na Bali, w Bangkoku, w Lhasie czy Kalkucie, przedstawiające walkę między Dobrem a Złem, te gigantomachie dwóch książąt: Wisznu i Siwy.

Tymczasem ludzkie postacie z malowideł Michała Anioła wywodzą się z kultury Aten i Rzymu, jego męskie akty są przykładem klasycznej harmonii, ich kształty pochodzą z niewyczerpanego źródła inspiracji, jakim były dla niego dzieła Fidiasza, Praksytelesa, Skopasa czy Lizypa.

Dzięki pośrednictwu kulturalnemu katolicyzmu udało się zbudować pomost między Wschodem a Zachodem, między kulturą grecką a hebrajską, między światem romańskim i germańskim. Symbolem tego jest także ten naturalistyczny krucyfiks flamandzkiej roboty, który wisi nad jego kłęcznikiem, wytwór sztuki gotyckiej, w swoim posepnym nastroju bliski ponurym losom Lutra. W tym miejscu wszystko komponuje się w jedną

całość, jak scenografia przedstawienia teatralnego. Poszczególne jej elementy uzupełniają się harmonijnie, żaden nie przeważa, nie góruje nad innymi, każdy pozostaje wierny swej roli, wyznaczonej przez tekst dramatu, który wydaje się jeszcze nieskończony, otwarty na wszelkie nieprzewidywalne rozwiązania, daleki od końcowego *katharsis*.

Malvezzi spostrzega, że i on spędził dłuższą chwilę na wpatrywaniu się we fresk *Sądu Ostatecznego*, zapomniawszy, podobnie jak azjatyccy kardynałowie, o otaczającym go tłumie.

– Wasza Eminencjo, proszę mi wybaczyć, ale musimy sprawdzić dokumenty – służalczy głos jednego z prałatów wzywa go do wejścia.

Dostrzega obok siebie arcybiskupa Mediolanu, milczącego, o nieprzeniknionej twarzy. Ciekawe, z jakimi uczuciami przekracza ten próg w dniu swojej wielkiej szansy...

Nagle zapalają się wszystkie światła Kaplicy Sykstyńskiej i rozlega się pieśń *Veni Creator Spiritus*, zaintonowana przez chór kaplicy papieskiej. Ostatni kardynałowie pośpiesznie zajmują swoje miejsca.

Teraz pieśń cichnie i kardynał kamerling Vladimiro Veronelli każe zamknąć drzwi wejściowe oraz marmurową barierę, która przegradza salę.

Extra omnes.

Wszyscy muszą wyjść. Zostaje tylko stu dwudziestu siedmiu głosujących oraz prałaci asystenci.

Coś jednak sprawiło, że kamerling marszczy czoło. Przyczyną jest bilecik, jaki otrzymał od archiatry, księcia Aldobrandiniego. Okazuje się, iż czterech księży kardynałowie są chorzy i nie mogą opuścić swoich pokoi. Kamerling potrząsa głową, ewidentnie zirytowany i decyduje się odłożyć na później wywoływanie nazwisk. Zamierza ponownie wezwać nieobecnych.

W sali wzmaga się wrzawa. Nieoczekiwana przerwa jest okazją do snucia domysłów i komentowania sytuacji, gubi się podniosły nastrój, stworzony przez pieśń *Veni Creator*.

Pół godziny później przy marmurowej barierze pojawia się patriarcha maronicki, Abdullah Joseph Selim. Dostojny, wsparty na pastorałe, nie przyjmuje pomocy, jaką oferuje mu jeden z prałatów.

Determinacja kamerlinga odniosła skutek jedynie w przypadku jednego z kardynałów nieobecnych na apelu. U trzech pozostałych purpuratów – z Rio de Janeiro, Santiago de Chile i Sydney – nie dała pożądaných efektów. Szepcze o tym teraz do ucha kamerlinga sekretarz Kolegium Kardynalskiego, monsignore Attavanti, dodając, że zrobił wszystko, co było w jego mocy.

– Kardynał z Sydney miał straszne bóle; w pewnej chwili przestał mnie w ogóle słuchać i schował się pod prześcieradłem. Arcybiskup Rio nie pozwolił mi skończyć – prosił, żebym wyszedł i pozwolił mu umierać w spokoju.

– A kardynał z Santiago de Chile? – dopytuje się dalej kamerling, potrząsając jednocześnie dzwonkiem, by przywrócić spokój w kaplicy.

– Był akurat w ubikacji, Eminencjo, i nie miałem odwagi wołać do niego z korytarza. Ale rozmawiałem z sekretarzem, który przekazał księdzu kardynałowi moje posłannictwo. W odpowiedzi usłyszałem, że arcybiskup ma tak silny rozstrój żołądka, iż naprawdę nie jest w stanie uczestniczyć w głosowaniu.

Wizja kardynała uwięzionego w ubikacji osłabia napięcie nerwowe kamerlinga. Będzie musiał zadowolić się obecnością patriarchy maronickiego, który tymczasem podszedł do niego i wydaje się grozić mu swoim pastorałem. Błada twarz i płonące oczy pod wysoką okrągłą czapką – z której opuszcza się dwoma pasmami czarny welon, obramowujący długą, białą brodę – tworzą majestatyczny wizerunek, przyciągający ogólną uwagę i sprawiający, że gwar cichnie.

– Jeżeli nie wyjdę żywy z tego konklawe, przewielebny księżu kamerlingu,

będziesz miał mnie na sumieniu. Jakie to ma znaczenie... – atak kaszlu wstrząsa piersią Libańczyka, nie pozwalając mu mówić przez kilka sekund – jakie to ma znaczenie, czy będę dzisiaj uczestniczyć w głosowaniu? Jeszcze za wcześnie na wybór, podczas konklawe najcenniejszy jest czas poświęcony na refleksję, pośpiech jest złym doradcą.

– Drogi bracie, minęło już wiele dni, teraz czas liczy się inaczej niż podczas ostatniego konklawe, trzeba go liczyć podwójnie.

– My nie mamy obowiązku ścigać się z czasem. Choroba może być wezwaniem do refleksji, znakiem, by nie włączać się do gonitwy, jaka szaleje za tymi murami. Rozwaga ducha może objawić się jako słabość ciała!

Kardynał Veronelli nie odzywa się więcej.

Nastroje w sali są dość burzliwe, wydaje się jednak, iż wszyscy z najwyższą uwagą śledzili tę wymianę zdań. Patriarcha maronicki ma ogromną charyzmę, a widoczne cierpienie naznaczyło patosem jego słowa. Veronelli zadawała się widokiem chorego maronity, który z wysiłkiem dochodzi do swego tronu w bezpośrednim sąsiedztwie arcybiskupa Turynu, dając żywy przykład cnoty posłuszeństwa.

Zbyt ni pośpiech? Ale to na nim spoczywa odpowiedzialność za to konklawe, najtrudniejsze od stuleci, to na niego naciskają rządy krajów z połowy świata. To on musi prowadzić rozmowy telefoniczne z prezydentem Włoch, z przywódcą Ukrainy, z laureatem Pokojowej Nagrody Nobla, który nalega, by w hołdzie wszystkim prześladowanym wybrać papieża o innym niż biały kolorze skóry... A Żydzi? Cóż może wiedzieć libański patriarcha o naciskach, jakie czynią poprzez kardynała z Sarajewa, tego zapiekłego wroga islamu, by uzyskać gwarancję, że nie będzie brana pod uwagę kandydatura Palestyńczyka – czego z kolei pragnęliby przedstawiciele wielu środowisk religijnych na Bliskim Wschodzie?

A sam Palestyńczyk, który w tej chwili siedzi potulny jak baranek na

jednym z tronów po lewej stronie, przy marmurowej barierze i spokojnie czyta – jak się wydaje – swój brewiarz, nie zabierając głosu w dyskusji, nie odzywając się nawet do swoich sąsiadów? Ten z pozoru najłagodniejszy i najpokorniejszy z księząt Kościoła byłby w stanie ukryć w samochodzie z rejestracją korpusu dyplomatycznego imponującą kolekcję karabinów maszynowych i zawieźć je swoim owieczkom w Jerozolimie...

Ale teraz nie można dłużej odkładać wywoływania nazwisk. Jest już wpół do dwunastej i najwyższy czas, żeby rozpocząć dyskusję przed głosowaniem. Nierozsądnie byłoby pozostawiać dłużej bez kontroli to niesforne zgromadzenie.

Kardynał dziekan Antonio Leporati odczytuje w porządku alfabetycznym listę księży kardynałów i nazwy kościołów rzymskich, ich tytularnych parafii. Powróciła prawie idealna cisza.

Po apelu kardynał kamerling ogłasza otwarcie dyskusji. Ich Eminencje mogą wypowiedzieć się przed głosowaniem.

Mija parę długich minut, podczas których słyhać tylko przytłumione szmery rozmów, jakby wielu z nich powstrzymywało się przed oficjalnym zabranieniem głosu.

Nikt nie chce brać na siebie odpowiedzialności za wyznaczenie kierunku, w jakim powinien popłynąć statek konklawe, dryfujący jeszcze na otwartym morzu. Kandydatury spalone w poprzednich głosowaniach były jak urojone widma nieistniejących ładów, fatamorgana, złudzenie optyczne.

Pogłoska, iż kardynał z Mediolanu zgodził się na wysunięcie swojej kandydatury przez kardynałów włoskich i że kandydatura ta zostanie prawdopodobnie poparta przez Francuzów i Hiszpanów, nie zdążyła dotrzeć do wszystkich członków Świętego Kolegium przed początkiem porannej sesji. Jednak podczas wymiany zdań między patriarchą maronickim a kamerlingiem informacja ta przechodziła z ust do ust – i większość zebranych zdążyła się z nią zapoznać. Już daje się słyszeć pierwsze negatywne reakcje.

– Historia niczego Włochów nie nauczyła – komentuje arcybiskup Hawany. – Znowu próbują.

Ettore Malvezzi rozgląda się dookoła, obserwuje twarze najbliższych sąsiadów: patriarchy libańskiego, kardynałów z Palermo, Bolonii, Paryża, Wiednia, Kolonii, Bordeaux, Madrytu, Toledo, a także tych, którzy siedzą w niższym rzędzie, „legionistów ze Wschodu”, jak z niechęcią i obawą nazywa ich czasem Rabuiti: kardynała unickiego i kardynała łacińskiego ze Lwowa, kardynałów z Budapesztu, Rygi, Zagrzebia, Warszawy, Krakowa, Mińska, Kowna, Pragi, z Făgăraș i Alba Iulia, z Nitry i Sarajewa.

Z której strony spodziewać się ataku?

Kto rozpocznie wielką rozgrywkę o władzę najbardziej bezbronną w Europie, a jednocześnie najstarszą i obejmującą swym zasięgiem cały świat?

Po lewej stronie, w pobliżu Ceriniego, słychać szmer głosów, ktoś stara się przywołać uwagę jego sąsiada, arcybiskupa Palermo. Dobiegają go niecierpliwe słowa genuńczyka Marussiego:

– Musisz zaproponować kandydaturę...

Rabuiti pozostaje jednak nieruchomy; pogrążony w myślach, głuchy na ponaglenia, kontempluje malowidła Sybilli i proroków na suficie. Asystenci kamerlinga wyruszają z tacami pełnymi kart, aby przejść Kaplicę Sykstyńską i rozdać je głosującym.

Przedłużająca się cisza utwierdza członków Świętego Kolegium w przekonaniu, że wezwanie patriarchy maronickiego do refleksji nie poszło na marne. Jeszcze za wcześnie na przyśpieszenie działania maszyny konklawe.

Kardynał kamerling wzywa od ołtarza do bezzwłocznego rozdania kart wyborczych. Minęło południe, dzwony Bazyliki Świętego Piotra przed kilkoma minutami wybiły dwunastą. Kardynałowie pochylają się nad pulpitemi, jedni szukają okularów, inni rozprostowują karty, niektórzy odkręcają pióra, kilku zapisuje w pośpiechu swoje nazwiska, kilku innych rozmawia cicho z sąsiadami, niektórzy zaś, podobnie jak Malvezzi, trwają

nieruchomo nad pustą kartą, nic nie zapisując i wpatrując się tylko w biały papier z herbem wakującego urzędu papieskiego.

„Papież? Ile dywizji ma papież?” – przychodzi mu na myśl ironiczne pytanie Stalina, kiedy obserwuje unickiego kardynała ze Lwowa, który jako pierwszy wzywa odpowiedzialnych za zebranie kart.

Kusi go, żeby napisać nazwisko unity, ale obiecał swoim włoskim kolegom, że odda głos na Ceriniego. Nie może więc ulec pokusie. To jest do skontrolowania – nie ma pojęcia, jak to się dzieje, ale zawsze wiadomo, jak przebiegały poszczególne głosowania, chociaż karty są od razu palone.

Pochyla się i pisze wolno nazwisko Alfonsa Ceriniego, arcybiskupa Mediolanu.

Ponad połowa zebranych złożyła już karty na wielkiej srebrnej tacy, z której zrzuca się je do złotego kielicha na ołtarzu, kiedy Ettore Malvezzi otrząsa się z myśli, które nie mają nic wspólnego z tym, co dzieje się na sali.

Wywołała je scena wskrzeszenia zmarłych z fresku Michała Anioła, wyraz twarzy ludzi przywróconych do życia dźwiękiem trąb anielskich, wyraz niepewności i zaskoczenia, senności i zdziwienia. Który to ze współczesnych pisarzy opisał historię Łazarza i jego los wygnańca z krainy śmierci, zmuszonego powrócić do świata ludzkiej niedoli, los stęsknionego za spokojem, za snem, do którego chciałby wrócić? Może jakiś włoski poeta? Corrado Govoni? A może Rilke?

– Czy Wasza Eminencja zechce oddać swoją kartę? – przynagla jeden z prałatów. Malvezzi otwiera półprzymknięte oczy, szukając jeszcze w pamięci nazwiska autora historii Łazarza.

– Zasnąłeś? Rozumiem cię, pewnie i tobie nie dają spać po nocach, próbują cię przekonać... – domyśla się patriarcha maronicki, siedzący obok.

Uśmiecha się, nic nie odpowiadając. Libańczyk jednak, który czuje do niego sympatię, odzywa się znowu.

– Głosowałem na ciebie.

Arcybiskup Turynu czuje, jak krew napływa mu do głowy, odwraca się

szybko i chwyta go za ramię:

– Co zrobiłeś? Żartujesz chyba?

– Nie, wcale nie żartuję. Myślę, że byłbyś tego godny.

– Proszę, nie rób tego więcej, to głos stracony, ja nigdy nie mógłbym... – nie kończy zdania, ogarnięty nagle dziwnym lękiem, jakby coś lub ktoś przeszkadzał mu wyznać, jak czuł się tego ranka, z hostią w ręce, nie potrafiąc odpowiedzieć na pytanie: „Czy wierzysz? Czy wierzysz, że ja jestem twoim Bogiem?” – Skąd wiesz, co jest możliwe dla Boga? Skąd wiesz, co mógłbyś albo nie mógłbyś zrobić? – Dostojny patriarcha Z wysiłkiem podnosi się z tronu, wspierając się na pastorałe, i patrzy na niego błyszczącymi oczami. Ten błysk spojrzenia przywołał mu na myśl tragiczne światło w jedynym otwartym oku potępionego z malowidła Michała Anioła – drugie Zakrył dłonią, kiedy skazywano go na wieczne potępienie. Ta postać zapadła mu najgłębiej w pamięć, kiedy w dzieciństwie zobaczył *Sąd Ostateczny* po raz pierwszy...

Osobisty sekretarz podbiegł już do patriarchy, żeby mu pomóc zejść po stopniach i wyjść z nim z sali na przerwę przed ogłoszeniem wyników. Maronita musi się czegoś napić, rosnąca gorączka odwodniła go.

Kardynał kamerling pozwolił mu oddalić się do celi, zanim zostaną ogłoszone wyniki jedenastego w tym konklawe głosowania.

Malvezzi patrzy na pusty fotel, mając jeszcze przed oczami błysk w oczach maronity. Wszystko się tak szybko rozegrało, nie ma już przy nim człowieka, który prawdopodobnie jako jedyny członek Świętego Kolegium głosował na niego.

Upewnia się, że nikt z sąsiadów, a przede wszystkim Rabuiti, nie słyszał ich wymiany zdań. Ale głos chorego był zbyt słaby, a poza tym Rabuiti wydaje się pochłonięty cichą rozmową w języku francuskim z jednym z kardynałów ze wschodu Europy, który siedzi w niższym rzędzie.

– Proszę Ich Eminencje o zajęcie miejsc. – Veronelli wstaje i w asyście dwóch kardynałów z komisji skrutacyjnej odczytuje z wielkiego rejestru,

podtrzymywanego przez monsignore Attavantiego:

– Podaję do wiadomości wyniki jedenastego głosowania na najwyższego zwierzchnika Kościoła powszechnego i biskupa Rzymu. Do głosowania zostało dopuszczonych stu dwudziestu siedmiu kardynałów, obecnych elektorów stu dwudziestu czterech. Głosy otrzymali... – kamerling odczytuje te słowa bez ekspresji, co od razu pozwala domyślić się, że i tym razem nie zdołano wybrać nowego papieża. Głosy są jeszcze bardziej rozproszone. Tylko kardynał z Mediolanu otrzymał ich dwanaście, jest to jednak niebezpieczny rezultat, może zaważyć na przyszłych wyborach i wyeliminować raz na zawsze jego kandydaturę.

Kiedy Malvezzi słyszy swoje nazwisko, wymienione dzięki jednemu głosowi, jaki na niego oddano, na nowo ogarnia go lęk. Rabuiti, który w tej samej chwili odwrócił się i spojrzał na niego, uśmiecha się ironicznie, jakby insynuował, że turyńczyk głosował sam na siebie.

– W związku z tym, że nikt nie uzyskał wymaganej większości głosów, do obrad powrócimy dzisiaj o godzinie siedemnastej, kiedy to przeprowadzimy dwunaste głosowanie. Prosimy Wasze Eminencje o maksymalną punktualność.

Głos Veronellego przywołuje go do rzeczywistości i przypomina o konieczności powrotu do pokoju, gdzie czeka Contarini z obiadem.

Przy wyjściu jest tłok. Kardynałowie zatrzymują się, żeby skomentować w najróżniejszych językach sytuację, którą, jak się okazuje, coraz trudniej rozwiązać.

Nazwisko arcybiskupa Mediolanu jest na ustach wszystkich, niektórzy podchodzą do niedoszłego elekta, by wyrazić swoje rozczarowanie, żal i poparcie. Zainteresowany przyjmuje te wyrazy sympatii ze zwykłą sobie niewzruszoną rezerwą, ściska dłonie i dziękuje.

Dopiero przyjmując wyrazy uszanowania od Rabuitiego, pozwala sobie na gorzkie słowa:

– Nie chcą mnie, drogi Celso. Ale musisz przyznać, że sprawa została im

przedstawiona niejasno.

– Za wcześnie było na wysuwanie twojej kandydatury, ryzykowaliśmy spalaniem jej. Ale możemy to jeszcze naprawić. Umówiłem się już na spotkanie z prymasem Niemiec i z kardynałami z Dublina i Londynu. Spędzimy cały dzień na rozmowie, razem poszukamy innych rozwiązań, przyjdą też Francuzi i Hiszpanie. Wolałbym jednak porozmawiać o tym gdzie indziej...

– Zgadzam się z tobą. Należy skontaktować się z patriarchą Bejrutu, okazuje się, że miał rację.

Rabuiti stwierdza, że „Pani” – jak nazywają arcybiskupa Mediolanu jego przeciwnicy – zachowuje się i tym razem nieprzewidywalnie. Już jest gotów wyciągnąć rękę do swoich antagonistów, aby zyskać ich przychylność i coś na tym zyskać...

Przybierze teraz pozę *laudator temporis acti*, zwolennika tradycyjnej długiej refleksji, miłośnika kontemplacji...

A tymczasem, żeby stąd wyjść, trzeba przepuścić kartę identyfikacyjną przez komputer... Jeżeli chodzi o głosowanie, ten Arab... Ale tak czy inaczej dał świetne przedstawienie... Trzeba będzie uświadomić Malvezziemu jego odpowiedzialność, kto by przypuszczał, że będzie głosować na siebie...

Ostatni kardynałowie, tłoczący się przy wyjściu, są zmuszeni rozstąpić się przed trzema prałatami, którzy niosą skrzynkę zapełnioną stu dwudziestoma czterema kartami do spalania w piecu konklawe. Zachowany został stary zwyczaj palenia kart, aby czarnym lub białym dymem oznajmić światu negatywny lub pozytywny rezultat głosowania.

Arcybiskup Bogoty stwierdza po hiszpańsku, że posługiwanie się dymem jest trudne i po prostu śmieszne. Często niesprecyzowany kolor dymu naraża na mylne interpretacje. Poza tym, kto w dzisiejszych czasach potrafi obsługiwać piec? Prymas Kuby przyznaje mu rację, dodając głośno, że gdyby był kamerlingiem, nakazałby od razu głosować ponownie.

Kontynuowałyby tak do wieczora, aż do skutku. Choroba wezwaniem do refleksji? Też coś!

– Słyszeliście? Kardynał Contardi otrzymał sakrament chorych – wtrąca się Meksykanin Ezcuderos.

Wiadomość o ciężkim stanie kardynała z Rio de Janeiro przerywa na chwilę wszelkie komentarze, narzucając tej nienaturalnej i wymuszonej zbiorowości mężczyzn, temu konglomeratowi symboli, rytuałów i tradycji, jakim jest konklawe, naturalną i ludzką refleksję o śmierci...

Myśli każdego z obecnych kierują się ku ojczystemu krajowi, ku miejscu urodzenia, ku domowi. Ten biedak czuje już na pewno, że nigdy tam nie wróci. Jak kiedyś, dawno temu, gdy wielu z nich cierpiało z tęsknoty, tak i teraz, niespodziewanie, świadomość utraty wolności wyboru przygnębia kardynałów i napęnia ich melancholią.

Świadomość ta nie tylko zasmuca kardynałów, ale też irytuje i uzmysławia prawdę o ich sytuacji. Nie po raz pierwszy umiera się podczas konklawe.

– Módlmy się za naszego brata Emanuele – głos kamerlinga dogania ostatnią grupę kardynałów przy wyjściu.

Emanuele Contardi zmarł w nocy i tak liczba kardynałów elektorów zmniejszyła się do stu dwudziestu sześciu.

Kardynał kamerling, który przewiduje, że to smutne wydarzenie będzie miało negatywny wpływ na dalszy przebieg konklawe, ma pretensje do archiatry, księcia Aldebrandiniego, o to, że dopuścił umierającego kardynała do udziału w konklawe. Dla dobra Kościoła nie powinien był na to pozwolić.

Teraz ta nowa przeszkoda zwolni działanie całej maszyny, która z wielkim mozołem nabiera tempa. Organizacją pogrzebu zajmą się dwaj asystenci tronu papieskiego, książęta Orsini i Colonna; uczestniczyć w nim będą tylko kardynałowie. Ceremonia spowoduje dużą stratę czasu, a przede wszystkim rzuci cień żałoby na tych starych ludzi, co osłabi ich energię i może skomplikować sytuację. On zna psychikę ludzi władzy, zdaje sobie sprawę, że coraz gorzej znoszą normy klauzury, narzucone przez tradycję, które nadają ich życiu rytm podobny do tego, w jakim upływały dni w kongregacjach średniowiecznych.

Niewielu z nich darzy sympatią zakonników, tych duchownych, którzy wybrali życie w zgromadzeniach klasztornych różnej reguły, ceniących wciąż regułę klauzury.

Spośród nielicznych kardynałów wywodzących się z zakonów klauzurowych wyróżnia się Estończyk Matis Paide.

Posłuszny papieżowi, zrezygnował z życia kontemplacyjnego i przyjął kapelusz kardynalski, aby wzbogacić walorem głębokiej duchowości jedną z nieobsadzonych dykasterii watykańskich.

Ten święty człowiek traktował urząd w Kongregacji Ewangelizacji Narodów jako pokutę – i to posłuszne pogodzenie się z losem wywarło piętno na stylu jego rządów, pod którymi radość krzewienia Słowa Bożego była jakby przytłumiona.

Jednakże w warunkach konklawe estoński trapista czuł się różnie niż ktokolwiek inny. Chętny do pomocy, służył w razie potrzeby radą kamerlingowi i jego asystentom, jak gdyby swoje doświadczenia, związane z życiem w klauzurze, oddawał do dyspozycji tych, którzy nigdy nie zaznali dyscypliny monastycznej.

Kardynał z estońskiej wyspy Saaremaa zaraz po pogrzebie prymasa Brazylii rozmawia długo sam na sam z kamerlingiem w jego apartamencie.

– Niepokoję się, drogi Matisie, bardzo się niepokoję obrotem rzeczy – zaczyna rozmowę Veronelli, opadając na fotel.

– Niepotrzebnie. Wydaje mi się, że wszystko toczy się tak samo jak podczas innych konklawe – odpowiada Paide, który przez prawie dwadzieścia lat żył w klauzurze klasztoru Tre Fontane w Rzymie.

– Ale czasy się zmieniły, sytuacja jest nieporównywalna, okoliczności, jakie na nią wpływają, są całkiem inne, poczynając od zbyt absorbującej pamięci o zmarłym papieżu... Co zrobić, żeby stanąć na wysokości zadania? Czy podołamy? Sam widzisz, że nie potrafimy osiągnąć porozumienia. Czasami odnoszę wrażenie, że nikt tak naprawdę nie chce znaleźć następcy tamtego papieża i gdyby nie to, że przeraża ich myśl o siedzeniu w nieskończoność w tym zamknięciu...

– Przesadzasz, Vladimiro, przesadzasz. Głosowaliśmy za ledwie kilka razy, były w historii konklawe, które ciągnęły się całymi miesiącami...

– Minęło już siedem dni.

– I cóż to jest siedem dni?

– W ciągu siedmiu dni Pan Bóg stworzył świat.

– A my dopiero zaczynamy rozumieć łaskę klauzury... Jeszcze za wcześnie, żeby w pełni ją pojąć.

– Łaskę klauzury? Naprawdę uważasz, że możemy traktować to w ten sposób?

– Kardynałowie powinni przebywać tu nie tylko przez miesiąc, ale przez cały rok, wtedy wyszliby stąd odrodzeni.

– A kto w tym czasie rządziłby Kościołem?

– Kościół rządziłby się sam, wierni odkryliby może wartość swoich duszpasterzy – i to tym łatwiej, że mieliby wtedy czas, żeby zapomnieć o ich grzechach...

– Rozumujesz jak trapiści, nie jak kardynał, a przecież i ty masz obowiązek wspomóc przebieg konklawe; przyjmując kapelusz kardynalski, wzięłeś na siebie to brzemień.

– Ależ ja ci pomagam, tylko że ty tego nie dostrzegasz, rozumujesz za bardzo po ludzku, podobnie jak rozumują możni tego świata.

– A czy my, kardynałowie, nie jesteśmy możnymi tego świata? Czy od ludzi przebywających teraz w tych murach nie zależy równowaga wielu rządów? Czy nie decydują oni o losach setek sojuszy, reżimów, o układach sił i mechanizmach gospodarczych? Nawet we Włoszech odkryto wagę pośrednictwa kardynałów, na przykład w przypadku strajku.

– Nie wypowiadaj takich słów w tych murach, świat umiera pod ich brzemieniem: partie, związki zawodowe, koalicje, gospodarka, przemysł... W obliczu tych słów konklawe jest po prostu śmieszne. Podobnie jak ktoś, kto pisze gęsim piórem, kiedy ma do dyspozycji komputer... Przynajmniej tutaj unikajmy nieczystego języka naszych czasów.

– Ale ja muszę pośredniczyć między tymi dwoma światami, które ty chciałbyś rozdzielić! Czy wiesz, kto zadzwonił do mnie niedawno pod pretekstem kondolencji z powodu śmierci kardynała Contardiego? Premier! Szkoda, że nie słyszałeś, ile pytań mi zadał i jak nalegał, żebym zdradził nazwiska najbardziej prawdopodobnych kandydatów. Co więcej, próbował wykorzystać okazję, żeby wyrzucić na mnie presję, i wyciągnął temat równości szkół katolickich i państwowych.

– A ty powinieneś pozwolić mu mówić! Niech sobie gadają, ty mieszaj im w głowach ogólnikami i niesprecyzowanymi obietnicami – zawsze im potakuj. Będą to święte kłamstwa dla dobra prawdy.

– A więc stoisz po mojej stronie! Zgadzasz się z moimi metodami!

– Czy ja kiedyś występowałem przeciwko tobie? Czy kiedykolwiek zaniedbałem swoje obowiązki? Już dziesięć lat kieruję dykasterią, którą powierzył mi Ojciec Święty, a tylko jeden Bóg wie, ile kosztowało mnie posłuszeństwo, jak cierpiałem, gdy opuszczałem moją celę w klasztorze Tre Fontane... Tam miałem tylko Boga nad sobą... dla świata byłem umarły. Ten święty człowiek obarczył mnie na nowo ciężarem, od którego już byłem wolny.

– A czy ty wiesz, ile mnie kosztuje wypełnianie funkcji żandarma Świętego Kolegium, jak bardzo ciąży mi obowiązek rozwiązywania praktycznych i politycznych problemów, związanych z konklawe?

Paide milczy. Ma ochotę powiedzieć, że biorąc pod uwagę jego charakter, jest właściwym człowiekiem na właściwym miejscu, ale nie chce ranić przyjaciela. Woli zmienić temat rozmowy i robi to w sposób radykalny i zaskakujący.

– Wiedz, że klauzura może być radością, trzeba tylko pomóc to zrozumieć ludziom, którzy nigdy jej nie poznali. Uczcie się od nas, ludzi Północy, którzy na wyludnionych ziemiach żyjemy w najwspanialszej, wszechogarniającej samotności. Pomyśl tylko – na mojej rodzimej wyspie musiałem przejść pięćdziesiąt kilometrów, zanim spotkałem człowieka, z którym mogłem zamienić dwa słowa. W dzieciństwie oprócz mojej siostry Karin nie widywałem innych dzieci ani żadnych dorosłych, poza rodzicami i dziadkami.

– Powiedz mi więc, co powinienem zrobić, żeby złagodzić dokuczliwość tej naszej klauzury?

Paide i teraz nie od razu wyjawia swoje myśli. Czy Veronelli, który wszystko sprowadza do wymiaru praktycznego, zrozumie go? Próbuje oswoić go stopniowo ze swoją ideą, żeby za bardzo go nie zbulwersowała.

– Wiesz, w tym naszym samotnym życiu wiele barier, które dzielą ludzi żyjących w skupiskach, nie miało racji bytu. Szukaliśmy się nawzajem, bo było nas tak mało...

– Tutaj nas nie jest mało. Oprócz stu dwudziestu sześciu kardynałów jest sto dziesięć osób pełniących rozmaite posługi, dwudziestu prałatów domowych, setka żołnierzy gwardii szwajcarskiej, poza tym po jednym sekretarzu na każdego pupurata... nie licząc siostr w kuchniach, które nie mają prawa wstępu na konklawe.

– Ale samotność jest ta sama. Na wyspie Saaremaa byliśmy sami z naturą, tutaj jesteśmy sami z Bogiem. Kiedy byłem dzieckiem, potrafiłem dostrzec Boga tylko w morzu, w trawie, w gwiazdach na niebie, w zorzy polarnej. Potem zwróciłem oczy do środka i zobaczyłem...

To dla Veronellego teren nieznany.

Paide wie o tym i współczuje mu, ale nie chce, by rozmówca w pełni to sobie uświadomił; nie chce go upokarzać. Kardynał kamerling ma swoje stare przyzwyczajenia, ukształtowane przez lata życia w Kurii Rzymskiej, i nie potrafi przyswoić sobie idei zbyt różnych od jego własnych. Takie są losy większości ludzi: umierają na długo przed śmiercią, bo nie potrafią przyjąć niczego, co nowe, co odmienne.

Biorąc pod uwagę to ograniczenie, nie ma sensu kręcić się dłużej w kółko. Lepiej kierować się prosto do celu.

– Wiesz, kiedy byłem dzieckiem, u nas na wyspie największą radością była dla mnie kąpiel w saunie wraz z moją rodziną, nago, jak nas Pan Bóg stworzył, nad brzegiem jeziora za domem. Mieliśmy jedno pomieszczenie, wyposażone w piec. Było tam wszystko, co trzeba, nawet brzozy zaraz za drzwiami, z których zrywaliśmy gałązki i okładaliśmy się nimi wzajemnie...

– Kiedyś w Helsinkach byłem gościem biskupa luterańskiego, który zaprowadził mnie do sauny w hotelu, w efekcie nabawiłem się tylko kataru.

– Sauna jest sztuką, a tobie pewnie nikt nie pokazał, na czym ona polega. Warto, żebyś powtórzył to doświadczenie, ja sam wszystkiego bym cię nauczył.

– Gdzie? Nie przypuszczam, żebym mógł wrócić do Helsinek.

– Nie w Helsinkach, tutaj.

– Tutaj?...

– Tak, podczas konklawe.

Kamerling Świętego Kościoła Rzymskiego, kardynał Vladimiro Veronelli, tytularny proboszcz parafii San Carlo dei Catinari, podnosi głowę z oparcia fotela i patrzy uważnie w oczy trapisty podniesionego do rangi purpurata dzięki swojej erudycji i uduchowieniu.

– Nie gorsz się. Wszyscy kardynałowie ze wschodniej Europy byłiby szczęśliwi, gdyby mogli wzmocnić ciało w kąpeli parowej, poprzedzonej kąpielą w suchym, gorącym powietrzu, tak jak robili to od dziecka, tak jak ja to robiłem na wyspie z moją rodziną. Nagość ciała nie jest złem i z czasem przekonałbyś się, że pomaga burzyć wiele niewidzialnych barier, które dzielą ludzi. Tym bardziej między ludźmi zamkniętymi tutaj – wiek i władza sprawiły, że każdy z nich otoczony jest murem wyższym od Muru Chińskiego.

– Więc... ty nie żartujesz! Ty naprawdę wierzysz w tę... nie wiem nawet, jak to nazwać: brednią, prowokacją albo jeszcze gorzej, ale zatrzymam się z szacunku dla sutanny, jaką obaj nosimy.

– Niestety, nie potrafię ci tego wytłumaczyć. Powtarzam, klauzura może być radością. Umiera się dla świata, żeby odrodzić się po drugiej stronie, w inny sposób... Ale trzeba tego chcieć – ciało jest darem Boga, a nie grzechem, który On ma nam wybaczyć.

– A ty, kiedy byłeś w klasztorze Tre Fontane, kąpałeś się w saunie?

– Nie, to był katolicki klasztor, na dodatek rzymski. A poza tym musiałem podporządkować się regule. Mam na myśli inną klauzurę, tę na mojej wyspie w Estonii. A także tę, w jakiej tutaj się znajdujemy – to konklawe, które słusznie uważasz za wyjątkowe. Masz rację, kiedy obawiasz się, że to konklawe będzie trwało bardzo długo, zbyt długo dla tych starych ludzi, którzy przeżyli swoje życie wśród świata, często oślepieni blichtrzem swojej władzy, swoich przywilejów i roli, którą przyszło im odgrywać. Są jak aktorzy zmęczeni graniem wciąż w tej samej sztuce. Zapomnieli już, jak

wygląda nagie ciało, bezgrzeszne, niewinne jak u dzieci...

– Naprawdę wydaje ci się możliwe, żeby podczas konklawe korzystać z sauny?

– Spójrz na Jezusa na krzyżu, tam, za twoimi plecami. Jest nagi, okryty tylko opaską na biodrach, nagi i taki sam jak my. Przed takim Jezusem modlą się nasi bracia każdego wieczoru, przed nim się rozbierają.

– Nie chcesz chyba przyrównywać ukrzyżowanego Chrystusa do nagiego kardynała!

– Dla ciebie, wyrosłego w sferze kultury łacińskiej, rzymskiej, kontrreformacyjnej, która odmawia ciału świętości, to porównanie brzmi nieprzyzwoicie... I pomyśleć, że jedną z najpiękniejszych obietnic naszej wiary jest ta, która przepowiada zmartwychwstanie zbawionego ciała, takiego, jakim było w młodości, w apogeum siły witalnej.

– Nie udawaj, że nie zdajesz sobie sprawy, iż niektórzy z naszych gości nie potrafiliby zachować niewinności spojrzenia, patrząc na nagie ciała.

– Niczego nie udaję. Myślę tylko, że niektórzy z nich nigdy nie odkryliby w sobie takich skłonności, gdyby w dzieciństwie obcowali z nagością, tak jak to dzieje się w naszych stronach. Zakładając, że ta skłonność jest rzeczywiście grzeszna, a nie tylko odmienna od reprezentowanej przez większość. Nie, nie rób takiej miny, ta moja wątpliwość nie oznacza, że ja sam muszę się obawiać o niewinność mojego spojrzenia, patrząc na nagie ciała naszych braci, możesz być spokojny.

– Czy zdajesz sobie sprawę, co to oznaczałoby dla Watykanu, gdyby świat dowiedział się, że kardynałowie zamknięci na konklawe dla odpoczynku pocą się w saunie, zamiast czytać, spać, rozmawiać czy też modlić się?

– Świat? Czymże jest świat? Może tylko naszym o nim wyobrażeniem? Ty sam mówiłeś, że świat, o jakim wcześniej opowiadałem, już nie istnieje, bo tak bardzo się zmienił. Świat bezustannie się przeobraża. Z tego też powodu tak bardzo mozolisz się, kierując tym konklawe, bo nie możesz skorzystać z żadnego wcześniejszego doświadczenia, nie możesz oprzeć się na żadnym

podręczniku. Świat tworzymy także my, naszą odwagą wprowadzania zmian – z miłości do człowieka.

– Nie nadążam za tobą, jestem już chyba za stary. Jestem i pozostanę kardynałem Kościoła Świętego, katolickiego, apostołskiego i rzymskiego.

– W klauzurze trzeba żyć jak na Karmelu radości, nie jak w Tebach pokus diabelskich czy jak na pustyni usłanej cierniami. Nie można zaprzeczyć istnieniu radości zmysłów, radości niezwykłej, która też prowadzi do Boga. Pamiętaj o świętym Bonawenturze, nie myśl tylko o świętym Tomaszu z Akwinu.

– Twoja propozycja jest tak czy inaczej nie do przyjęcia. Rozpętałaby burzę protestów.

– To tylko jedna z możliwych inicjatyw, która pomogłaby nam łatwiej przeżyć te dni, ale można też sięgnąć do innych. Tak czy inaczej, nie przypuszczam, żeby wywołała wiele protestów. Zapominasz, że wielu z obecnych tu kardynałów wyrosło w kulturach, w których bezpośredni kontakt z ciałem jest jak najbardziej naturalny. Na Bliskim Wschodzie łaźnia turecka jest często odwiedzanym miejscem spotkań. U Hindusów przyjemność fizyczna łączy się z duchową. Poza tym, chociaż sauna służyła w moim wywodzie tylko za przykład, nie zapominajmy, że podobnie było w kręgu kultury śródziemnomorskiej: dla Greków i Rzymian łaźnia była nie tylko miejscem, gdzie doznawali fizycznej przyjemności, ale także miejscem rozmów o kulturze i polityce. Obyczaje sprzed epoki chrześcijańskiej mamy wciąż w naszych genach.

– Czego oczekujesz? Że Pałac Apostolski zamienię w luksusowy hotel z gabinetami odnowy biologicznej, masażem, z chińskimi i włoskimi restauracjami, z winiarnią, salą gimnastyczną, fryzjerem i salonem kosmetycznym?

– Jeżeli stawiasz sprawę w ten sposób, powiem ci, że nie byłoby źle, gdybyś wprowadził trochę zmian do tej klauzury. Ale jest już późno, drogi Vladimiro, nie chciałbym nadużywać twojej uprzejmości. Lepiej, jeśli

pójdziemy spać, we śnie znajdziemy dobrą radę.

– We śnie można znaleźć wszystko. Byle tylko nie szukać w nim pomysłu na desakralizację tego miejsca.

– Przykro mi, ale i w tym względzie nie zgadzam się z tobą. *Sacro* to nie tylko umartwienie, pokuta, poświęcenie i ciemność, ale także ekspansja, szczęście, piękno i światło. Do jutra, życzę ci dobrej nocy.

Rozstają się przy drzwiach apartamentu, nie uściskawszy sobie dłoni. Kamerling – bo zbyt jest poruszony rozmową z „Bratem”, jak w Watykanie nazywają kardynała Paide ci sami, którzy arcybiskupa Mediolanu nazwali „Panią”; Paide – bo mieszają się w nim dwa przeciwstawne uczucia: boleje nad tym, że rozczarował człowieka, który oczekiwał od niego jedynie praktycznej rady, jak przyśpieszyć działanie konklawe, a jednocześnie dziwi się samemu sobie, że stać go było na poruszenie pewnych tematów.

Paide przechodzi długim korytarzem, prowadzącym do schodów. Przy jednym z załamień tego wąskiego przejścia zegar wahadłowy wybija godzinę, jest druga w nocy. Minąwszy zakręt, czuje gwałtowny powiew powietrza. Niedaleko jest ogromne okno otwarte na oścież – na ciemność nocy, na cały Rzym.

Dalekie światła miasta pulsują, przypominając o życiu, które nie zatrzymuje się nawet w porze snu. Godziny przeznaczone na odpoczynek mogą być wykorzystane na inne potrzeby człowieka – przede wszystkim na przyjemności i na miłość, w jakiegokolwiek postaci.

On podczas tych godzin ukradzionych odpoczynkowi przeszedł niezwykłą próbę, która była na pewno trudniejsza niż ta, na jaką wystawił kardynała kamerlinga. W samym sercu tradycji katolickiej, w Stolicy Apostolskiej, gdzie wszystko jest przefiltrowane przez ceremoniał, gdzie nie zdarzają się niespodzianki i nic nie jest pozostawione przypadkowi, odważył się mówić o zmysłowych przyjemnościach, o radości życia, o takiej odmianie świętości, która w Chrystusie widziała symbol piękna i zwycięstwa.

Skąd wziął na to odwagę? W innych czasach zostałyby natychmiast

odsunięty od swoich funkcji, wezwany przed Święte Oficjum, po czym wytoczono by mu proces. Czy jest heretykiem? Czy to szatan kryje się za jego płomienną obroną natury i zmysłów? Bo i cóż on wie o przyjemności i o miłości, właśnie on, dla którego wiara była zawsze czymś najwznioślejszym, od kiedy objawiła mu się na jego wyspie w postaci oślepiającego światła?

Stało się to, kiedy w dwudziestym roku życia zrozumiał, że uczucie, jakie żywi do swojej siostry Karin, nie jest braterską miłością, ale namiętnością, która musi na zawsze pozostać w ukryciu.

Zaledwie zdał sobie sprawę z tej miłości, pierwszej i jedynej w życiu, wiedział, iż musi odejść na zawsze, nie pozostawiając po sobie śladów, w obawie, że Karin wszędzie za nim pójdzie. Pięć lat później, kiedy był już studentem wydziału teologii uniwersytetu w Marburgu, dostał wiadomość o przedwczesnej śmierci siostry, ale nawet wtedy nie miał odwagi pojechać do rodziców, by opłakiwać ją wraz z nimi. Od tej chwili czuł jednak, że już wolno mu ją kochać, i w modlitwie obcował z wyzwolonym płomieniem tej namiętności.

Ma sześćdziesiąt lat, a to wspomnienie żyje nietknięte w jego pamięci, jakby nie minęło od tego czasu prawie pół wieku. I jest ogromnie wdzięczny losowi, że pozwolił mu doznać gorączki miłości do kobiety.

Konklawe jest zamknięte dla kobiet, podobnie jak całe kapłańskie życie. Brakuje reprezentacji połowy ludzkości wśród tych, którzy muszą rozumieć świat i leczyć jego rany, łagodzić gwałtowność, uspokajać szaleństwa, wybaczać słabości. Niesamowity paradoks: ci, co dźwigają na swoich barkach miłość uniwersalną, sami z miłości zrezygnowali. On znalazł się na tej drodze w następstwie młodzieńczych doświadczeń i dopiero dużo później zrozumiał, że był to pierwszy krok do ascezy i łaska jego życia.

Może jednak myli się co do swoich współtowarzyszy, którzy teraz w swoich łóżkach płacą snem dług znużonemu ciału? Być może niejednen z nich chowa w sercu tajemnicę miłości niemożliwej lub zakazanej przez ten

sam kodeks moralny, na którego straży teraz stoją. I może właśnie tak samo jak w jego wypadku, z wyrzeczenia dokonanego z tej czy innej przyczyny pochodzi ich miłość do Boga.

Stół w gabinecie Ettore Malvezziiego, gdzie zebrali się włoscy kardynałowie, zasłany jest gazetami w różnych językach.

Kardynał Palermo czyta na głos niektóre z nagłówków, szczególnie te bardziej oskarżycielskie i złośliwe:

– „Konklawe bez rezultatu. W dziesiątym dniu nadal brak porozumienia”; „Zapowiada się na twardą rozgrywkę między opozycyjnymi frakcjami na najtrudniejszym od wieków konklawe”; „Czy Włosi będą walczyć? Na razie na konklawe tracą pierwsze ruchy. Czarny dym także po siedemnastym głosowaniu”; „Cerini przegrywa od pierwszego głosowania”. – Co za bezczelność! – oburza się Rabuiti na nieprzypadkowy błąd gramatyczny. – „Rosną ceny akcji purpuratów ze wschodniej Europy, ale nie wyklucza się wyboru na okres przejściowy francuskiego kardynała z Kurii”.

– Słyszysz, Jean? To o tobie... – Obraca się do byłego sekretarza stanu Jego Świątobliwości, żeby pokazać mu nagłówek z „Le Monde”. – Posłuchajcie tylko Chińczyków. Mam już tłumaczenie: „Ile kosztuje Włochów każdy dzień rzymskiego konklawe? Podający się za przedstawicieli Boga ubóstwa i miłości próżnują wśród luksusu i wszelkich wygod na koszt państwa włoskiego i nie mają ochoty wracać do swoich domów. Słuszna była decyzja naszego rządu, który odmówił pozwolenia na wyjazd i na udział w tym zebraniu Chińczykowi z Hongkongu, mianowanemu przez Rzym kardynałem”. Z Chinami nigdy nie dojdzie się do ładu... Rosjanie pomimo swojej awersji do katolików są bardziej umiarkowani: „Kardynałowie w Rzymie nie śpieszą się; trudno zrozumieć, co się dzieje w tym ośrodku władzy”... Od czasów Dostojewskiego Rosjanie widzą katolików zawsze w takim samym świetle.

– Jeżeli o to chodzi, to i przedtem nas nie rozumieli. Na dworze Piotra Wielkiego przez cały tydzień zabawiali się parodiowaniem rzymskiego konklawe, wybierając papieża wśród hulanek i pijatyk – precyzuje Nicola

Gistri, arcybiskup Florencji, który dobrze zna język rosyjski.

To on zaproponował zebranie Włochów w gabinecie Malvezziiego, podejrzanego o oddanie głosu na samego siebie, aby dać mu odczuć, że zawiódł ich zaufanie.

Malvezzi nie sprzeciwiał się, w milczeniu przyjął podejrzenie, choć kardynał z Libanu na pewno bez wahania poświadczyłby jego niewinność. Nie chciał jednak ujawniać, kto napisał jego nazwisko na karcie wyborczej. Jest to wprawdzie jak dotąd jedyny głos oddany na niego, ale sama myśl o takiej możliwości przeraża go, szczególnie w atmosferze niepewności, która nasiliła się po ostatnich głosowaniach, kiedy to grupy kardynałów z Europy Wschodniej i z Ameryki starły się między sobą, przywołując konflikt z czasów zimnej wojny.

W ciągu ostatnich nocy nie mógł zasnąć, przez trzy czy cztery godziny przewracał się na łóżku, a czujne i uważne zmysły nie przestawały reagować na rozmaite odgłosy w tym starym budynku, którego sekrety i aktywne życie, ukryte za dziesiątkami zamkniętych drzwi, zaczynał stopniowo poznawać.

Kilka dni wcześniej, kiedy miał już dość bezsennego leżenia w łóżku, około wpół do szóstej ubrał się i wyszedł, uważając, by nie obudzić Contariniego w sąsiednim pokoju.

Przechadzał się po rozległym atrium na swoim piętrze pałacu, pod sklepieniem ozdobionym przez Alessandra Mantovaniego, uważanego w czasach Leona XIII za nowego Rafaela. Odkrył, że o tej porze wielu mieszkańców pałacu, podobnie jak on, już nie śpi. Widział prałatów i szambelanów, jak podążali gdzieś w pośpiechu na polecenie kardynałów. Wielu z osobistych sekretarzy biegało w górę i w dół po schodach prowadzących do kuchni, niektórzy nosili tace z karafkami wody i

szklankami obok pudełek z lekarstwami, inni z jedzeniem.

Także służba medyczna była prawdopodobnie w ciągłym pogotowiu, sądząc po widoku lekarzy, biegających między pokojami z aparatami do mierzenia ciśnienia, z pudełkami strzykawków i z innymi akcesoriami. Całe to frenetyczne nocne poruszenie przypominało o smutnej prawdzie, że mieszkańcami tego pałacu i jego współtowarzyszami są starzy ludzie. Kardynałowie dopiero po przekroczeniu osiemdziesiątego roku życia tracą prawo udziału w konklawe.

Następnej nocy Malvezzi wyszedł poza atrium, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza w lodzii otwartej na dziedziniec Świętego Damazego. Przechodząc obok jednych z drzwi, usłyszał krzyki bólu kardynała z Sydney, które ucichły dopiero dzięki morfinie. Australijczyk, chociaż wycieńczony chorobą nowotworową, nie chciał zrezygnować z udziału w konklawe i poprosił swojego lekarza o zachowanie w tajemnicy przyczyny jego cierpienia. Jak głoszą plotki, watykańskie służby medyczne nie szczędzą morfiny swoim pacjentom.

Ktoś, może był to Rabuiti, wyjawiał mu, że arcybiskupa Rio de Janeiro zabiło właśnie nadużycie morfiny, podanej przy kolejnym ataku białaczki.

O świcie – po nocy, podczas której słyszał krzyki tego biedaka Murraya, arcybiskupa Sydney – zadzwonił przez centralkę do Bolonii, do swojej siostry, Clary, wiedząc, że zwykle wcześniej zaczyna dzień.

– To ty, Ettore? Jak się czujesz?

– Dobrze, ale martwię się trochę.

– Dlaczego? Co się dzieje? Jak idą sprawy?

– O to właśnie chodzi, że nie idą... Wszystko stoi w miejscu... Ale wiesz o tym pewnie z prasy. Mówmy o czymś innym. Co robi Francesco? Kupiliście mu samochód? Wybiera się latem do Ameryki?

– Oczywiście, że trzeba było kupić mu auto, zawsze to lepsze niż skuter. Teraz nie musimy się już tak obsesyjnie bać o niego, przeszliśmy na lżejszy kaliber strachu. Możesz sobie zresztą wyobrazić... ale co innego mogliśmy

zrobić? Wszyscy jego koledzy mają skutery.

– A co z Ameryką?

– W tej sprawie jeszcze nie ustąpiliśmy, ale obawiam się, że wcześniej czy później nas to czeka.

– Posyłałście go od dzieciństwa do angielskiej szkoły, nie mogliście się więc spodziewać, że wakacje będzie spędzać w Rimini czy Rapallo.

– Sądzimy, że prawdziwą przyczyną jest dziewczyna.

– Tak wcześnie?

– Ettore, on ma już dwadzieścia lat!

– Kim ona jest? Dowiedzieliście się?

– Naturalnie! Jest od niego o dwa lata starsza i wybiera się do Ameryki, żeby pracować jako *au pair*. Pochodzi z dobrej rodziny, jak to się mówiło w naszych czasach.

– Ciągle jeszcze się tak mówi. Widzieliście ją kiedyś?

– Wiele razy przelotnie, on chyba o tym nawet nie wiedział. Nie wyobrażasz sobie, jakie wrażenie zrobił na nas jego widok pod ramię z tą blondynką. Wczoraj nam ją przedstawił.

– Nie bądź zazdrosna.

– Chciałabym ciebie zobaczyć na moim miejscu.

– Masz rację. Ale nie powinniście pozwalać mu wyjeżdżać do Ameryki, jest jeszcze za młody.

– To nieprawda, Ettore, jego koledzy w tym samym wieku objechali już pół świata.

Podczas gdy siostra mówiła dalej, odpowiadając na jego pytania, Ettore Malvezzi poczuł nareszcie, jak ciężka atmosfera pałacu watykańskiego rozrzedza się, a umysł odpoczywa, skierowany w inne niż zwykle rejony. Miał przed oczami postać siostrzeńca jak żywą, zobaczył go takim, jaki był, kiedy spotkali się po raz ostatni – był już wtedy wyższy od niego, żywy jak iskra, w ciągłym ruchu, towarzyski, ubrany w rozchełstaną koszulę dżinsową, z kolczykiem w prawym uchu.

Tkwił wiecznie przy telefonie, godzinami rozmawiał z przyjaciółmi. Przy obiedzie potrafił dyskutować z wujkiem i z matką, trzymając jednocześnie przy uchu słuchawkę telefonu, przez który konwersował z koleżanką.

W pewnym momencie rozmowy z siostrą zdarzyło się coś, co przywołało go do rzeczywistości i wygasiło w jednej chwili blask wspomnień. Parę metrów od niego, przy ścianie pokrytej kruszącym się tynkiem, dwa duże szczury biegały tam i z powrotem, nie odważając się na razie oddalić od muru i porwać namierzonego łupu. Łupem tym była niedojedzona kanapka z serem, którą Contarini zapomniał pewnie zabrać przed wyjściem i która leżała teraz na tacy na samym środku pokoju. Szczury były obrzydliwe, czarne, długie i chude, o wąskich pyskach i sterczących wąsach, a ich oczy były zaskakująco białe na tle czarnej sierści.

Wstrząsnął nim dreszcz – te stworzenia nie były podobne do wiejskich szczurów, do widoku których przyzwyczał się już w swojej rezydencji na wzgórzach Langhe. Nie były też podobne do szczurów weneckich, pływających w kanałach. Wyglądały złowrogo i zachowywały się zuchwale, czego dowód dały, oglądając się za tacą z serem, chociaż taca leżała zaledwie parę metrów od niego.

– Ettore, jesteś tam jeszcze? Słyszysz mnie?

– Oczywiście, Claro, wybacz, coś odwróciło moją uwagę.

– Ale czujesz się dobrze, prawda? A jak twoje bóle głowy?

– Nie najgorzej... Wiesz, tu są szczury... Są nieprawdopodobnie duże...

– Powinniście natychmiast zderatyzować Watykan!... – krzyknęła Clara, która nigdy nie kryła swej niechęci do kościelnych instytucji.

– Nie będzie to łatwe przedsięwzięcie!

Podczas gdy Malvezzi żegnał się z siostrą, szczury, dając jeszcze jeden dowód swej arogancji, w odległości paru kroków od niego wdały się na koniec w walkę o kawałek sera. Był to pojedynek zgodny z wszelkimi regułami: z atakami i odwrotami, z ciosami zębów i bojowymi piskami.

– Muszę przerwać, bo szczury strasznie się rozzuchwaliły.

– Chciałam cię jeszcze o coś zapytać. Chodzi o głupstwo, ale zaciekało mnie i rozbawiło też Francesca. Pewna moja przyjaciółka z Vicenzy zadzwoniła do mnie po przeczytaniu w gazecie, że na konklawe zostanie otwarta łaźnia turecka!

– Łaźnia turecka? Czego też ludzie nie wymyślą!

– Bo ja wiem... wcale nie byłoby źle wprowadzić trochę życia na to konklawe...

Po rozmowie z siostrą Malvezzi zwinął gazetę, żeby wygonić szczury, ale gryzonie tymczasem zniknęły spod ściany; przebiegły na drugi koniec obszernego pokoju i zatrzymały się przy drzwiach prowadzących do pokoju Contariniego, w których w tej samej chwili ukazał się kapelan. Młody sekretarz kardynała na widok szczurów dał się ponieść nerwom i zaczął krzyżeć. Widocznie nie zawsze panuje nad sobą tak doskonale, jakby się wydawało.

– Ależ Contarini! Co też ksiądz robi! Proszę zaraz przynieść szczotkę i poinformować administrację, że trzeba zderatyzować apartament. Szybko!

Contarini nawet przed kardynałem nigdy nie potrafił powstrzymać odruchu sięgnięcia po papierosa. Teraz też nie mógł się oprzeć, wyciągnął z kieszeni papierosa i zapalił.

– Contarini, nie życzę sobie, żeby ksiądz palił w moim pokoju! – Ale kapelan już zniknął za drzwiami i prawdopodobnie palił spokojnie dalej na schodach. Całkiem jak Francesco, który doprowadza matkę do białej gorączki palonymi w ukryciu papierosami.

Myśli kardynała co rusz wracają do siostrzeńca. Kiedy włoscy kardynałowie z ożywieniem przeglądają gazety rozrzucone na jego stole, drzwi pokoju otwierają się nagle szeroko i staje w nich młody żołnierz gwardii

szwajcarskiej w rozpiętym mundurze, z hełmem w ręku. Widać, że z trudem trzyma się na nogach.

Żaden z prałatów nie odważa się odezwać słowem. Pijany gwardzista na służbie? To wystarczy, żeby wywołać skandal i odwołać kamerlinga z całą jego świtą.

Młody człowiek ewidentnie pomylił drzwi i Malvezzi nie chce nawet zgadywać, gdzie się kierował. Widział już tę ładną, arogancką twarz o niebieskich oczach, z blond włosami wymykającymi się spod hełmu, wśród kompanów, z którymi Contarini najczęściej rozprasza swoją samotność.

– Jak pan śmie przeszkadzać! I jak pan wygląda! Proszę natychmiast podać swoje nazwisko, jutro będzie się pan tłumaczył przed komendantem – arcybiskup Mediolanu wyraża swoje oburzenie, a może i strach, jakiego doznał ze współtowarzyszami w momencie tego niespodziewanego wtargnięcia. Ale prawdziwą niespodziankę mają jeszcze przed sobą, bowiem w tej samej chwili młodzieniec obraca się błyskawicznie na pięcie i ucieka, znikając w dobrze sobie znanym labiryncie korytarzy.

– Szczęśliwa młodość, pozwólmy mu uciec, w końcu dla dwudziestoletniego chłopca to musi być straszna nuda, pilnować takich staruszków jak my...

Malvezzi wypowiedział te słowa niemal bezwiednie, kierując je bardziej do siebie niż do swoich kolegów. I myślał przy tym o Francescu, o nieracjonalności młodego wieku, która nawet konklawe przydaje bardziej ludzkiego charakteru.

Jednak „Pani” wydaje się być innego zdania.

– Zdziwiasz mnie, Ettore! Bronisz gagatka, który uchybia swojej służbie, który nas obraził i zadrwił sobie z naszego polecenia! – wykrzykuje Alfonso Cerini.

Kardynał dziekan Antonio Leporati, jedyny, który wybiegł z pokoju w ślad za młodym żołnierzem, stoi już z powrotem w drzwiach, z trudem łapiąc powietrze.

– Zniknął... gdybym był trochę młodszy, nie uciekłby mi. Jutro każe komendantowi zająć się nim. Zobaczycie, że go znajdzie.

– Ależ zostaw go, pewnie tak bardzo się wystraszył, że nigdy już nie odważy się na podobny wybryk – nalega Malvezzi, niespieszony oburzeniem Ceriniego. I zaraz zmienia temat, starając się zwrócić uwagę zebranych na naglący problem opinii publicznej. Prasa pisze o konklawe niezbyt życzliwie, co może negatywnie wpłynąć na obraz Watykanu.

– Musimy zahamować wyciek informacji. Może powinniśmy zablokować telefony albo kontrolować rozmowy.

– To trudne do zrealizowania, drogi Ettore, bardzo trudne, a i tak ryzykuje się przy tym rozmowy poza zasięgiem kontroli – zauważa arcybiskup Florencji, gotów puścić w niepamięć wybryk młodego Szwajcara. – Poza tym nie zapominaj o szatańskim wynalazku internetu.

– Chciałbym coś powiedzieć. Dziwię się, że do tej pory nikt jeszcze nie podniósł tej kwestii. – Już sam wstęp zapowiada polemiczny charakter wypowiedzi, którą poprzedza. Zresztą tego właśnie należy się spodziewać po osobie występującej z owymi słowami, to znaczy po arcybiskupie Mediolanu.

Wszyscy w milczeniu zwracają na niego oczy, w kąt stołu, tam, gdzie dociera najmniej światła.

– Posłuchajcie, czy to my przeprowadzamy konklawe, czy też może redaktorzy tych szmatławców pełnych kłamstw? Jeżeli weźmiemy sobie do serca zarzut, że nie działamy dostatecznie szybko, przyznamy, że powinniśmy dostosować nasze postępowanie do modelu, jaki nam narzucają i jaki wpajają opinii publicznej ci wyrachowani mistrzowie kłamstwa. Znamy redaktorów naczelnych tych gazet co do jednego, od wielu lat. Dobrze wiemy, komu służą, kogo się boją, kto nimi kieruje i czym zapłacili, żeby dojść do swoich stanowisk. Może czasem i nam zdarzało się posłużyć ich wpływami i ich władzą, by przykroić jakiś fakt do własnych interesów. Więc proponuję wam coś: nie czytamy ich więcej, okazmy odwagę i

godność, jakich wymaga zadanie, do którego zostaliśmy wezwani.

– Masz rację, Alfonso, postępujemy tak, jakbyśmy chcieli się dopasować do wizerunku, jaki wykreowały media. To tak, jakby cień stał się panem ciała i jakby ciało podążało za nim jak niewolnik – skomentował Malvezzi, zaskoczony refleksją mediolańczyka, który zwykle rozumował raczej w kategoriach polityki i kościelnej administracji niż ideałów.

– Jeżeli nawet Kościół daje się złapać w pułapkę opinii publicznej, czarno to widzę – solidaryzuje się z nim arcybiskup Florencji i patrzy dookoła zza swych grubych okularów, jakby chciał sprawdzić, kto z zebranych jest gotów zignorować szum medialny wokół tak ważnego wydarzenia.

– Nie przesadzajmy, telewizja nam zawsze pomagała. Relacja z rozpoczęcia konklawe oglądana była przez miliony widzów – wtrąca kardynał Rabuiti, niemile zdziwiony, że mediolańczyk zajął pozycję tak odległą od ducha czasów. Porem, korzystając z pierwszej okazji, by zostawić ten drażliwy temat, przypomina zebranych o celu zebrania:

– Przepraszam bardzo, ale przyszliśmy tutaj, żeby przygotować się do głosowania. Mieliśmy poznać rezultaty naszych sondaży i rozmów.

Po kilku chwilach zaczyna się dyskusja na temat tendencji dominujących wśród przedstawicieli poszczególnych krajów.

Kardynał Vladimiro Veronelli nie kończy kolacji, bo musi towarzyszyć hrabiemu Nasalli Rocca, naczelnemu inżynierowi służb technicznych Watykanu, w inspekcji wieży Świętego Jana. Jeszcze dwa dni wcześniej mógł w spokoju delektować się sztuką kulinarną zakonną. W menu było risotto z szafranem, karczochy po żydowsku, sałatka owocowa z maraschino, białe wino z Locorotondo...

Kęś za kęsem smakował wszystkie te potrawy, przygotowane przez siostry pracujące w kuchni Pałacu Apostolskiego. Wrażliwe dziąsła, reagujące bólem na nową protezę, nie pozwalały na prędkie jedzenie. I pomyśleć tylko, że przy stole był kiedyś taki szybki... W dzieciństwie rodzice często strofowali go za łapczywe jedzenie i stawiali jego braci za przykład dobrego zachowania.

Od dawna już nie kontaktował się ze swoimi braćmi. Podobnie zresztą jak ze szwagierkami i bratankami, z których wszyscy założyli już rodziny, a niektórzy mieli własne dzieci. Jego ulubienicą była bratanica odbywająca teraz nowicjat w jednym z neapolitańskich klasztorów. Członkowie jego licznej rodziny nie krępowali się prosić wujka kardynała o protekcję i przysparzali mu niemało problemów. Może zresztą on sam dopuścił do tego, że nabrali złych przyzwyczajeń.

Nigdy jednak nie miał z nimi tylu kłopotów, co z tą ogromną rodziną ponad stu braci purpuratów, którzy teraz na pozór działali pod jego kierownictwem... Tylko na pozór, bo każdego dnia na nowo przekonywał się, że na jego wolę nakładało się wiele czynników od niego niezależnych: manipulacje, samodzielne inicjatywy, naruszenia regulaminu, złośliwości, rywalizacje, alianse oraz ich nagłe zerwania i wszelkie nieporozumienia, wynikające z koegzystencji przedstawicieli tylu ras i kultur.

Rozmyślał nad niespodziewanym wynikiem ostatniego zebrania elektorów, na jakie został zaproszony – zebrania kardynałów z Europy

Wschodniej. Jednocześnie analizował niezwykle wydarzenia ostatnich dni.

Przede wszystkim inwazję szczurów na Watykan.

Nie były to szczury z kanałów, rzek czy z pól, te bestie miały monstrualne rozmiary, dzikie pyski i oczy, które wydawały się z uwagą obserwować otoczenie. W ciągu niewielu dni podzieliły między siebie pole działania, niczym piekielne oddziały wyruszające na zdobycie raję. Kiedy kardynałowie zebrani w Kaplicy Sykstyńskiej zobaczyli, jak szczury biegają między ich nogami podczas hymnu *Veni Creator Spiritus*, wielu z nich nie zdołało opanować dreszczu obrzydzenia.

Kardynał z Tokio nie wytrzymał, gdy poczuł, że jedna z tych bestii gryzie go w nogę, dobierając się do skórzanej podeszwy butów, i krzyknął na cały głos, czego efekt był dość komiczny, zważywszy, że tym dramatycznym dźwiękiem dostroił się idealnie do tonacji wykonywanego właśnie świętego hymnu.

Tego samego popołudnia po raz pierwszy mogło się wydawać, że uda się wreszcie osiągnąć kwalifikowaną większość, odnotowano bowiem najznaczniejszą od początku konklawe koncentrację głosów na jednym nazwisku, mianowicie jednego z najbardziej kontrowersyjnych purpuratów, Palestyńczyka Nabila Youssefa.

Veronelli przy szklance białego wina rozmyślał nad tym wydarzeniem, dochodząc do wniosku, że to złudne zbliżenie do porozumienia było ironią losu. Wybór tej właśnie osoby przez znaczną liczbę głosujących nie był dziełem Ducha Świętego, ale kpina szatana. Po ogłoszeniu rezultatu kardynałowie zareagowali niespodziewanie gwałtownie, jak nigdy dotąd, dzieląc się na dwa wrogie obozy: zwolenników i przeciwników kontrowersyjnego kandydata. Panujące uczucia najgwałtowniej wyraził arcybiskup Bostonu – gestem, na który kamerling musiał później zareagować surowym upomnieniem.

Amerykanin zerwał się mianowicie ze swojego miejsca, zbliżył do Palestyńczyka i wykrzyknął po angielsku:

– Na tym twoja kariera się kończy, możesz nie mieć złudzeń!

Z problemem plagi szczurów dotąd się nie zmierzono. Choć z każdym dniem nadchodziły coraz bardziej alarmujące sygnały, specjaliści od deratyzacji nie mogli podczas konklawe przekroczyć progów Watykanu.

Kardynał kamerling najbardziej zaniepokoił się podczas wizyty w Muzeach Watykańskich, gdzie udał się na usilne prośby dyrektora. Ohydne szczury opanowały także i to miejsce, zaczęły podgryzać nastawy ołtarzy, ikony, płótna i obrazy o wszelkiej tematyce – wyraźnie jednak preferowały dzieła sakralne, które przeważają w tej unikatowej kolekcji. Szokujące było zobaczyć je przy dziele niszczenia, widzieć, jak gryzą palce świętych, infuły biskupów, zębate koła świętej Katarzyny, oczy świętej Łucji, piersi świętej Agaty, skrzydła cherubinów, płaszcz okrywający Madonnę podczas ucieczki do Egiptu, czerwone szaty Chrystusa, o które grali w kości rzymscy legionieści... I przekonać się, że nie reagują na próby wypłoszenia ich i dalej prowadzą dzieło destrukcji, krusząc swoimi ostrymi zębami grzywę lwa u stóp świętego Hieronima, pograżonego w lekturze, wiosła z łódki świętego Pawła, rozbitka na Malcie, żagle okrętu gnanego wiatrem po jeziorze Genezaret, zanim Pan Bóg uspokoił burzę...

Całe to zjawisko było tym bardziej zadziwiające, że niestrudzone zęby bluźnierczych gryzoni jak dotąd nie ośmieliły się dotknąć wizerunków Chrystusa i jego przenaświętszej Matki.

Oszołomiony ze zdumienia kamerling, podobnie zresztą jak dwaj kardynałowie z Kurii, Rafanelli i Rondoni, którzy donieśli mu o tym fakcie, wyciągnął z tego wniosek, że Pan Bóg wciąż jeszcze otacza swoją opieką ten pałac, w którym przez wieki służono mu i go zdradzano.

Ale jak długo to jeszcze potrwa?

Wydawało się, że zależy to od nich, od wykorzystania talentów, jakie otrzymali od Ducha Świętego, od umiejętności dokonywania właściwych wyborów... I to nie tylko wyborów związanych bezpośrednio z

głosowaniem na konklawe, ale dotyczących wszystkich dziedzin codziennego wspólnotowego życia tak różnych osób, które wcześniej często się nawet nie znały, które przyniosły z sobą najrozmaitsze obyczaje i przyzwyczajenia, i które już od dwudziestu dwóch dni musiały przebywać razem. Kilka godzin wcześniej, podczas zebrania purpuratów z Europy Wschodniej w pokoju „Brata”, kardynała Matisa Paide, Vladimiro Veronelli podjął jedną z najtrudniejszych decyzji.

Wszyscy poparli Estończyka, kiedy ten, z największą swobodą, ponownie poprosił o zainstalowanie sauny i łaźni tureckiej na konklawe. Zrobił to w sposób grzeczny i naturalny, jakby prosił o dodatkowy koc z wełny dla tych starych ludzi, wrażliwych na zimno. Veronellemu przyszło do głowy podejrzenie, że to Paide przekazał dziennikarzom informację, że kardynałowie w Watykanie będą mogli korzystać z kąpieli parowych... Któż inny mógłby to zrobić?

Miał wrażenie, że także w tym przypadku obraz wykreowany przez prasę narzucił model postępowania Kolegium, a nie odwrotnie. Wiedział, że o tym właśnie, bardzo ważnym dla konklawe mechanizmie dyskutowano podczas jednego z najbardziej ożywionych zebrań Włochów. Musiał ustąpić, chociaż wcale nie nabrał przekonania do tego absurdu. Otrzymał jednak coś w zamian. Zebrani kardynałowie obiecali, że nie będą stawiać przeszkód, gdyby w którymś z przyszłych głosowań pojawiła się znowu tendencja do koncentracji głosów na Palestyńczyku. Kto wie, pomyślał Veronelli, być może papież zostanie wybrany, zanim zacznie funkcjonować łaźnia turecka...

Stało się jednak inaczej.

W kolejnych czterech głosowaniach, porannych i popołudniowych, głosy znowu były rozproszone, natomiast dwa dni po pamiętnej, niedokończonej kolacji, główny inżynier Państwa Watykańskiego zawiadomił kamerlinga, że w wieży Świętego Jana wszystko gotowe. I jeżeli Jego Eminencja zechce podążyć za nim, pokaże mu, jak działają nowe urządzenia.

– Już działają? Od kiedy?

– Od dzisiejszego popołudnia, od kiedy to arcybiskupi Pragi i Warszawy, w towarzystwie osobistych sekretarzy, zapragnęli zainauguować łaźnię.

Inżynier, hrabia Paolo Nasalli Rocca, dziwi się, że Veronelli nic o tym nie wie. I znowu, po kolacji spożytej w pośpiechu, zredukowanej więc z powodu problemów ze sztuczną szczęką do kilku zaledwie kęsów, kamerling podąża za realizatorem tego szalonego pomysłu. Nie ma pojęcia, jak należy się ubrać do łaźni. Idzie powoli za Roccą, w ręce trzyma torbę, spakowaną naprędce przez sekretarza. Nie chciał zobaczyć, co jest w środku, zdał się całkowicie na Squarzonego, który od dwudziestu lat zajmuje się wraz z siostrą Marią Rosarią jego garderobą.

W miarę jak mijają szeregi słabo oświetlonych pokoi i zbliżają się do wieży, rośnie w nim pragnienie, żeby zapytać inżyniera o to, o co nie ośmielił się zapytać sekretarza: czym należy się okryć w łaźni tureckiej? Prawie już otwiera usta, żeby wystąpić z tym krępującym pytaniem, kiedy niespodziewanie zza niedomkniętych drzwi po prawej stronie korytarza wypada horda szczurów i zagraża im drogę. Tyle szczurów naraz nie widział jeszcze w żadnym innym skrzydle Pałacu Apostolskiego, a przecież obszedł je niemal wszystkie, z góry na dół, z grupą śpiewaków z chóru papieskiego, uzbrojonych w trutkę, którzy na tę okazję przyjęli funkcję bicia bożego przeciw pladze zagrażającej temu świętemu miejscu. Izolacja od świata podczas tych coraz wolniej mijających dni zmuszała do wykonywania różnych zawodów.

– Są już i tutaj... tutaj też... Brakuje mi ludzi, wszyscy pracują przy uszkodzeniach w muzeum... Co powie świat, kiedy się dowie, że święty Hieronim Leonarda da Vinci został zjedzony przez szczury?!

– Proszę uważać, Eminencjo, mogą być niebezpieczne. Są głodne, bo od kiedy trzymamy pod kluczem zapasy żywności, nie znajdują nic do jedzenia.

– Niech pan prowadzi, hrabio; dźwiga pan na barkach mniejszy ciężar lat i o tej porze dnia lżej panu utrzymać się na nogach.

Ale nie jest łatwo dotrzeć do przeciwnego końca pomieszczenia, gdzie zaczyna się ostatni korytarz prowadzący do wieży Świętego Jana. Trudno zrozumieć, dlaczego właśnie z sąsiedniej sali wypadło tyle szczurów. Kardynał kamerling gestem nakazuje inżynierowi, żeby się zatrzymał. Zamierza przekonać się o tym osobiście. Cofa się kilka kroków i otwiera na oścież drzwi do tego pomieszczenia.

Teraz rozumie. W pokoju złożone są obrazy wymagające konserwacji, oficjalne portrety kardynałów. Z wizerunków purpuratów zachowało się niewiele więcej niż fragmentaryczne kontury twarzy i ubrań, dziurawa czerwień płaszczy i resztki dłoni, spoczywających na Ewangelii. A przy nich mrowie bestialskich morderców, zajętych wymazywaniem z historii tych twarzy, tych nazwisk, tych tytułów; jeden wielki ponury chrobot zębów na obrazach, ramach, drewnie – rozdrabnianych i kruszonych, żeby skończyć w tych wygłodniałych pyskach.

Na widok intruzów szczury czują się zagrożone i całą zgrają rzucają się w kierunku drzwi, żeby zaatakować wroga.

Nasalli Rocca ledwo zdążył zasłonić kardynała Veronellego, wyciąga go za sobą z pokoju i z całej siły zatrzaskuje drzwi.

– Ależ to jest... potworne!

– Eminencjo, jutro poproszę o pomoc urząd miejski. Mają wyspecjalizowany personel.

– Nie, nie można, przecież pan wie.

– Jak Wasza Eminencja sobie życzy, ale sytuacja wymaga podjęcia środków wyjątkowych, choćby były niezgodne z normami konklawe.

– Z powodu szczurów, które zjadają portrety kardynałów? W końcu nie są to cenne dzieła... A może zresztą wielu z nas wcale nie warto pamiętać...

– A Muzea Watykańskie? A płótna z kaplic pałaców watykańskich?

– Tymi się rzeczywiście martwię, ale na razie musimy się zadowolić chórzystami.

– Naszymi śpiewakami? Mają piękne głosy, ale za pozwoleniem,

Eminencjo, oni nie potrafią posługiwać się gaśnicą, może nawet nie wiedzą, jak manipulować węzłem gumowym, a co tu mówić o masce przeciwgazowej! Nie nadają się do tego!

Kardynał kamerling, odzyskawszy animusz, kieruje się w głąb podłużnego pomieszczenia i nie podejmuje tematu. Czemu właśnie jemu przyszło kierować tym konklawe! Jemu, który nie może doczekać się dnia, kiedy będzie mógł wrócić na stałe do swojej posiadłości w Arcetri, między wzgórz rodzinnej Toskanii... Dlaczego właśnie jemu się to przytrafiło?...

I co teraz? Co się robi w łaźni tureckiej? Jak się należy zachować w towarzystwie tylu nagich mężczyzn? W tym miejscu kardynałowie nie będą się niczym odróżniać od innych...

Zbiera się na odwagę i prosi:

– Hrabio Rocca... niech hrabia wejdzie ze mną do łaźni... – pokorny, błagalny głos kamerlinga wprawia inżyniera w zakłopotanie. Cóż może odpowiedzieć temu przestraszonemu starym człowiekowi? Nasalli Rocca, mężczyzna pięćdziesięciodwuletni, znawca natury ludzkiej, mierzący sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, przystojny i energiczny, stara się odzyskać właściwą sobie swobodę.

– Ależ oczywiście, Eminencjo, będę tylko musiał prosić o pożyczenie ręcznika, bo nic z sobą nie wziąłem.

– Ręcznika? Dlaczego? Trzeba się okryć ręcznikiem?

– Ręcznikiem albo płaszczem kąpielowym, ale myślę, że w torbie Waszej Eminencji znajdziemy wszystko.

– Nie wiem, co w niej jest, przygotował ją monsignore Squarzoni. Ale nie mam zielonego pojęcia, jak się należy ubrać, dlatego bardzo hrabiego proszę o towarzyszenie mi, hrabia na pewno wie, jak trzeba się zachować w takim miejscu...

Naczelny inżynier uśmiecha się, rozbrojony prostodusznością i niedoświadczeniem kardynała kamerlinga.

Widać już wejście na ostatnie piętro wieży. Za tymi nowiutkimi szklanymi

drzwiami znajduje się sauna z łaźnią turecką, tłumaczy inżynier kamerlingowi. Ale zanim przekroczą próg, hrabia Nasalli Rocca odważa się wreszcie powiedzieć coś, co od jakiegoś już czasu nosi w sobie, podobnie jak purpurat, który nie ośmielił się zapytać o ubranie odpowiednie do sauny:

– Eminencjo, proszę wybaczyć śmiałość, ale myślę, że znalazłby się sposób na plagę szczurów, sposób naturalny i bardzo skuteczny... chociaż może w tym miejscu nie najstosowniejszy.

– A czy hrabia uważa, że sauna jest stosowna? Mnie już nic nie zdziwi!

– Eminencjo, mam na myśli koty. Koty to najskuteczniejsza broń przeciw myszom i szczurom, od kiedy Bóg stworzył świat.

– Koty! To prawda! Koty skończą ze szczurami. Tak samo robiliśmy w moim domu w Arcetri.

– W Rzymie jest mnóstwo bezdomnych kotów, które nie marzą o niczym innym, jak o tym, żeby rzucić się na nasze szczury i pożywić się nimi.

– To prawda, moja bratanica, która mieszka na Zatybrzu, dokarmia ich z tuzin. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyśleliśmy? Proszę się zastanowić, w jaki sposób można złapać większą ilość. W ten sposób pomożemy wielu dzielnicom miasta, możemy nawet zapłacić, jeśli będzie trzeba... Obiecacie właścicielom, którzy będą skłonni wypożyczyć nam swoje koty, że oddamy je dobrze odżywione. Ludzie pobożni będą mogli odnieść jeszcze jedną korzyść: otrzymają odpust zupełny za spełnienie dobrego uczynku na rzecz Kościoła...

– I na rzecz sztuki, Eminencjo. Jeżeli nie są wierzący, można im wspomnieć o Muzeach Watykańskich.

– Tak czy inaczej będziecie musieli działać dyskretnie, z tym też nie możemy zwrócić się do urzędu miasta czy do rządu.

– Do łapania kotów wyślę najbystrzejszych z naszych seminarzystów i studentów, sądzę też, że chórzyści lepiej sobie poradzą z łapaniem kotów niż z polowaniem na szczury.

– Miejmy nadzieję, hrabio. I proszę się pośpieszyć; nalegam, żeby się

pośpieszyć...

Kiedy kardynał przekracza próg sauny, jest już po wpół do dwunastej. Pomysł hrabiego tak bardzo podniósł go na duchu, że uśmiecha się do dwóch kapłanów w fioletowych płaszczach kąpielowych, którzy schylają głowy, żeby ucałować jego pierścień.

– Tędy, Eminencjo, wskażemy, gdzie jest kabina Waszej Eminencji.

– Dajcie też kabinę naczelnemu inżynierowi Watykanu. Chce sprawdzić, jak działa to jego dzieło sztuki – żartuje Veronelli i bez przykrości podąża korytarzem za dwoma księżmi.

– Kto? Kardynałowie z Pragi i z Warszawy? Tylko? Ależ nie, inżynier jest źle poinformowany, byliśmy zajęci przez całe popołudnie przy obsłudze chętnych. – Zmęczenie na twarzy starszego z księży dowodzi prawdy wypowiedzianych słów.

– To była prawdziwa procesja, Eminencjo, ale... – zatrzymuje się, pomyślawszy, że może użył niezbyt fortunnego porównania.

Kamerling zdobywa się jednak na swobodny ton:

– Procesja? Natura ludzka jest zaiste nieodgadniona... A ja tak bardzo obawiałem się krytyk w związku z zainstalowaniem tego nowego urządzenia. A propos: będę musiał poświęcić łaźnię.

– Przygotowaliśmy już wodę święconą i kropidło, Eminencjo. Tutaj są szatnie.

– Proszę podać mi torbę. Otwórzmy ją razem, pomożecie mi znaleźć coś odpowiedniego dla inżyniera, on zostawił swoją torbę w domu. – Woli nie przyznawać się księżom, że nie wie, co jest w środku. Chce sprawiać wrażenie, jakby dla niego wszystko to było jak najbardziej naturalne.

Z torby podróżnej wydobyte zostają wełniane kalessy z szelkami, dwa duże białe ręczniki i jeden mały, para skarpet, gumowe pantofle, łyżka do butów, grzebień, szczotka, suszarka do włosów, krem tonizujący i butelka *eau de toilette*.

Twarze obu księży są nieprzeniknione i kamerling w żaden sposób nie potrafi z nich odczytać, czy dysponuje właściwym wyposażeniem, a przede wszystkim – którą z tych rzeczy dać inżynierowi. Ale oto sam Nasalli Rocca ratuje go z opresji:

– Wystarczy mi ten mniejszy ręcznik, owinę się nim w biodrach. Gdybyście gdzieś znaleźli plastikowe klapki, niczego więcej nie byłoby mi trzeba.

– Zaraz je dla hrabiego znajdziemy.

– Czy nie mają księży przypadkiem płaszcz kąpielowy dla kardynała, podobnego do waszych? – odważa się zapytać inżynier.

– Owszem, ale w innym kolorze. Kardynałom należy się biały. Proszę, Eminencjo. Wewnątrz łaźni można go zdjąć i zawiesić na wieszaku.

– Proszę też zabrać jeden z ręczników, Eminencjo – radzi Nasalli Rocca. – Może się przydać, to zależy od temperatury wewnątrz sauny i od ilości pary. Jeżeli moi robotnicy dobrze wykonali swoją pracę, w środku może być tak gorąco, że nie wytrzymamy w płaszczach kąpielowych.

– Pracowali bardzo dobrze – przyznaje jeden z księży. – Kardynałowie z Europy Wschodniej orzekli, że temperatura jest idealna, a oni znają się na tym.

– Chodźmy więc, robi się późno. Czy jest jeszcze ktoś w środku?

– Oczywiście, Eminencjo.

Stary kardynał i naczelny inżynier przebierają się w swoich kabinach. Pierwszy wychodzi Nasalli Rocca, w plastikowych klapkach, przepasany w biodrach ręcznikiem w kolorze śliwki. Nie czuje chłodu, jak się obawiał, z oddali dochodzą łagodne dźwięki muzyki organowej, gdzieś już słyszanej; wydaje mu się, że to *Mesjasz* Haendla, ale nie jest całkiem pewny. Po dziesięciu minutach z sąsiednich drzwi wychodzi Veronelli, okryty białym płaszczem kąpielowym, na stopach ma klapki o parę numerów za duże.

– Posłuchajcie, poświęcę to miejsce kiedy indziej, kiedy dacie mi znać, że nikt z niego nie korzysta. Jeżeli będę wtedy zajęty, co jest możliwe przy całym tym nawale pracy, zrobi to za mnie monsignore Attavanti. Inżynierze, czy nie jest panu zimno?

– Nie, świetnie się czuję, Eminencjo.

– Chodźmy więc.

– Tędy, proszę.

Mała grupka kieruje się w stronę obrotowych drzwi w głębi sali. Dochodząca zza nich muzyka staje się głośniejsza. Ugandyjski kapłan wchodzi jako pierwszy, za nim hrabia Nasalli Rocca i, po chwili wahania,

kardynał kamerling.

W środku jest bardzo wilgotno i ciemnowo. To lepiej, myśli kardynał, nikt nikogo nie rozpozna. Serce mocno mu bije i przez chwilę czuje pokusę, żeby zawrócić. Zerknął już nawet do tyłu, na obrotowe drzwi, kiedy poczuł na ramieniu delikatny dotyk dłoni.

– I ty tutaj, drogi Vladimiro?

Widzi przed sobą niską, okrągłą postać, zaledwie okrytą płaszczem kąpielowym z rozwiązanym paskiem; w słabym świetle trudno rozróżnić rysy twarzy.

Jedne z drzwi otwierają się, wpuszczając strumień pary, co praktycznie uniemożliwia rozpoznanie tego człowieka, ale Veronelli po głosie odgaduje, że to Celso Rabuiti. Jednocześnie w zaparowanym, mrocznym pomieszczeniu, w rzadkich promieniach światła, które co jakiś czas przedzierają się przez kłęby pary, dostrzega wiele białych postaci. Muzyka jest teraz głośniejsza, tak, to na pewno *Mesjasz* Haendla, fragment najślawniejszy: *Alleluja*. Ktoś przerwał poprzednią partię oratorium i włączył ten wielki finał II części.

– To specjalnie dla ciebie, drogi Vladimiro. Od razu rozniosło się, że tu jesteś.

Veronelli rozpoznaje baryton Sira Ferrazziego, arcybiskupa Bolonii. Kamerling ogromnie się poci, a poza tym nie wie, gdzie zwrócić wzrok, bo przyzwyczajając się do półmroku, dostrzega wielu uczestników konklawe nago jak ich Pan Bóg stworzył.

Długie, związane w pasie, białe płaszcze kąpielowe, które kilku użytkowników łaźni ma jeszcze na sobie, w tej onirycznej atmosferze przywodzą mu na myśl strój najdostojniejszy z dostojnych, który jednemu z nich przyjdzie nosić. Ten strój czeka już gotowy w trzech rozmiarach, żeby pasował na różne wymiary ciała przyszłego papieża.

Nie wytrzyma tego gorąca. Rozwiązuje pasek i podnosi na ramionach swoje białe okrycie. Cięży mu, jakby było zrobione z ołowiu, podobnie jak

szata pokryta na zewnątrz warstwą złota, która w *Boskiej komedii* swoim piekielnym gorącem katowała hipokrytów.

– Powinieneś przejść do pomieszczenia, w którym jest sauna fińska – namawia go Rabuiti.

– Nasalli Rocca... Gdzie on jest? – pyta błagalnym głosem Veronelli, czując się zagubiony, niezdolny do działania bez swojego przewodnika, bez człowieka, który był świadkiem przemiany kardynała kamerlinga w nagie, spocone ciało, wchłaniające parę. To jedyna osoba, która w tej chwili może go uspokoić i odwieść od myśli, że oto przeżywa najstraszniejszy koszmar swego życia.

– Eminencjo, jestem tutaj, z tyłu, czy Wasza Eminencja mnie nie widzi?

– Tak, teraz tak. Bałem się, że zgubiłem gdzieś pana.

Jak tylko stąd wyjdzie, pierwszą osobą, do jakiej wystąpi z pretensjami, będzie ten szalony Paide, to z jego winy wpadł w tę pułapkę. Ale komu może wyznać swoją własną winę? Kto rozgrzeszy go z tego, że zgodził się urządzić w Pałacu Apostolskim sanatorium? I jak to jest możliwe, że jego bracia spacerują sobie spokojnie w kłębach pary jak aniołowie w raju?... I do tego jeszcze to *Alleluja*, które dochodzi właśnie do kulminacyjnego punktu swego rozradowania. Skąd przyszło im do głowy, żeby go powitać właśnie tą muzyką? On słuchał jej dotąd tylko i wyłącznie od ołtarza, w najbardziej uroczystych szatach, ozdobionych złotem i szlachetnymi kamieniami, w złotem haftowanej mitrze, podczas najważniejszych świąt, przy celebrowaniu mszy w asyście dwóch biskupów. Teraz grają ją dla niego, kiedy jest półnagi, a zmęczone ciało domaga się uwolnienia także od tej resztki ubrania, która jeszcze daje pozór przyzwoitości... A to białe okrycie? Białe okrycie na nagim lub prawie nagim ciele! Ale jeżeli tuż przy wejściu jest tak gorąco, to w środku będzie jak w piecu! Za tymi drzwiami nikt nie wytrzyma w płaszczu kąpielowym... W desperackiej próbie odwrotu zwraca się do inżyniera:

– Hrabio Nasalli Rocca, czy tu nie miało być też łaźni tureckiej? Proszę

mnie do niej zaprowadzić.

– Proszę tędy, to te drzwi, z których przedtem buchnęła para.

Podąża za inżynierem i przechodzi przez drzwi z jasnego drzewa, z okrągłym, zaparowanym okienkiem, przez które nic nie widać.

Półmrok ustępuje tutaj miejsca niebieskiemu, sztucznemu światłu dochodzącemu z niewiadomego źródła. Gęsta para nie pozwala dostrzec szczegółów. Pod trzema ścianami obszernego pomieszczenia ustawiono taborety, na których siedzi kilka osób bez białych płaszczy kąpielowych. Tutaj przynajmniej nie nasuwa się żadne bluźniercze skojarzenie. Ale kim są ci ludzie? Na jego widok podnoszą się z taboretów. O Boże! Rozpoznali mnie i chcą mnie uhonorować! Wybrzmiewają ostatnie dźwięki *Alleluja*...

– Jakiż to zaszczyt, Vladimiro!

– Witaj, witaj, drogi Vladimiro.

– Miło cię widzieć.

– Nie fatygujcie się, usiądźcie, proszę. – W chórze powitań rozpoznaje łagodny głos tego, który spowodował to wszystko, Matisa Paide. Nasalli Rocca zaprasza kamerlinga na sąsiedni stół:

– Proszę się odprężyć, Eminencjo. Korzyścią łaźni tureckiej jest ulga, jaką przynosi znużonemu ciału. Proszę usiąść obok mnie i pozwolić, żebym odwiesił płaszcz kąpielowy. Proszę zostawić sobie tylko ręcznik na nogach, ale nie związywać go, krew musi krążyć swobodnie, bez przeszkód, o tak.

Pozwala kierować sobą jak dziecko, ustępują ostatnie opory. Siada przy inżynierze i poddaje się uczuciu przyjemności, wywołanym miłym ciepłem panującym w tym pomieszczeniu, pieszczocie łagodnych biczów wodnych, które rytmicznie tryskają z dwóch nisko umieszczonych otworów. Ciągle jeszcze słyhać muzykę Haendla, ale teraz jest to wolne, skupione recitativo, dalekie w nastroju od triumfalnych dźwięków *Alleluja*. Przyjemnie jej słuhać, podczas gdy rosnące obezwładnienie stopniowo rozluźnia sztywne członki, sprawiając, że resztki dręczących go trosk powoli znikają...

Biblijna inwazja szczurów. Koty, które trzeba skraść miastu, żeby broniły

Watykanu. Wiadomości zza murów, ostatnie rozmowy telefoniczne z niecierpliwymi władcami tego świata. Niedotrzymane umowy na porannym głosowaniu. Niepokoje i polemiki wywołane kandydaturą Palestyńczyka... Nareszcie wszystko traci ważność, nic już nie wydaje się warte troski, jeżeli ciało, jego stare, siedemdziesięcioośmioletnie ciało tak wspaniale reaguje na tę chwilę relaksu, na którą pozwolił sobie podczas tego straszliwego konklawe.

Poprzez kłęby pary dostrzega postać podobną do Matisa Paide, ale uraza do tego człowieka też gdzieś znikła, pozostawiając miejsce na zupełnie inne uczucia, bliższe zrozumieniu i serdeczności.

Radość klauzury... Przypomina sobie słowa kardynała z Północy: „Trzeba, żeby ciało wszystkimi zmysłami doznało tej radości”. I ze zdumieniem zdaje sobie sprawę, że nie zwrócił nawet uwagi na spojrzenia innych, czyli na to, czego najbardziej obawiał się w tym miejscu. Teraz trzyma spuszczone powieki, nie ma ochoty patrzeć na nikogo, śledzić rzeczywistości, woli poddać się biegowi myśli, z zamkniętymi oczami, nie jest już kamerlingiem, nie jest nikim...

Kiedy je otwiera, rozpoznaje powolny, miękki głos jednego z kardynałów frankofońskich, który mówi o najbliższych wyborach. Będzie głosować na prymasa Hiszpanii, podobnie jak wielu Hiszpanów i Francuzów...

I znowu wraca troska o jutro...

Jednak ton rozmowy kardynałów wydaje się różny od tego, jakim dyskutują, gdy są normalnie ubrani. Brak w nim wrogości i rywalizacji, jest za to prostota i naturalność. W głosach brak któregoś z odcieni, ale trudno mu zdefiniować którego. Słucha wyważonych słów jednego z Latynosów, kardynała z Bogoty, który nie wydaje się brać siebie zbyt serio. Co za różnica! Przez ten czas, kiedy przebywają tutaj nadzy, zdają się nie pamiętać, kim są, jakie funkcje sprawują i jak powinni być traktowani przez innych – o czym nie zapominają ani na chwilę w Kaplicy Sykstyńskiej.

Otwiera szeroko oczy, kiedy w półmroku, w kłębach pary dostrzega na

frontowej ścianie nagiego Chrystusa na krzyżu.

Jest prawie pierwsza w nocy, gdy opuszcza wieżę Świętego Jana w towarzystwie naczelnego inżyniera Watykanu i trzech purpuratów.

Od dawna już nie czuł się tak dobrze. Rozgląda się jeszcze przez chwilę po przedsionku łaźni, podczas gdy dwaj kapłani, z Filipin i z Afryki, schylają głowy, żeby ucałować jego pierścień. Gest ten na moment napęnia go melancholią, przypomina mu bowiem o ciężarze piastowanej funkcji, o tym, że wraz z ubraniem, które właśnie włożył, wróciła znów ta obsesyjna konieczność reprezentowania. I dochodzi do wniosku, że miejsce, które wzbudzało w nim takie obawy, jest czymś w rodzaju konklawe wewnątrz konklawe. Miejscem odosobnienia i skupienia, *cum clave* – pod kluczem. Ale tutaj to skupienie i odosobnienie następuje w sercu, dzięki nagości ciała, nie zaś poprzez izolację od świata, wymuszoną pełnioną funkcją i krótkotrwałą władzą, która tak często decydowała o biegu historii.

W momencie, gdy dwaj księża całują jego pierścień, zgaduje, że zgodzili się pewnie na sprawowanie tej posługi, bo sami nie są niewrażliwi na spojrzenia, których on tak bardzo się tutaj obawiał. I po raz pierwszy chce mu się śmiać z tego, co przepełniało go takim lękiem, i zatrzymuje się, żeby pobłogosławić ich po ojcowsku.

Nazajutrz po inauguracji sauny hrabia Nasalli Rocca, podczas gdy księżęta Kościoła na nowo szukają porozumienia w sprawie osoby przyszłego papieża – osobiście przeprowadza w mieście rekonesans miejsc, w których jest najwięcej kotów.

Zaraz potem odbywa się regularne polowanie, które wielu najstarszym rzymianom przywodzi na myśl ostatnie miesiące wojny, kiedy miasto dotknęła klęska głodu. Wtedy te biedne zwierzęta często kończyły swój żywot w garnku. Teraz do wybranych zakątków Rzymu – w pobliże Panteonu, na Forum Romanum, na plac Argentina, w zaułki Grillo, na plac Vittorio i plac Sallustio – zajeżdżają z samego rana, wolno i dyskretnie, duże czarne samochody. Wsiadają z nich szczupli, bladzi młodzieńcy, lekko zdezorientowani, ale wszyscy posłusznie poddający się kierownictwu mężczyzny, który, jak widać, dobrze zna Rzym i jest łącznikiem między grupami.

Wabią koty smaczными kąskami, rozmieszczonymi w punktach, gdzie zapach kociej uryny wskazuje na ich obecność, po czym zarzucają na zwierzęta sieci. Szamocąc się i miaucząc, koty znikają w obszernych bagażnikach czarnych limuzyn, które po załadowaniu odjeżdżają, żeby zostawić cenną zdobycz na dziedzińcu Świętego Damazego i zaraz wrócić w to samo miejsce. W kilku punktach miasta wywiązuje się dyskusja między uprzejmymi młodzieńcami o kleryckich manierach a ludźmi mieszkającymi w sąsiedztwie kocich zaułków. Najczęściej są to stare kobiety, „kocie mamy”, które dokarmiają bezpańskie koty w najbiedniejszych częściach Rzymu, niewrażliwe na wysokie rekompensaty, oferowane przez seminarzystów w zamian za ich ulubieńców. Parę z nich, tych najbardziej zdeterminowanych, zdołało wyrwać klerykom worki z kotami i uwolnić rozjuszone zwierzęta.

Niektórzy świadkowie tych scen zauważyli, że nie wszystkie czarne

samochody mają rzymskie numery; tablice rejestracyjne niektórych wozów pochodzą z Watykanu. Co dziwniejsze, nie są to zwykłe samochody, ale limuzyny reprezentacyjne, które zamiast tylnych siedzeń mają pojedynczy fotel i przypominają pewien pojazd obdarzony przywilejem absolutnego pierwszeństwa w konwulsyjnym ruchu ulicznym Rzymu.

Chociaż polowanie trwać będzie jeszcze przez całą noc, wieczorem koty zostają uroczyście wprowadzone do Watykanu i obejmują go w swoje posiadanie.

Do samego świtu czarne samochody jeżdżą tam i z powrotem między miastem i murami leoniańskimi, a młodzi seminarzyści z chóru na wszystkich piętrach pałaców apostolskich wypuszczają koty z worków.

Kardynałowie, uprzedzeni przez Sekretariat Stanu o sposobie, jakiego zdecydowano się użyć, żeby uwolnić Watykan od szczurów, zawczasu przezornie zamykają się w swoich celach. Niektórzy z nich niewiele mieli dotąd do czynienia z kotami i odstręcza ich perspektywa opieki nad nimi czy choćby znoszenia ich obecności w pokoju, między osobistymi rzeczami.

Tej nocy przeraźliwe miauczenie zdesperowanych zwierząt mało komu pozwala zasnąć. Koty tracą orientację na ogromnych przestrzeniach pałacu, który bardziej niż mieszkanie dla istot ludzkich przypomina koszmary labirynt. Nie tykają nawet jedzenia, przygotowanego dla nich w miseczkach. Szukają wyjścia z konklawe, nieświadome, że nawet dla kardynałów jest to trudne. Najdalsze z nich, rozeźlone zimnem, ciemnością i głodem, na widok purpurowego stroju tych kardynałów, którzy mieli nieszczęście na nie natrafić, prychają, wyginają grzbiety w kabłąk i – jeżeli pechowiec odważy się za bardzo do nich zbliżyć, czepiają się sutanny, żeby go podrapać.

Nazajutrz wiele kotów leży bez życia – zdechły ze strachu albo z powodu wieku, zbyt zaawansowanego, by przystosować się do życia bez brudu i wolności.

Ale już po upływie dwóch nocy sytuacja zaczyna się zmieniać. Ku

satysfakcji Świętego Kolegium rozpętuje się gwałtowna, atawistyczna walka między kotami a szczurami. Jej efekty są tak obiecujące, że kamerling postanawia natychmiast wysłać pluton kotów także do Muzeów Watykańskich. I tak, po krótkiej aklimatyzacji, po tym, jak najsłabsze ofiary tego porwania odpadły, żywotność oraz naturalny instynkt zwierząt sprawia, że dociera do nich wreszcie drażniąca, ale i kusząca woń wspaniałych okazów ich naturalnych wrogów. Rozpoczyna się piekielny taniec.

Wszędzie: pod łózkami, na szafach, nad ołtarzami w kaplicach, pod wielkimi krzyżami wiszącymi na ścianach, na baldachimach tronów w Kaplicy Sykstyńskiej, na klęcznikach, na schodach, w kuchniach, w zbrojowni gwardii szwajcarskiej, w pokojach apartamentu Jego Świątobliwości, na dziedzińcu Świętego Damazego – wszędzie toczy się przerażająca walka do ostatniej krwi.

Szczury, przerażone zmasowanym atakiem swoich odwiecznych wrogów, stojąc wobec groźby likwidacji gatunku, znajdują nadnaturalne zasoby siły, dzięki którym, zamiast zwykłych pisków, emitują przeraźliwe dźwięki nie do zdefiniowania. W przeczuciu nieuchronnej masakry i bliskiego końca stają na tylnych łapkach, podnoszą w górę chude pyski z długimi wąsami i z całej swojej wysokości rzucają się do ataku, starając się zawsze wykorzystać moment zaskoczenia i wymierzając ostre zęby i pazury w oczy i nosy kotów.

Pałace watykańskie są zasłane martwymi szczurami i rannymi kotami – śladami po bitwie, która wygląda coraz bardziej surrealnie i makabrycznie.

– Koniec! To nie do wytrzymania! Alfonso, musimy się jak najszybciej zdecydować! Musimy dojść do porozumienia, w przeciwnym razie oszalejemy w tym zamknięciu! – Kardynał z Dublina nie posiada się z irytacji po tym, jak spadły mu na głowę dwa szczury, rzucając się z żyrandola na białego kota, który stał u jego stóp. Kryształowe łyzy drgają jeszcze, rzucając refleksy światła na ściany obite czerwonym jedwabiem, kiedy Irlandczyk słyszy od mediolańskiego purpurata, nie wierząc własnym uszom:

- Drogi Johnie, to jest dopiero początek...
- Początek? Dlaczego? Jeszcze ci mało?
- Bo tej nocy do mojego pokoju wtargnęły skorpiony.
- Żartujesz sobie!
- Mogą to poświadczyć moi dwaj sekretarze, którzy przez kilka godzin pomagali mi czyścić pokój z tych niebezpiecznych stworzeń.
- Skorpiony? Ależ to straszne!
- Zobaczysz, że będziemy musieli walczyć jeszcze i z tą plagą, zesłaną przez szatana. Bo to nie są zwykłe skorpiony, mają dziwny kolor – nie są całkiem czarne, ale ciemnozielone. I ta zieleń mieni się tęczowo, podobnie jak łuska węży.
- Przeróżające...
- Gdybyś je zobaczył w takiej ilości, jak ja ujrzałem pod moim łóżkiem, na podłodze łazienki i w szafie między ubraniami, skojarzyłybyś je od razu z połyskującym, śliskim wężem.
- Ale może są tylko u ciebie, Alfonso. Może po prostu w tej części pałacu przewody kanalizacyjne nie działają prawidłowo.
- Oby. Ja też tego sobie życzę. Sobie i nam wszystkim.

Niestety, to, co zdarzyło się w pokoju kardynała z Mediolanu, nie jest odosobnionym przypadkiem.

Skorpiony manifestują swoją obecność w coraz to nowych miejscach. Najpierw pojawiły się na dwóch najniższych piętrach pałaców watykańskich, potem, w nadziei na zdobycie nowych terytoriów, opanowują trzecie, czwarte oraz piąte piętro i wdzierają się do prywatnego apartamentu papieża na ostatniej kondygnacji.

Wszystkie są w tym samym nienaturalnym, ciemnozielonym kolorze, mieniącym się tęczowo szczególnie na kleszczach i na ogonie.

Kardynał kamerling jako jeden z ostatnich stwierdza pojawienie się tej nowej plagi. Odkrywa skorpiony w swoim pokoju na piątym piętrze przed

mszą poprzedzającą poranne głosowanie. Wsuwając stopy do pantofli ze srebrną sprzączką, nagle wydaje okrzyk bólu: skorpion, który znalazł schronienie w pantoflu, ugryzł go w palec.

– Squarzoni, proszę wezwać lekarza! Szybko!

Korpulentny archiatra potrzebuje czasu, żeby dotrzeć do kamerlinga – a to z powodu awarii windy, która zmusza go do wchodzenia po schodach. W wieku siedemdziesięciu lat, przy kłopotach z sercem, nie jest to łatwe przedsięwzięcie. Nie jest też zalecane przez lekarzy. Ale poczucie obowiązku i wysoka ranga chorego nie pozwalają na zwłokę. Kiedy wchodzi do pokoju kardynała, jest tak blady, że monsignore Squarzoni zastanawia się, czy nie wezwać jeszcze jednego lekarza, tym razem do archiatry. Ale ten zmęczony, stary człowiek należy do tej samej kategorii ludzi, co niepoprawny nepotysta Klemens VIII, i nie poddaje się tak łatwo. Wyjmuje z walizeczki strzykawkę i kapsułkę z surowicą przeciw jadowi, którą zabrał ze sobą, uprzedzony przez kapelana. Zaraz po wstrzyknięciu płynu w ramię kamerlinga prosi o krzesło. Dopiero po wypełnieniu obowiązku pozwala sobie na chwilę słabości i siada, by zaczerpnąć tchu.

Wiadomość o nagłej niedyspozycji kamerlinga rozeszła się szybko i spowodowała odłożenie na później kolejnego głosowania konklawe. Inicjatywa grupy kardynałów uświadomiła Veronellemu, jak niebezpieczna dla jedności Kościoła może być sytuacja spowodowana niedawnymi wydarzeniami. Kardynałowie z Indii, Japonii, Australii i Filipin we wspólnie podpisanym dokumencie zaproponowali braciom purpuratom kandydaturę unickiego kardynała z Ukrainy, Wolframa Stelipyna. Veronelli, po przeczytaniu tego dokumentu, pomyślał od razu, że to nowa prowokacja, podobna do wyboru Palestyńczyka Nabiła Youssefa.

– Squarzoni, proszę przekazać Rabuitiemu, żeby zebrał Włochów. Chciałbym spotkać się z nimi wieczorem po kolacji, ale nie u mnie... w

wieży Świętego Jana.

Veronelli wierzy, że pomoc Aldobrandiniego przyszła na czas i że dzięki niej szybko wydobrzeje, wyznacza więc sesję konklawe na czwartą po południu. Chce nadrobić stracony czas i ma nadzieję, że przed wieczorem uda się przeprowadzić dwa głosowania. Noc jednak poświęci na rozpatrzenie tej nowej, problematycznej kandydatury z najbliższymi braćmi, o ile wcześniej sytuacja związana z osobą Słowianina nie rozwinię się w sposób nieodwracalny.

Kiedy już dokładnie zaplanował rozkład dnia, w drzwiach pojawił się monsignore Squarzone i powiedział, że dzwoni inżynier Nasalli Rocca.

– Proszę mi go zaraz dać... Hallo...

– Jak Wasza Eminencja się czuje? Lepiej?

– Tak, myślę, że tak. Po południu postaramy się przeprowadzić dwa głosowania. Miło pana słyszeć.

– Mam pomysł, jak pozbyć się skorpionów.

Inżynier uśmiecha się do siebie, przypominając sobie, jak kamerling w ostatnich dniach wzdrygał się przed przyjęciem do wiadomości tego nowego problemu.

– Jest pan niezastąpiony w rozwiązywaniu trudnych zadań. Bardzo to doceniam. Z kotami poradził pan sobie doskonale. Ale chwilami niepokoi mnie pan, hrabio; odnoszę wrażenie, że tego typu drastyczne sytuacje sprawiają panu przyjemność. Podejrzywałem pana nawet... któreś nocy śniło mi się, że pan sam podrzucał szczury do pałaców watykańskich, że zamiast kotów przywozi pan szczury w naszych autach. Czy nie dostanie pan przypadkiem jakiejś łapówki od urzędu miasta za te koty?

Nasalli Rocca wybucha śmiechem.

– Kiedy Wasza Eminencja usłyszy moją nową propozycję, weźmie mnie za hodowcę drobiu.

– Dlaczego? Proszę powiedzieć...

– Ponieważ naturalnym wrogiem skorpionów są kury, zwierzęta o wiele

bardziej inteligentne, niż zwykło się uważać, a już na pewno bardzo odważnie stawiające czoło tym piekielnym stworzeniom. Ciosy kurzych dziobów są dla nich śmiertelne.

– Rzeczywiście, ma pan rację. Pamiętam, że na wsi, gdzie mieszkała moja matka, od czasu do czasu wpuszczało się je do domu w tym właśnie celu.

– Moglibyśmy je więc wpuścić także do pałaców watykańskich.

– Ależ to byłoby coś okropnego!

– Wiem już, gdzie mógłbym dostać parę tysięcy kur. Zasięgnąłem informacji u hodowcy drobiu, to niedaleko, w Colleferro. Obliczyłem też, ile byłoby ich potrzeba na każdym piętrze i w Kaplicy Sykstyńskiej.

– W Kaplicy Sykstyńskiej? Czy pan zwariował? Kury w Kaplicy Sykstyńskiej? Nigdy!

– Do Waszej Eminencji być może nie dotarła jeszcze wiadomość, że i tam znaleziono już skorpiony i że... wchodzą na ściany i zagrażają freskom. Wydaje się, jakby w swoim dziele zniszczenia postępowały według jakiegoś niesamowitego, z góry ustalonego schematu – zdrapują głównie najwyższe partie fresków, te najjaśniej...

– Nic o tym nie wiedziałem. Jak tylko wstanę na nogi, udam się natychmiast do Kaplicy... Ale o czwartej mamy głosowanie, czy zdążymy? Jest już jedenasta...

– Jeżeli otrzymam pozwolenie od Waszej Eminencji, o tej godzinie nasze kury będą przy pracy, są bardzo żywotne i dobrze odżywione, a poza tym są przyzwyczajone do dodatkowych nocnych posiłków; dla nich dzień czy noc, to bez różnicy. Jestem pewny, że będą dobrze pracować.

Kardynał kamerling Świątego Kościoła Rzymskiego słucha, jak inżynier w sposób jasny, konkretny i bez skrępowania przedstawia swój plan – i jednocześnie myśli o mitycznej postaci Archanioła Michała, najskuteczniejszego wroga szatana, który potrafił zawrócić siły zła tam, skąd przyszły.

– Czy Wasza Eminencja mnie słyszy?

– Oczywiście, że pana słyszę, hrabio Rocca, nasz zbawco... jest pan jak Archanioł Michał dla tego konklawe, zagrożonego przez... – nie ma odwagi dokończyć zdania i głośno powiedzieć, kto im zagraża.

– Wykonuję tylko moją pracę, nic więcej. Nie dysponuję mocą, o jakiej mówi Wasza Eminencja, ale bardzo dziękuję za uznanie. A więc... czy mogę zacząć działać?

– Bardzo proszę, chciałbym tylko mieć czas na uprzedzenie moich najbliższych współpracowników, to nie takie proste, wpuścić na konklawe... o ilu kurach pan mówił?

– Trzy tysiące siedemset, przynajmniej na razie.

– Miejmy nadzieję, że to wystarczy.

– Przewieziemy je koleją, wagonem towarowym do watykańskiej stacji, żeby nie wzbudzać sensacji. To nie są ciche zwierzęta.

– Dobry pomysł.

– Dziękuję, Eminencjo. Do zobaczenia. Życzę szybkiego powrotu do zdrowia. Biegę do Colleferro, do moich kurczaków.

Co powiedzą kardynałowie na tę nową sytuację, stanowiącą tak rażąco dysonans z dostojnością zamieszkujących tu znakomitych osób? Niektórzy mieli mu bardzo za złe wprowadzenie kotów. Słyszał jeszcze w uszach grzmiący głos Hiszpana Oviedo, kardynała z Madrytu, który po tym, jak został podrapany przez ogromnego czarnego kocura, wyrzucał mu, że dopuścił do tej makabrycznej walki zwierząt i stworzył na konklawe atmosferę nie do zniesienia.

Kamerling nie chciał się nawet domyślać, jakie zamieszanie spowoduje zamiana konklawe w kurnik. Gdyby nie słowa inżyniera o groźbie zniszczenia *Sądu Ostatecznego*, nie zdecydowałby się na nadanie kurom rangi pomocników aniołów w walce przeciw siłom Zła.

Kardynał kamerling wchodzi do Kaplicy Sykstyńskiej punktualnie, w towarzystwie dziekana Kolegium Kardynalskiego i dygnitarzy, którzy niosą symboliczny parasol wakującego urzędu papieskiego oraz czerwone teczki z tajnymi dokumentami konklawe. Natychmiast po przekroczeniu progu kamienieje z przerażenia, ze wzrokiem wbitym we fresk na przeciwległej ścianie.

Cała górna część wspaniałego malowidła, na której święci, przebudzeni głosem anielskich trąb, podnoszą się z grobów i stają przy Zbawicielu, pokryta jest zielonym, mieniącym się mrowiem skorpionów, potwornym kobiercem, który zakrywa kolory i kształty.

Twarze pozostałych kardynałów także zwrócone są ku górze, jedni potrząsają głowami, jakby nie wierzyli własnym oczom, inni mają policzki zalane łzami, niektórzy, załamani, opadli na fotele i zakryli twarze rękami, jeszcze inni wydają się szukać kogoś w tłumie. Może właśnie kamerlinga. Do niego zwraca się drżącym głosem Ettore Malvezzi:

– Atakują tylko sprawiedliwych, samych świętych... co robimy? Nie możemy siedzieć z założonymi rękami!

Veronelli, który czuje jeszcze w organizmie efekty działania surowicy, dostaje chwilowego zawrotu głowy. Co możemy zrobić? Zaśpiewać *Veni Creator*, jak zawsze? Wezwać ludzi do oczyszczenia ścian, ryzykując zniszczenie fresków? Malvezzi jeszcze nigdy nie okazał się pomocny.

– Ja też to widzę, Ettore. Wróć, proszę, na miejsce i zachowaj spokój. Jeżeli zdołam dojść do ołtarza, razem znajdziemy jakieś rozwiązanie. Tak czy owak, nie wyjdziemy stąd, dopóki nie wybierzemy nowego papieża.

Przechodzi energicznie w głąb kaplicy, z trudem torując sobie drogę między kardynałami, którzy nie odważyli się jeszcze usiąść na fotelach. Nawet przykład kamerlinga nie przekonał ich do zajęcia miejsc. Atmosfera jest zbyt wzburzona, by dało się zapanować nad tym zgromadzeniem.

Veronelli jednak nie poddaje się i idzie prosto do swojego prezydialnego tronu przy ołtarzu. Gestem przywołuje do siebie monsignore Squarzonego.

– Proszę polecić inżynierowi Nasalli Rocca, żeby wpuścił kury przez drzwi za moimi plecami, w przeciwnym razie kardynałowie całkiem stracą rozsądek.

Przez cały czas ma świadomość, że nad jego głową, za plecami, roją się te obrzydliwe stworzenia, to wcielenie Zła. Kątem oka spogląda w górę i dostrzega nietknięte jeszcze wizerunki Zbawiciela i jego najświętszej Matki. Powtórzyło się zjawisko, które zaobserwowali na obrazach sakralnych w Muzeach Watykańskich. Nabiera otuchy i siły do dalszej walki, pewny, że Dobro zwycięży. Jak w transie, wypowiada, a raczej wykrzykuje łacińskie słowa, doskonale słyszalne w całej kaplicy: *Vade retro, vade retro, Satana!*

W tym samym momencie zdumionym kardynałom, zebranych w Kaplicy Sykstyńskiej – tym, co stoją w głównym przejściu między tronami i na schodkach dzielących rzędy, tym blisko ołtarza i tym przy wyjściu – ukazuje się niezliczona ilość białych kur. Wepchnięte do środka, gdaczą tak głośno, że zagłuszają ostatnie łacińskie słowa kamerlinga.

Spektakl, który ukazał się oczom książąt Kościoła, wydaje się dramatyczną parodią tego, co natchnęło Michała Anioła do namalowania *Sądu Ostatecznego*.

Zielony kobierzec na ścianie z malowidłami świętych ożywia się i burzy, falując jak morska woda, podczas gdy kury, oszalałe z podniecenia na widok skorpionów usadowionych tak wysoko, wydają się być bliskie realizacji swojego odwiecznego marzenia o lataniu. Biedni kardynałowie usuwają się przerażeni do przeciwległego kąta kaplicy, przy wyjściu. Szczury, które schroniły się w Kaplicy Sykstyńskiej pod drewnianą konstrukcją tronów, rzuciły się do ucieczki, starając się dobiec do wyjścia, zanim dogonią je koty. Te zaś porwały się w pogoń za szczurami z takim impetem, że podcięły nogi niektórym purpuratom i kilku najstarszych upadło na podłogę.

Dokonuje się rzeź ostatnich gryzoni, a tymczasem podłogę biorą w swoje

posiadanie ptaki. Kury rzucają się na skorpiony, które setkami odpadają od fresku. Odsłaniają się twarze zbawionych, twarze aniołów i twarze zmarłych, którzy śpieszą do Doliny Jozafata. Kilka kur, ku zdziwieniu obecnych obserwujących tę scenę, unosi się na skrzydłach i dziobami zadaje ciosy niżej siedzącym skorpionom, co wystarcza tym piekielnym stawonogom, żeby do reszty stracić wigor i zacząć masowo odpadać od ściany.

Nie wszyscy zauważyli grupę prałatów, która zebrała się przy ołtarzu wokół kamerlinga – to jedyny nieruchomy element wśród całego tego zamieszania. Zebrali się tam, by powtarzać za kamerlingiem, z posągowym, stoickim spokojem, łacińskie słowa modlitwy, których nikt już poza nimi nie słyszy.

We wnęce drzwi, z których wypadł cały ten kurzy tumult, poprzez chmury kurzu ledwo można rozpoznać masywną postać hrabiego Nasalli Rocca, wyzwoliciela od Zła, Archanioła Michała konklawe.

Skojarzenie z freskiem Michała Anioła nasuwa się jeszcze silniej dzięki rozgardiaszowi, czynionemu przez członków konklawe. Kaszel starszych kardynałów, którym trudno oddychać w powietrzu pełnym kurzu, wezwania pomocy tych, co upadli na podłogę i nie mogą się teraz uwolnić od podekscytowanych ptaków, wściekłe miauczenie kotów, rozszalałe gdakanie setek kur, desperackie piski szczurów przypartych do muru, jęki ludzi i zwierząt, cierpiących z powodu ugryzień, ukłuc i podrapań – wszystko to tworzy dramatyczne dźwiękowe tło.

Minie jeszcze parę godzin, zanim cisza i spokój na nowo zapanują w tym najświętszym miejscu pałaców watykańskich. W tym czasie cały personel asystujący konklawe, pod kierownictwem niezmordowanego hrabiego Nasalli Rocca, pomaga nieszczęsnym księżętom Kościoła doprowadzić się do ładu i powrócić do równowagi.

Na widok tego, co zaszło w kaplicy, nikt z personelu nie potrafi powstrzymać odruchu wstrętu. Kilku wrażliwszych mdleje po wejściu do

środku. Żelazna determinacja naczelnego inżyniera Państwa Watykańskiego wsparta jest stoicką stanowczością kardynała kamerlinga, który wprowadzenie nie rusza się ze swego miejsca, ale samymi oczami potrafi tak kierować każdym działaniem, by doprowadzić do przywrócenia porządku i skierować siły piekielne z powrotem tam, gdzie od zarania dziejów jest ich miejsce.

Należy jak najszybciej przenieść do izby chorych kardynałów, którzy czują się najgorzej, i wezwać pomoc z pobliskich szpitali. Kardynał kamerling, kiedy stwierdza, że najgorsze minęło i że jego obecność przy ołtarzu nie jest konieczna, przekazuje do biura prasowego polecenie zablokowania komunikacji telefonicznej i odcięcia od sieci komputerów połączonych z internetem. Nie chce jednak opuścić pola walki, dopóki nie zobaczy, że ostatnie martwe zwierzęta i ostatnie stosy skorpionów są uprzątnięte z Kaplicy Sykstyńskiej. Nakazuje zwabić zwycięskie kury i koty do zakrystii i do ogrodów watykańskich, gdzie przygotowano dla nich odpowiednie miejsca.

Bierze na siebie całą odpowiedzialność za decyzję, której poza murami Watykanu nikt nie byłby w stanie pojąć. Decyduje, że świat nie może poznać prawdy o tym nieudanym głosowaniu. Sześćdziesiątym szóstym, od kiedy zamknięto drzwi konklawe.

Dopiero po wielu godzinach, kiedy do Kaplicy powrócił już porządek – podłogę wymieciono trocinami, wewnątrz przewietrzono, na ołtarzu znów zapalono świece, a trony naprawiono – dopiero wtedy Veronelli decyduje się ulec prośbom monsignore Squarzonego i hrabiego Nasalli Rocca, szczerze zaniepokojonych jego bladością. Poddając się ich naleganiom, wyczerpany aktywnym działaniem i emocjami, zgadza się wrócić do swego pokoju lektyką papieską. Kołysany głosem dzwonka od lat nieużywanej lektyki, chętnie przymknąłby oczy, gdyby nie to, że po drodze minęli drzwi, za którymi odkrył zniszczone przez szczury portrety kardynałów, i przypomniał sobie zrujnowane dzieła sztuki w Muzeach Watykańskich. Natychmiast pyta

o sytuację w muzeach, do których Nasalli Rocca też wysłał wiele kotów. Otrzymuje pocieszającą wiadomość, że prawie wszystkie szczury zniknęły i dzieła sztuki, które przetrwały inwazję, są, przynajmniej na razie, bezpieczne. Jest prawie ósma wieczorem, kiedy kładzie się do łóżka w swoim pokoju.

Monsignore Squarzoni zadbał o to, żeby na kominku palił się ogień; płonące z trzaskiem bierwiona wydzielają przyjemne ciepło. Znajduje bilecik od kardynała Malvezziiego. Czyta: „Byłeś wspaniały. Teraz jestem pewny, że nie wyjdziemy stąd, dopóki nie wybierzemy papieża – którym mógłbyś zostać ty”.

Jest jeszcze jeden bilecik, od kardynała z Palermo. „Nie wiem, ilu z nas wieczorem, po kolacji, odnajdzie siły, żeby się dowlec do łaźni tureckiej, jak prosiłeś, ale ja postaram się tam być”.

Całkiem wyleciało mu z głowy, że wezwał wszystkich Włochów w to miejsce. Ale kiedy to robił, nic strasznego się jeszcze nie wydarzyło. Sekretarz podaje mu listę osób, które telefonowały, zanim polecił zablokować połączenia. Jest tak długa, że udaje mu się przejrzeć tylko część nazwisk. Dzwonią z wszystkich stron świata. Przez chwilę myśli o różnicach czasu na świecie, o strefach czasowych, które dzielą glob ziemski na części i stwarzają tyle problemów w komunikacji międzynarodowej. Nie odpowie nikomu. Wyda jednak polecenie dla centrali telefonicznej i dla biura prasowego, żeby dokładnie o północy nawiązano na nowo kontakt ze światem. Gdyby to milczenie się przedłużyło, mogłoby zostać mylnie zinterpretowane jako znak pomyślnego wyniku wyborów papieża.

Odczytuje raz jeszcze bileciki dwóch kardynałów. Malvezzi jest jak zwykle nieprzewidywalny. Teraz doszedł do tego, że proponuje jego kandydaturę... Jakby nie było wszystkim wiadomo, że kamerling jest już za stary. Jakby nie był przez wszystkich uważany za polityka z Kurii, o poglądach zdecydowanie centralistycznych. Malvezzi jest w odpowiednim wieku, przy tych swoich sześćdziesięciu trzech latach... Ale co przyszło

Azjatom do głowy, żeby zaproponować ukraińską kandydaturę? Kościół unicki to beczka z prochem, odnowiłyby się zadrażnienia z Rosją... Trzeba koniecznie pójść do łaźni tureckiej, żeby wypocząć i dowiedzieć się, jakie plany snują kardynałowie...

– Księżę Squarzoni, proszę mi przygotować torbę, wybiorę się do wieży Świętego Jana. Za pół godziny proszę mnie zawołać. Zjem coś po powrocie.

Zostaje sam i przymyka powieki; przed oczami ma wciąż to przerażające widowisko w Kaplicy Sykstyńskiej. I nareszcie wybucha oczyszczającym płaczem, którego dobrodziejstw – inaczej niż wielu innych kapłanów – nie doświadczył w tych okropnych godzinach.

Piekielne widowisko przywiodło mu na myśl *Dies irae*, łacińską modlitwę, którą wspólnie z prałatami odmawiał podczas niekończącej się walki, bez ruchu, niewrażliwy na koszmar piekielnego tańca w kaplicy...

Powoli, przypominając sobie łacińskie słowa tego hymnu, zapada w sen tak głęboki, że monsignore Squarzoni, kiedy wraca do sypialni ze spakowaną torbą i przekąską na wieczór, nie ośmiela się go budzić.

Kardynał kamerling śpi nareszcie. I śpiąc, śni. Stoi przy ołtarzu Kaplicy Sykstyńskiej, ale to, co w jego śnie dzieje się na sali, w której od wieków odbywają się wybory papieży, bardziej pasuje do tego wnętrza i nie wymaga jego modłów.

Przed nim stoi w dwóch rzędach tłum nagich lub półnagich kobiet i mężczyzn, zakrytych tylko kłębami pary, jak w łaźni tureckiej. Poznaje ich, poczynając od potępionego po lewej stronie, z jednym tylko otwartym okiem, z którego wyziera przerażenie. Wszyscy zesłi ze ściany za jego plecami: potępieni i zbawieni z fresku *Sąd Ostateczny*.

Do młodych ciał świętych, a tym bardziej do rozkwitłych, pełnych życia, śniadych ciał grzeszników nie pasują opaski i welony, jakie Daniele da Volterra domalował z rozkazu papieża jeszcze za życia Michała Anioła. Wszyscy wydają się na coś czekać, niezależnie od tego, czy należą do grupy zbawionych, czy potępionych – a tego wydają się być świadomi. Przerwa

przed wykonaniem wyroku, pauza między doczesnością a wiecznością, chwila wytchnienia dla Sędziego i sądzonych.

Kobiety masują sobie nogi, piersi, szyje i ramiona w łagodnym cieple pary i uśmiechają się z przymkniętymi oczami.

Niektóre spoglądają w kierunku ołtarza, ale nie patrzą na niego, wyglądają kogoś, kto może się ukrył albo opóźnia swoje przyjście. Skrępowanie kamerlinga wobec tych kobiet jest trochę tylko złagodzone świadomością, iż pozostaje dla nich niewidzialny. On wie, że czekają na Sędziego, wie, że oczami szukają Zbawiciela, to dla niego chcą być piękne.

Między najmłodszymi kobietami szczególnie jedna zwraca jego uwagę. Stoi w pierwszym rzędzie, ma jasne, długie aż do kolan włosy, które zakrywają jej nagość. Głowę trzyma przechyloną i porusza ustami, jest pochłonięta śpiewem. Chciałby być widzialny tylko dla tej młodej kobiety, chciałby z nią porozmawiać. Obok niej stoi mężczyzna odwrócony tyłem, widać jego umięśnione pośladki i szerokie plecy. Trzyma rękę na ramieniu kobiety i przez chwilę kardynał zastanawia się, czy nie jest to ostatni gest miłości, może mężczyzna jest potępionym, który żegna się z ukochaną, na zawsze z nim rozdzieloną wyrokiem Chrystusa...

Białe ciało kobiety i ciemniejsze mężczyzny wydają się symbolizować wśród barw *Sądu Ostatecznego* Dobro i Zło.

Jednak w pewnej chwili towarzysz kobiety daje znak. Bardzo powoli, nie odrywając się od niej ani na chwilę, zmieniając rękę, żeby móc przez cały czas się na niej opierać, wykręca tułów i odwraca się twarzą do Veronellego.

To Matis Paide, nagi, jakim go widział w saunie, ale z młodym ciałem, „w apogeum siły witalnej”, jak powiedział pewnego wieczoru, mówiąc o zmartwychwstaniu ciała... Młoda, piękna kobieta, która stoi przy nim i śpiewa, to jego siostra Karin, ta, o której Paide mówił, że była jedyną dziewczynką, jaką widywał w dzieciństwie na swojej bałtyckiej wyspie.

Teraz jednak wydarza się coś, co niszczy harmonię malowidła Michała Anioła, nadając mu życie i ruch: Matis Paide patrzy na niego, jakby go

widział, a nawet jakby go rozpoznawał. Kardynał zauważa gest jego ręki, zapraszający do zejścia z ołtarza i zbliżenia się do niego, po czym wyraźnie słyszy swoje imię, wymówione z obcym akcentem:

– Vladimiro, chodź!...

On jednak nie może oderwać się od swojego fotela, nie może pójść do nich, nie może oderwać się od życia, które stało się nieruchome, tak jak wcześniej fresk Michała Anioła. Między zmarłymi i żywymi jest nieskończona odległość...

– Vladimiro, chodź!... – wzywa go młody, piękny Matis Paide, otaczając ramieniem plecy siostry. – Vladimiro, chodź posłuchać mojej siostry!

Veronelli czuje, iż porusza ustami, żeby mu odpowiedzieć, że to niemożliwe, ale nie wydaje nawet najcichszego dźwięku. Gęstszy od innych obłok pary zakrywa przez moment rodzeństwo, jednocześnie nozdrza kardynała drażni jakiś przykry, ostry zapach. Widać ich na nowo w rzednącej parze – boi się stracić ich z oczu, bo coś mu mówi, że nie są prawdziwi i lada chwila mogą zniknąć, a nie chce tego. Wolałby, żeby byli prawdziwi, chciałby ich dotknąć, posłuchać śpiewu Karin. I jakby jego prośba została wysłuchana, rozróżnia nareszcie słowa, które wcześniej sływały z pięknych, niemych ust:

*Wir sind durch Not und Freude
gegangen Hand in Hand...* [2]

Jednak ostry zapach coraz mocniej drażni jego węch, obraz świętych i grzeszników blednie, głos młodej siostry Matisa Paide zamiera, coś wymazuje żywy fresk śmierci, sprawiając, że blakną kolory i dźwięki. Nie znajduje się już w Kaplicy Sykstyńskiej...

Leży w swojej sypialni. Zapach, który go obudził i który rozwiął jego sen, to smród, jaki wydzielają trzy kury, które grzebią pazurami przy jego łóżku w poszukiwaniu ostatnich skorpionów.

Przypomina sobie, że Nasalli Rocca podczas powrotu z Kaplicy Sykstyńskiej wspominał o konieczności wpuszczenia kur i kotów do

wszystkich pomieszczeń w obrębie konklawe, a on, z wysokości lektyki, zajęty innymi myślami, zgodził się na to.

[2] Pierwsze słowa wiersza Josepha von Eichendorffa *Im Abendrot*, do którego Richard Strauss napisał ostatnią ze swych *Vier letzte Lieder*.

Światło z naprzeciwka, w oknie o żółtych szybach, budzi Malvezzię jak każdego ranka. Cienie poruszające się za matowym szkłem sprowadzają go do rzeczywistości i przywodzą myśli o nowym dniu. Co wydarzy się dzisiaj, po wczorajszym piekielnym tańcu w Kaplicy Sykstyńskiej?

Uporczywe miauczenie rudo-białej kotki, mającej wielką ochotę otrzeć się o kapę na jego łóżku, przypomina mu, że zwierzęta czekają na śniadanie. O tej porze monsignore Contarini przygotowuje już pewnie ołtarz na mszę świętą i karmę dla kur. Podzielili się obowiązkami, ponieważ kapelan odczuwa prawdziwy wstręt do kotów. Właśnie puka do drzwi – jest wpół do siódmej.

Kardynał wstaje i pije kawę zbożową, przygotowaną przez kapelana. Contarini ma zasnąłą twarz i włosy w nieładzie, niepoddające się nawet żelowi, który utrzymywał je zawsze w doskonałej symetrii, z przedziałkiem pośrodku. Jak na Contariniego, to niezwykle zjawisko.

Ale przy tym wszystkim, co tutaj się dzieje, nie powinny dziwić odstępstwa od najbardziej nawet zwykłych, codziennych zwyczajów.

Słyszając jednak prośbę, jaką kieruje do niego Contarini, kardynał nie posiada się ze zdumienia:

– Eminencjo, chciałbym się wypowiedzieć przed mszą.

Przez wszystkie te lata nigdy go o to nie poprosił. Po chwili milczenia Malvezzi odpowiada, że chętnie go wysłucha.

Nieprzytomny wyraz twarzy Contariniego, który przymyka oczy, jakby przychylnie przyjęcie jego prośby przyniosło mu ulgę pomieszaną z zakłopotaniem, jeszcze bardziej dziwi kardynała. Kiedy się myje, obserwując jednocześnie kurę przycupniętą na taborecie, zastanawia się nad zachowaniem Contariniego podczas tych pięciu tygodni konklawe. Jest ono znacznie bardziej tajemnicze niż zwykle. Dziwne jest przede wszystkim towarzystwo, do jakiego wykazuje upodobanie. Ten samotnik przestaje tutaj

najchętniej z żołnierzami gwardii szwajcarskiej, których często zaprasza na kolacje. To bez wątpienia nic innego, jak tylko ostatnie przebłyski młodości.

Ogolony, pachnący, przyczesany i ubrany w ornat, kardynał z Turynu siedzi pod wielkim czarnym krzyżem, przy klęczniku, na który Contarini bardziej rzucił się, niż uklęknął, kiedy tylko zobaczył, że Malvezzi jest gotowy.

– Od jak dawna ksiądz się nie spowiadał?

– Od kiedy przybyliśmy na konklawe, Eminencjo.

– Co ksiądz chce wyznać przed Bogiem?

– Zaniedbanie moich obowiązków. I papierosy. Wasza Eminencja nie wyobraża sobie nawet, ile w tym okresie wypaliłem po kryjomu.

– Mylisz się, doskonale to sobie wyobrażam. Usprawiedliwia cię trudna atmosfera, jaka tu panuje. Ale to zawsze grzech, przede wszystkim, przeciw tobie. Ksiądz wybaczy, nie zauważyłem nawet, że zwracam się do księdza *per ty*, jakbym tę reprimendę wygłaszał do mojego siostrzeńca, który zresztą ma ten sam nałóg.

– Ale to nie jest mój najcięższy grzech, Eminencjo... I nie wiem, czy zostanie mi kiedykolwiek wybaczone to, co mam jeszcze do wyznania...

– Bóg wybacza wszystkie grzechy, jeżeli spowiedź jest szczerą. Ale proszę mówić, niech ksiądz nie zwleka, bo jest już późno, a dzisiaj naprawdę nie możemy się spóźnić. – Malvezzi spogląda ukradkiem na zegar, który pokazuje piętnaście po siódmej; martwi się, czy zdążą na czas do Kaplicy Sykstyńskiej.

– Miałem nieczyste myśli, Ekscelencjo, co prawda tylko myśli, ale to się stało obsesją, nie potrafię jej pokonać, nawet teraz...

A więc ci weseli szwajcarscy kompani przychodzili tu, by opowiadać sobie o swoich przygodach, o swoich kobietach... ale jakie to kobiety? I dlaczego Contarini powiedział, że „nawet teraz”? Dlaczego ma taki dziwny wyraz twarzy, kiedy patrzy na kury, które gdacząc, podchodzą do klęcznika, żeby dziobnąć jakiś okruch? Dziwnie na nie patrzy...

– Contarini, co się z księdzem dzieje?

– Czy Wasza Eminencja nie widzi, jak nieprzyzwoicie się zachowują, z jaką przyjemnością nas prowokują, jak się schylają, żeby pokazać swoje wstydlive części ciała?!

Kardynał odwraca się, żeby lepiej przyjrzeć się Bogu ducha winnym zwierzętom, które tymczasem przeszły na środek pokoju i dziobiąc bez przerwy, wydalają jednocześnie różowawą substancję, wzdrygając się przy tym i oferując w całej okazałości nieskromny widok swojej tylnej części ciała. Nawet kardynał wie, że stworzenia pierzaste załatwiają swoją fizjologiczną potrzebę wydalania jednym tylko otworem.

– Proszę wybaczyć, Contarini, ale co ksiądz ma przeciwko tym biednym zwierzętom? Nie chce ksiądz chyba, żebyśmy im założyli majtki, dobrze ksiądz wie, czemu zawdzięczamy ich obecność w pałacach watykańskich.

– Ależ Eminencjo! To kobiety! Rozwiązłe, nagie kobiety, które tu wtargnęły, żeby nas wodzić na pokuszenie... Nie wiem, jak długo to jeszcze wytrzymam! – I wybucha płaczem, ukrywając twarz w dłoniach.

Zawsze wyczuwał coś dziwnego w tym porządnym, młodym człowieku o tajemniczej przeszłości, załamany tragedią małżeńską. Teraz wychodzi na jaw cała jego kruchość, wybuchają jego tłumione, skomplikowane uczucia. Ach, to konklawe... ile szkód czyni psychice słabszych jednostek...

Biedny spowiednik nie znajduje właściwych słów, chociaż cieszy się tak świetną renomą w dziedzinie miłosiernego posłannictwa, że wezwano go do Rzymu, by wypowiedział Ojca Świętego. To spotkanie nie doszło jednak do skutku z powodu śmierci papieża.

Malvezzi obawia się, że jeżeli sprowadzi do rzeczywistości tę udręczoną duszę, zaprzeczając zasadności przyrównywania powabów kur i kobiet, sprowokuje gwałtowną reakcję kapelana i wówczas – kto wie? – może Contarini podniesie się z klęcznika i obejmie którąś z kur, żeby potwierdzić prawdziwość swojej obsesji. Należy tego uniknąć za wszelką cenę, bo przerażony ptak zacząłby pewnie przeraźliwie gdakać, co zwróciłoby uwagę

ludzi i mogło spowodować oskarżenie o znęcanie się nad zwierzętami. Z drugiej jednak strony, jeżeli przyzna rację sekretarzowi, w najbliższych dniach jego obłąd może się jeszcze pogłębić, co utrudni temu zawsze sprawnemu umysłowi powrót do normalności i uniemożliwi ich dalszą współpracę, a tego Malvezzi sobie nie życzy.

Zwycięża obawa przed zbyt gwałtowną reakcją kapelana, przed koniecznością zrezygnowania z tak cennego współpracownika.

– Księżę Contarini, czy ksiądz myśli, że i ja tego nie zauważyłem? Że nie widzę, jak zachowują się te bezwstydnice? Że nie wiem, iż polowanie na skorpiony było tylko pretekstem, a wysłano je tu w całkiem innym celu, a mianowicie, żeby wodziły na pokuszenie nas, biednych kapłanów? Tak czy inaczej, niech ksiądz robi to samo, co ja – musimy ćwiczyć cnotę wstrzemięźliwości, podbudowywać naszą czystość modlitwą, unikać pozostawiania z nimi sam na sam. Zobaczy ksiądz, że wyjdziemy z tej próby uświęceni. To konklawe jest wielkim sprawdzianem dla heroicznych cnót Kościoła i dla ludzi sprawujących w nim urzędy. Możliwość uczestniczenia w nim winien ksiądz, podobnie jak ja, uważać za przywilej. Proszę pamiętać, że świętych tebańskich, świętego Pachomiusza i świętego Antoniego z Egiptu, też, podobnie jak nas, szatan kusił pod postacią kobiety... – Widząc, że podniecenie nerwowe nieszczęsnego kapelana słabnie, zmarszczki się wygładzają, a twarz nabiera zwykłego wyrazu, kardynał zerka na zegar i nie zwlekając już dłużej, udziela rozgrzeszenia.

– Odprawimy teraz mszę świętą i poprosimy Pana o siłę potrzebną do zmierzenia się z rozpoczynającym się dniem. Za pokutę odda mi ksiądz wszystkie zapasowe papierosy i odmówi dziesięć *Ave Maria*.

– Oczywiście, Eminencjo, ale czy mógłbym przedtem... zamknąć te... zamknąć je za drzwiami?

– Zrobi ksiądz jak zechce, ale uważam, że powinniśmy już teraz zacząć okazywać siłę charakteru, nie pozwalać, żeby rządziły nami emocje; zachowujmy się, jakby ich nie było, jakby to były tylko zwykłe kury.

Widzi, jak sekretarz pochyła głowę, spojrzawszy najpierw ukradkiem na ptaki, które drobią w kierunku biurka kardynała, iskając sobie skrzydła.

Podczas mszy Contarini zachowuje się normalnie. Można by pomyśleć, że spowiedź miała dobroczynne skutki dla tego zmaconego umysłu. Ale kiedy pomaga kardynałowi zdjąć ornat, wypowiada zdanie, które świadczy o tym, że jeszcze nie wszystko wróciło do normy:

– Zaira i Zenobia dobrze się zachowywały podczas mszy. Nie przeszkadzały, nie ruszyły się nawet ze swojego kąta.

„Lepiej będzie i teraz nie zaprzeczać” – myśli kardynał i mówi z obojętnym wyrazem twarzy:

– Doprawdy ich zachowanie jest godne podziwu, drogi księże Contarini, bez wątplenia. To daje nadzieję, że w przyszłości będą umiały zachować się bardziej powściągliwie. Ale teraz chodźmy już, na miłość boską, bo się spóźnimy.

Zaira i Zenobia – skąd przyszły mu do głowy te imiona?

Pierwsze z nikim się nie kojarzy, ale drugie tak – Zenobia była królową Palmiry i chciała uniezależnić się od Rzymu. Malvezzi przypomina sobie ten fakt, pijąc poranną kawę z mlekiem, i z obawą myśli o dziwactwach, jakie będzie musiał znosić, jeżeli czas nie uleczy duszy kapelana. Może lepiej porozmawiać o tym z jakimś lekarzem, na wypadek gdyby jego stan miał się pogorszyć i stać bardziej uciążliwy.

O tym będzie musiał pomyśleć później. Na razie Ettore Malvezzi, znalazłszy się u drzwi Kaplicy Sykstyńskiej, czyta na nich informację:

Konklawe zostaje zawieszona z powodu pilnych prac konserwatorskich przy freskach w Kaplicy Sykstyńskiej. Ich Eminencje księży kardynałowie zostaną poinformowani w ciągu dnia o miejscu nowych posiedzeń plenarnych w przypadku, gdyby kaplica miała pozostać przez dłuższy czas niedostępna.

Vladimiro Veronelli, kamerling Świętego Kościoła
Rzymskiego

Wiadomość o przerwaniu prac konklawe, choć sama w sobie sensacyjna, nie wstrząsnęła Malvezzi tak bardzo, jak przekonanie się, iż wielu młodych prałatów, zamkniętych na konklawe, przeżywa podobne zaburzenia jak Contarini. Mógł to stwierdzić, łowiąc uchem szepty, poufne wyznania i komentarze wśród purpuratów stłoczonych przed zamkniętym wejściem. Najpierw niejasne stwierdzenie arcybiskupa Rennes:

– Nigdy bym nie uwierzył, że nawet w Watykanie ludzie mogą mieć takie halucynacje.

Potem znacznie dosadniejsze i wyraźne nawiązanie do tematu przez kardynała z Dublina, prymasa Irlandii:

– Kury przyrównywane do odalisek... to nieprawdopodobne... musiałyby posłuchać moich współpracowników, nie pomijając tego młodego chórzysty, niewinniejszego od Abla, jak opisują powaby tych bezwstydných ptaków!

Wyraz twarzy arcybiskupa Westminsteru podczas wypowiedzi kardynała z Montrealu świadczy o jego konsternacji.

– Na tę halucynację, nie wiadomo czemu, jesteśmy uodpornieni my, starzy... dotyka tylko młodych.

W tej sytuacji Malvezzi jest zdecydowany poradzić się lekarza, jak ma się zachowywać w stosunku do swojego kapelana. Tak czy inaczej, problem jest – jak widać – dość powszechny, chociaż z faktu, iż niektórzy purpuraci, jak na przykład Rabuiti i Cerini, z niedowierzaniem przyjmują te wiadomości, można wywnioskować, że nie wszyscy młodzi duchowni odczuwają skutki halucynogennej infekcji.

Ale w jaki sposób przekonać Contariniego, żeby dał się zbadać przez lekarza? Jak rozpocząć rozmowę na ten temat?

W drodze powrotnej zwierza się ze swego zmartwienia kardynałowi Lo Cascio.

– Czy nie moglibyśmy znaleźć jakiegoś pretekstu do zbadania wszystkich naszych młodych współpracowników przez lekarza? Nie wiem – może wysłać okólnik, w którym prefekt Domu Papieskiego albo dyrektor służb

sanitarnych zaleciłby badania ze względu na niebezpieczeństwa, wynikające z obecności kur w pomieszczeniach zamieszkiwanych przez ludzi?

– Tego właśnie musimy unikać: wspomnienia o kurach w kontekście zagrożenia. Zaniepokoiliby się jeszcze bardziej. A może nawet zaczęliby podejrzewać nas, starych, o podstęp dla zaskarwienia sobie przychylności ptaków... Poproś kardynała Dunvegana, żeby ci opowiedział, jak zachowują się jego prałaci!

– Rozumiem, ale czy to znaczy, że nic się nie da zrobić? Może użyjemy jakiegoś fortelu, żeby ich zbadać? – nalega Malvezzi, któremu bardzo zależy na uzdrowieniu Contariniego.

– Szczerze mówiąc, nie widzę sensu w przeprowadzaniu badań lekarskich w tej atmosferze – jakby ją określić? – ogólnie halucynogennej. Wydaje mi się, że nie tylko młodym księżom, ale wszystkim nam, zamkniętym na konklawe, przydałaby się kuracja. Nie uważasz? – odpowiada Lo Cascio, omijając kilka kotów, goniących za szczurami między sutannami kardynałów. – Lepiej żyć sobie spokojnie dalej z naszymi dolegliwościami. Czasem leczenie może przynieść jeszcze większe szkody. Te symptomy nie potrwają długo, zobaczysz, że znikną, jak tylko wybierzemy papieża i wyjdziemy stąd.

– Tak, ale jak to zrobić? Bo o to właśnie chodzi! *Facilis descensus averni*. Ale wyjście z tej... sytuacji – bo trudno to nazwać jeszcze konklawe – staje się coraz trudniejsze – wtrąca się Alfonso Cerini, słysząc ostatnie słowa rozmowy Malvezziego z Lo Cascio.

Z właściwą sobie przenikliwością arcybiskup Mediolanu, kandydat włoski cieszący się największym szacunkiem, wyraził obawę, jaka od trzydziestu siedmiu dni coraz wyraźniej objawia się wśród ponad setki osób – obawę, że nigdy już nie wyjdą z tych pomieszczeń, w których z każdym dniem coraz bardziej czują się jak w koszmarnym labiryncie, w ciasnym więzieniu, cierpiąc na omamy i halucynacje.

Wielu z nich myśli o niedyskrecjach, jakie wy dostały się z biura

prasowego, w którym przez internet odbiera się echa ze świata. Tłum manifestantów – wśród których byli członkowie *Communione e Liberazione* i *Opus Dei*, siostry zakonne i polscy księża – przemaszerował w ubiegłych dniach przed kolumnadą Berniniego z wielkimi transparentami, protestującymi przeciwko inercji kardynałów, niewiarygodnym opóźnieniom w wyborze Ojca Świętego, nieodpowiedzialnemu zachowaniu, które grozi rozłamem w łonie Kościoła. Z niektórych Kościołów lokalnych, szczególnie w Afryce i Ameryce Łacińskiej, dochodzą głosy, że rozpatrywana jest możliwość wyboru papieża w innej części świata, przez zgromadzenie biskupów i zwykłych księży.

Ale groźba schizmy nie była najbardziej niepokojącym sygnałem ze świata. Jeszcze bardziej zatrważający był symptom przeciwny, to znaczy malejące zainteresowanie konklawe, okazywane przez wiele gazet i stacji telewizyjnych zagranicznych, a bardziej jeszcze włoskich. Na pierwszych stronach nie było już wiadomości o tym, co dzieje się w Watykanie za Spizową Bramą. Najważniejsze dzienniki coraz częściej odkładały do następnego albo jeszcze odleglejszego dnia druk artykułów na temat konklawe, w oczekiwaniu na konkretniejsze i bardziej rozstrzygające wiadomości. Można było z tego wywnioskować, że żadna informacja o tym, co tak bardzo nęka nieszczęsnych następców apostołów, nie przeciekła na zewnątrz. Z jednej strony było to na pewno pozytywne zjawisko, bo zmniejszało niebezpieczeństwo nacisków opinii publicznej na decyzje Świętego Kolegium. Z drugiej jednak strony fakt, iż żadna wiadomość o tym, co wydarzyło się w Kaplicy Sykstyńskiej na oczach ponad setki świadków, nie przedostała się jeszcze poza mury Watykanu, był co najmniej niezwykły. Nie może go tłumaczyć godna podziwu przezorność kamerlinga, który na dwanaście godzin przerwał wszelkie połączenia ze światem. A zresztą, jak uwierzyć, że po upływie tego czasu, nikt, ale to zupełnie nikt, nie uległ pokusie przekazania na zewnątrz niezwykłych informacji; że ze

środowiska tak rozdartego rywalizacją i personalnymi rozgrywkami, jakim jest Watykan, nie wymknęła się ani jedna plotka? Czy nie może to świadczyć o działaniu złych mocy?

Tak więc osłabione zainteresowanie prasy – która publikuje już tylko co drugi dzień informacje na temat Watykanu i poświęca tematowi konklawe coraz mniej miejsca na drugoplanowych szpaltach – zamiast wprowadzić wśród elektorów spokój ducha, sprawia, że wzrasta w nich niepokój i świadomość życia w zupełnej izolacji, bez okien i drzwi otwartych na świat.

Zaraz po zamknięciu Kaplicy Sykstyńskiej, prawie czterdzieści dni od rozpoczęcia konklawe, u jego uczestników zaczynają się pojawiać pierwsze objawy klaustrofobii.

Na jej najostrzejszą formę cierpią kardynałowie najmniej mający dotąd do czynienia z „radościami klauzury”, tak cenionymi przez kardynała Paide – to znaczy purpuraci przyzwyczajeni do życia w centrum wydarzeń, w najważniejszych diecezjach, wśród telefonów, faksów, e-maili, telefonów komórkowych, samolotów i samochodów zawsze gotowych zawieźć ich do najodleglejszych nawet miejsc.

Odnotowuje się pierwsze przypadki hospitalizacji w watykańskiej izbie chorych. Jej okna wychodzą na prywatne ogrody papieskie, na listopadowe platany o żółknących liściach, co daje wrażenie wolności i otwarcia na świat, a tego kardynałowie nie mogą doświadczyć w swoich pokojach.

Jednak dopiero próba ucieczki dwóch członków konklawe, Horace’a Winnipegę z Nowego Jorku i Anthony’ego O’Hary z Filadelfii, przez okno na drugim piętrze dowiodła, że najprzeróżniejsze dolegliwości, na jakie skarżą się hospitalizowani kardynałowie, nie są niczym innym, jak tylko psychosomatyczną reakcją organizmu na jedyną prawdziwą dolegliwość – chodzi o strach przed pozostaniem w zamknięciu i wynikające z niego przemożne pragnienie ucieczki.

Dwaj kardynałowie, w wieku siedemdziesięciu trzech i siedemdziesięciu dziewięciu lat, postanowili uciec nocą, kiedy personel pielęgniarski, opiekujący się chorymi, jest mniej liczny.

Wybrali okno wychodzące na dach, położony trzy metry niżej, z którego można zejść po rynnie z licznymi uchwyty. Z okna zrzucili prymitywny sznur z powiązanych prześcieradeł, ale w ciemnościach nie mogli sprawdzić, gdzie sięgnął koniec tej zaimprovizowanej liny. Dowiedzieli się tego dopiero z wrzasku drobiu, który na ich nieszczęście zaalarmował personel.

Okazało się, że koniec sznura trafił w sam środek kurnika, jednego z wielu, jakie hrabia Nasalli Rocca polecił skonstruować na zewnątrz budynków. Mieszkały tam kurze posiłki, sprowadzone z Colleferro, Zagarolo i Frosolone dla uzupełnienia zastępów obrońców Watykanu, uszczuplonych wskutek ran zadanych przez skorpiony, a także dla zrealizowania planu wprowadzenia użytecznych zwierząt na teren całej Stolicy Apostolskiej.

Uciekinierów odkryto natychmiast po alarmie wszczętym przez kury, ubranych w dresy i obuwie sportowe, z twarzami zakrytymi czarnymi kominiarkami dla zachowania incognito, szczególnie na odcinku prowadzącym przez ogrody watykańskie, gdzie mieli udawać, że uprawiają jogging – w razie gdyby o tej późnej godzinie kogoś tam spotkali.

Umówiona osoba czekała na nich w srebrnym kabrioletcie przy wyjściu na watykańską stację kolejową. Samochód z amerykańską rejestracją wzbudził pewne podejrzenia w żołnierzach gwardii szwajcarskiej, trzymających wartę przy tej bramie: stał tam bowiem bardzo długo, a kierowca przez cały czas nerwowo patrzył na zegarek.

Na widoczne zakłopotanie pielęgniarzy, którzy pomagali kardynałom wciągać linę, Ich Eminencje zareagowali pogardliwym milczeniem. Nie mieli też najmniejszego zamiaru tłumaczyć się ze swego zachowania przed kamerlingiem.

– Gdybym był zdrowszy, sam bym spróbował – wyznał z sąsiedniego łóżka czarny kardynał z Luandy, Di Sacramento, obserwując niedoszłych uciekinierów przy rozwiązywaniu prześcieradeł.

– Mielicie pecha – dodał z uśmiechem. – Następnym razem pójdzie lepiej...

Dwaj Amerykanie nic nie odpowiedzieli, ich uwagę przykuł hałas dochodzący ze schodów przed wejściem do sali.

Pojawił się na nich komendant gwardii szwajcarskiej z dwoma żołnierzami imponującego wzrostu. Przynieśli purpuratom z Nowego Jorku i z Filadelfii polecenie kamerlinga, aby udali się pod ich eskortą do jego gabinetu.

Wiadomość spadła na konklawe jak piorun. Nieszczęsny kamerling wciąż jeszcze nie potrafi się z nią pogodzić.

Niesłychany skandal, dwaj kardynałowie próbują uciec z konklawe! Nic podobnego nie zdarzyło się w całej historii Kościoła, przynajmniej po soborze trydenckim. Nigdy nie zaistniała równie niebezpieczna sytuacja. Tym, co najbardziej niepokoi Veronello w owym niebywałym fakcie, jest jego wpływ na psychikę członków konklawe.

– Jak oni to zrobili? – Veronelli wypytuje monsignore Squarzonego, zakładając w pośpiechu szlafrok. Squarzoni, który w przeciwieństwie do wielu swoich młodych kolegów daje w swoich halucynacjach pierwszeństwo kotom, przedkładając wdzięki efebów nad powaby kobiet, odpowiada na to pytanie ze szczegółami, głaszcząc przy tym trzymanego w ramionach ogromnego czarnego kota o żółtych oczach, który mruczy z zadowolenia.

– Wolałbym chyba, gdyby się na tym sznurze z prześcieradeł powiesili! – wykrzykuje kamerling do sekretarza, tracąc kontrolę nad sobą. – Samobójstwu dałoby się nadać pozór naturalnej śmierci, to nieraz już miało miejsce. Ale ten skandal zarazi wiele umysłów, rozleje się jak oliwa, niejeden będzie próbował pójść w ich ślady. Już widzę, jak uciekają z tonącego statku i zostawiają mnie samego!

Wydaje polecenie, żeby przyprowadzono do niego amerykańskich kardynałów i zaraz potem wysyła Squarzonego do prefekta Domu Papieskiego po informacje na temat prac przy naprawianiu szkód w Kaplicy Sykstyńskiej, które są prowadzone bez przerwy, nawet nocą. Szuka w swoich papierach rejestru zniszczeń, ale bezskutecznie. Z fotela przy kominku zgania usadowione na nim kury i nareszcie znajduje poszukiwaną teczkę. Rozpyła w cuchnącym powietrzu dezodorant o różanym zapachu. Kończy się ubierać.

Squarzoni wraca z pierwszą tego ranka dobrą wiadomością: Kaplica Sykstyńska jest przygotowana, szkody okazały się o wiele mniej poważne, niż się tego obawiano. Prefekt Domu Papieskiego prosił jednak, żeby

przekazać, iż pozostała pewna niedogodność, z którą trzeba się będzie pogodzić. W pomieszczeniu panuje przykry zapach, wydzielany przez zwierzęta, które przezornie postanowiono pozostawić na razie w Kaplicy. Czyni się starania, by za pomocą kadzidła odświeżyć powietrze w tym świętym miejscu, ale kury i koty ani na moment nie przestają zachowywać się zgodnie ze swoją naturą – brudzą podłogę i zanieczyszczają atmosferę. W każdym razie kilka osób będzie tam stale dyżurować, ze szczotkami i szufelkami, z trocinami i żwirem, by natychmiast usuwać zwierzęce ekskrementy.

– Cóż, niech tak będzie, przeprowadzimy konklawe między kurami i kotami. Gorsze rzeczy się zdarzają... – mówi z rezygnacją kamerling. I dodaje: – Księżę Squarzoni, proszę wezwać dygnitarzy i prałatów z orszaku do mnie na ósmą trzydzieści, razem udamy się na oficjalne rozpoczęcie posiedzenia konklawe. Jak to? Są już tutaj? Dobrze, zatem proszę, niech wejdą.

Squarzoni przerywa mu, by zaanonsować przybycie arcybiskupów z Nowego Jorku i Filadelfii, eskortowanych przez dwóch gwardzistów.

W pierwszej chwili najbardziej szokuje ich wygląd. Nie mieli czasu przebrać się w sutanny, zostali więc w ubraniach, w których próbowali ucieczki. Nowojorczyk ma na sobie dres w czarno-niebieskie pasy, ze znakiem firmowym powszechnie znanych opon, dres kardynała z Filadelfii jest różowy i ma wydrukowane pierwsze słowa piosenki: *Cheek to cheek*.

Długa rozmowa między trzema kardynałami na pewno nie jest łatwa, podniesione głosy dochodzą do uszu dygnitarzy, którzy tymczasem przybyli, żeby towarzyszyć kamerlingowi w otwarciu kolejnego posiedzenia konklawe. Chcąc zagłuszyć odgłosy tej ożywionej dyskusji i wykorzystać chwilę oczekiwania, Antonio Leporati, który kieruje orszakiem kamerlinga, postanawia przeciwyczyć z kilkoma młodymi chórzystami hymn *Veni Creator Spiritus*. Efekt jest taki, że wprawdzie nie słychać już podniesionych głosów purpuratów, ale za to do śpiewaków dołączyły wystraszone koty ze

swoim miauczeniem i kury, które nie wiadomo dlaczego właśnie teraz zaczęły gdakać jak przy znoszeniu jajek.

– Straszny tu hałas! – woła Veronelli, otwierając na oścież drzwi i przepuszczając dwóch kardynałów w sportowych strojach.

To, co widzi, jest bardziej przykre dla jego oczu niż zgiełk ludzkich i zwierzęcych głosów dla jego uszu. Widać bowiem, że młodzi chórzyci nie potrafią oprzeć się pokusie, na jaką wystawiają ich kobiety, kryjące się w ich wyobrażeniu pod postacią kur ogarniętych niespodziewaną pasją śpiewaczą. Trudno im przewyciężyć pragnienie spoglądania na zwierzęta, co sprawia, że mylą się w śpiewie: gubią rytm, zapominają słów i fałszują, doprowadzając tym do furii kardynała dziekana.

– Proszę tego zaniechać, Eminencjo. Lepiej, żeby nie śpiewali wcale, także w kaplicy. Tam też są te nasze dzielne obrończynie... – mówi kamerling Leporatiemu na ucho, zaniepokojony, że nieprzyzwoite wizje znów nasila się u młodych duchownych.

Orszak wyrusza, a dwaj kardynałowie, którzy dopiero co dostali reprimendę od kamerlinga, śpieszą do swoich pokoi, by przebrać się w sutanny obszyte purpurową lamówką, dużo bardziej odpowiednie do ich godności. Dopiero po wyjściu ostatniego chórzysty zwierzęcy zgiełk, produkowany przez koty i kury, cichnie.

Widok, jaki przedstawia się oczom kamerlinga po przekroczeniu progu Kaplicy Sykstyńskiej, zatłoczonej kardynałami, napęnia go otuchą.

Trony purpuratów po prawej i lewej stronie kaplicy ustawione są w idealnie równych rzędach, w rozdzielającym je korytarzu co metr rozmieścili się prałaci, gotowi pomóc Ich Eminencjom w odnalezieniu właściwego miejsca albo podtrzymać co starszych przy wchodzeniu na wąskie stopnie. Nad wszystkim unosi się szum głosów kardynałów, czekających, by wypełnić swój obowiązek; ich dusze nie są może jeszcze najspokojniejsze, ale na pewno zdecydowani są zrobić wszystko dla osiągnięcia celu, w jakim zostali wezwani.

Wspaniały fresk *Sąd Ostateczny*, uwolniony od koszmarnej mutacji alegorii walki między Dobrem a Złem, jaką sam przedstawia, prezentuje się czysty i wyraźny, bez jednego nawet skorpiona. Kardynałów tak bardzo cieszy widok malowidła w jego dawnej postaci – tej samej, w jakiej przez ponad cztery stulecia iluminował umysły przy podejmowaniu ważkich decyzji – że bez protestów znoszą smród kociej uryny i kurzego łajna, który od progu uderza w nozdrza.

Tu i ówdzie – między krzesłami, na schodach, w korytarzu i przed ołtarzem – można zauważyć dyskretną obecność starszych wiekiem prałatów ze szczotkami, szufelkami i małymi kubełkami, którzy uważnie obserwują podłogę. Młodszych duchownych przezornie nie poproszono o tę usługę ze względu na ich skłonność do halucynacji. Sprawcy tego zamieszania, koty i kury, spacerują po kaplicy z nonszalancją stałych bywalców, jakby stworzenia te zapomniały już o rzymskich placach i zaułkach oraz o kurzej fermie w Colleferro.

Kot zwinięty w kłębek na jednym z tronów spogląda nieufnie na zmierzającego w jego kierunku kardynała, aż wreszcie postanawia znaleźć sobie inne miejsce na sjęstę po ostatnim szczurze, jakiego udało mu się skonsumować.

Kura drepcze po schodku, potrząsając głową ruchem charakterystycznym dla swego gatunku; wzrok utkwiony ma bez przerwy w podłogę w poszukiwaniu ofiar, które jeszcze od czasu do czasu ośmielają się pojawiać na terenie znajdującym się pod kurzym panowaniem. Niedobitki skorpionów schowały się w ciemnych zagłębieniach murów o tynkach złuszczonych od wilgoci i obmyślają zuchwałe plany odwetu. Od czasu do czasu któryś z nich wysuwa swój jadowity kolec z dziury, w której znalazł schronienie, i wymachuje nim jak czerwoną płachtą przed bykiem. Na ten widok kury tracą nawet te śladowe ilości inteligencji, jakimi obdarzyła je natura, rzucają się z rozpostartymi skrzydłami na kryjówkę i bezskutecznie uderzają dziobem w podłogę.

Veronelli nie może pozwolić sobie na dłuższą kontemplację odbudowanego porządku, nawet w sytuacji, kiedy chodzi o wartości najwyższe, jak *Sąd Ostateczny*. Zaraz wpada znowu w irytację, bo zauważa, że kierownik chóru Kaplicy Sykstyńskiej, Antonio Liberale, zaprasza śpiewaków do kaplicy dla odśpiewania *Veni Creator*. A przecież jego polecenia, przekazane dziekanowi, były chyba jasne!

– Księżę Squarzoni, proszę mu powiedzieć, że dzisiejszego ranka się nie śpiewa, absolutnie! Szybko! Błagam! Zanim ci młodzi tu wejdą!

Zmieszany i zmartwiony wyraz twarzy maestro Liberale świadczył, że jego polecenie zostało zrozumiane.

Ale jeden z chórzystów, może ten najbardziej gorliwy albo najgoręcej pragnący pochwalić się Ich Eminencjom swoim pięknym głosem, zdążył wejść. I teraz, koncentrując się na lekturze nut, nie zauważa gestów maestro ani Squarzonego. Dopiero dźwięki innego śpiewu sprawiają, że podnosi głowę znad partytury, bezgranicznie zdumiony, jak zresztą wszyscy zgromadzeni w kaplicy, po czym, z uczuciem zawodu, przyjmuje wreszcie do wiadomości zaproszenie do opuszczenia kaplicy.

To pieje kogut, któremu udało się umknąć przed kontrolą ludzi inżyniera Nasalli Rocca i pozostać przy swoich kurach nawet na konklawe. Wszyscy słuchają go bez ruchu. Ten koguci śpiew jest demonstracją siły i radości, wezwaniem słońca i pragnieniem towarzyszenia mu przy codziennych narodzinach, w tym przypadku: odrodzinach, w pomieszczeniu pełnym starych ludzi, w chmurze kadzidła, wśród kotów, szczurów, skorpionów i nieruchomych twarzy, powieszonych na ścianach.

Po chwili kogut, może sprowokowany bezruchem żywych w kaplicy i martwych na ścianach lub też uznawszy, że nie dał jeszcze z siebie wszystkiego, ponownie demonstruje moc swego głosu, tym razem przy wtórze dwóch innych kogutów ukrytych wśród kur. Muszą przecież razem pozdrowić wschodzące słońce!

Nie jest to wschód podobny do tych, do jakich przyzwyczał się w swoim

haremie w Colleferro, gdzie światło przerywa noc i rozlewa się w jednej chwili na chmurę jego samic. Ten kurnik jest o wiele smutniejszy, niewiele w nim światła, dlatego też wezwano jego i jemu podobnych synów słońca. Bo jego śpiew jest w stanie obudzić słońce, wie to na pewno, nie ma drugiego koguta, który potrafiłby tak pisać... Dwa kurczaki, towarzyszące mu piskliwymi głosikami, zdają sobie z tego sprawę i nie ośmielają się z nim konkurować; ograniczają się do akompaniowania głównej melodii hymnu do słońca.

Kardynałowie w milczeniu wysłuchują tak niecodziennej w tym miejscu muzyki. Niektórym pianie kojarzy się z trzykrotnym ostrzeżeniem dla pierwszego biskupa Rzymu, świętego Piotra, który trzy razy wyparł się Chrystusa. Inni patrzą w górę na Sybille i proroków, myśląc o tym, w jak niezwykłych wydarzeniach muszą uczestniczyć niebiescy święci ze sklepienia kaplicy. Jeszcze inni trzymają oczy zamknięte i z niepokojem zastanawiają się, jakim jeszcze próbom będą poddani na tym konklawe, zanim zobaczą nowego Piotra. Właśnie wchodzą do kaplicy dwaj niedoszli uciekinierzy – zdumieni i oszołomieni purpuraci z Ameryki – kiedy tę magiczną chwilę urzeczenia przerywa czyjeś głośne wołanie:

– Uciszcie go! – Toskański akcent zdradza włoskie pochodzenie zniecierpliwionego duchownego. Istotnie, to kardynał Zelindo Mascheroni, prefekt Kongregacji Nauki Wiary, syn dozorczyńi, służącej u hrabiowskiej rodziny Cenami z Lukki, jeden z najsurowszych obrońców czystości wiary.

To on był inspiratorem ortodoksyjnych tez na temat etyki rodziny, popieranym przez zmarłego papieża. To jemu zawdzięcza się najostrzejsze ataki na świeckie prawodawstwo w sprawie aborcji, kontroli urodzeń, rozwodów i konkubinatów.

Kardynał Mascheroni nie ogranicza się do uciszenia impertynenckiego koguta, którego tymczasem szukają między kurami co gorliwsi prałaci domowi. Nie pytając kamerlinga o pozwolenie, zabiera głos przy wtórze gdakania kur, które protestują przeciw niepokojeniu ich przez inkwizytorów, poszukujących pierzastego Giordana Bruna. Purpurat z Kurii wybucha słowami surowej krytyki.

Ma pretensje do wszystkich. Do kamerlinga, do dziekana, a szczególnie do kardynałów, którzy próbowali ucieczki, i do tych, co udają chorych. Ostrych słów nagany nie uniknęli też chórzyci, młodzi kapelani, inżynier Nasalli Rocca i szef biura prasowego, monsignore Michel De Basempierres oraz ci, którzy zebrali w poszczególnych wyborach najwięcej głosów.

Nikogo nie pominął. Wszyscy zachowali się niewłaściwie, przez co ściągnęli gniew Boży na to zgromadzenie ludzi tchórzliwych, lubieżnych i słabych, niegodnych, by Duch Święty zstąpił do ich serc i umysłów. Kardynał kamerling Świętego Kościoła Rzymskiego zamienił konklawe w kurzą farmę. Ale nie dlatego, że posłuchał dyskusyjnej rady hrabiego Nasalli Rocca i sprowadził zwierzęta, które ranią zmysł węchu czcigodnych zebranych i obrażają świętość tego miejsca. Raczej dlatego, że jego brak zdecydowania i nieumiejętność pokierowania chwiejącą się Łodzią Piotrowa sprowadziły do poziomu kurnika posiedzenia tego dostojnego zgromadzenia. Tak, konklawe zamieniło się w rozgdakany kurnik.

I jakby dla spuentowania stów kardynała, ponownie rozlega się pianie koguta, jeszcze głośniejsze i bardziej przenikliwe, zuchwałe i władcze. Zaraz potem kogut wpada w ręce akolity, monsignore Jose Felipe Gomeza, a purpurat z Lukki powtarza swoją metaforę o pustym gdakaniu Ich Eminencji kardynałów.

– Wielu było kamerlingów w historii, którzy potrafili pokierować Kościołem w sytuacjach nie mniej delikatnych, okazując niezbędną siłę

ducha! – Mascheroni dalej pastwi się nad Veronellim, który tymczasem dotarł do swego tronu w towarzystwie zakłopotanych dygnitarzy. Widok kamerlinga, siedzącego na swoim miejscu, gotowego wysłuchać wszystkich jego pretensji, zadowolił go widocznie, bo kardynał Zelindo Mascheroni, prefekt Kongregacji Nauki Wiary, odwraca się w kierunku przeciwnego końca kaplicy, gdzie właśnie zajmują swoje miejsca arcybiskupi z Filadelfii i Nowego Jorku.

Natychmiast zaczyna mówić na temat, którego wielu zebranych wolałoby nie poruszać. Przede wszystkim kamerling, bo obawia się efektu, jaki zapoznanie się z tą sprawą może mieć na tych, którzy jeszcze o niej nie słyszeli, ale lękają się także dwaj winowajcy, którzy uznali już swoją winę przed Veronellim i obiecali, że nigdy więcej nie będą próbować ucieczki; podobnie wszyscy ci purpuraci, którzy rozumieją motywy czynu dwóch Amerykanów, nie potrafią ich potępić i wolą okryć milczeniem swoje nie całkiem czyste sumienia.

Przygłuchy kardynał z Szanghaju, Zacarias Fung Pen-Mei pogarsza jeszcze sytuację, kiedy w ciszy, jaka zapada po słowach Mascheroniego – nieznacznie tylko zakłócaną przez niespokojne kury – wykrzykuje na cały głos do swego sąsiada:

– Co? Kto uciekł?

Siedzący najbliżej kardynał Aldo Miceli z Wenecji bezskutecznie próbuje szeptem uspokoić Chińczyka, że nikt nie uciekł. Aż wreszcie sam Mascheroni, zirytowany tym spiskowaniem głuchego szanghajczyka z weneccjaninem, odpowiada Azjacie głośno:

– Tak, Wasza Eminencjo, nasi bracia z Filadelfii i Nowego Jorku próbowali uciec z konklawe.

Speszony wyraz twarzy arcybiskupa Szanghaju satysfakcjonuje Mascheroniego, żadnego teatralnego efektu. Jednak Chińczyk, który niedokładnie wszystko usłyszał, ponownie odwraca się do swego sąsiada i pyta o motywy ucieczki kardynałów. Nic mu nie wiadomo, żeby ktoś

zamykał ich za kratami. On sam to co innego – wiele lat spędził w chińskich więzieniach. Tych Amerykanów dobrze zna, to porządni ludzie... I nigdy nie słyszał o żadnych prześladowaniach religijnych w Stanach Zjednoczonych, gdzie sam mieszka od wielu lat ze statusem uchodźcy...

Mascheroni kieruje teraz całą swoją furię przeciw dwóm niedoszłym uciekinierom. Przedstawia zebranim apokaliptyczne wizje tego, co stałoby się, gdyby Amerykanom udało się uciec z konklawe. Święte Kolegium, które uważa się za natchnione przez Ducha Świętego, okryłoby się śmiesznością. Oni sami wpadliby w szpony mediów, które by ich zamęczyły i napiętnowały na całe życie. Ich przypadek zostałby wykorzystany przez wrogów Kościoła, którzy tylko na to czekają, żeby pokazać, że Dom Boży gnije od fundamentów.

Dwaj oskarżeni już po pierwszych słowach tej gorącej perory przestali żuć gumę, nie mając odwagi podnieść oczu na oskarżyciela. W pewnej chwili zdarza się jednak coś, co sprawia, że wznoszą wzrok, chociaż zdumienie nadal nie pozwala im na spokojne żucie.

Dokładnie nad głową kardynała Mascheroniego, na szczycie ornamentu, który zdobi baldachim nad jego tronem, siedzi biała kura. Jest ona albo do głębi poruszona oratorskim impetem – czy raczej gwałtowną gestykulacją purpurata, wstrząsającą całym tronem – albo też zdała sobie sprawę, że nie zdąży dostatecznie szybko opuścić tak znacznej wysokości i załatwić swoich potrzeb bliżej poziomu ziemi, wystawia bowiem tylną część ciała i skierowuje swe różowawe ekskrementy w sam środek łysej czaszki Mascheroniego, przerywając tym samym jego tyradę.

Wydarzenie to ujmuje dramatyzmu przemowie i odbiera wigor przemawiającemu, który, podczas gdy czyści się chusteczką, nie może nie widzieć uśmiezków i rąk podnoszonych do ust dla ukrycia rozbawienia. W ciszy, z głębi Kaplicy Sykstyńskiej, zza ołtarza, dobiega odgłos trzepotania skrzydłami koguta, złapanego przez swojego inkwizytora, monsignore Gomeza, który usiłuje poskromić ptaka poranionymi dziobem rękami i

wynieść z sali.

Kamerling, którego uwadze nie umknął ani jeden moment tej sceny, nie potrafi znaleźć logicznej odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób kura dostała się tak wysoko, dokładnie nad głowę tego, któremu przeszkadzał piejący kogut? W każdym razie dumny ptak, kierujący się naturalnym instynktem i wzywający słońce, został pomszczony przez zwykłą kurę...

Chwilę później kardynał Mascheroni wraca do swojej przemowy, ale zniknęła jego moc ranienia i poruszania sumień, tak potężna przedtem, zanim kura wybrała go na depozytariusza produktu swojej przemiany materii.

Mówi o zachowaniu chórzystów, którzy poddali się bezwstydnemu lubieżności, pozwalając sobie na fantazje, które bardziej niż z młodymi seminarzystami, pobierającymi nauki w Watykanie, kojarzą się z szanghajskimi gejszami w domach szczególnego rodzaju, wyspecjalizowanymi w sztuce *fan-chung*. Oburza się, że osoby o tak bogatym doświadczeniu religijnym jak kardynałscy sekretarze dopuszczają do tego, by wszędzie widzieć kobiety czyhające na ich niewinność. Gani hrabiego Nasalli Rocca za pragmatyzm, który byłby bardziej na miejscu na zebraniu pracowników przedsiębiorstwa kolejowego niż na konklawe kardynałów Świętego Kościoła Rzymskiego. Oskarża monsignore De Basempierres'a kierującego biurem prasowym, o nieudolność, przez którą traci kontakt z rzeczywistością i pozwala, by mało zainteresowanie tym najważniejszym wydarzeniem religijnym zachodniego świata. Występuje ostro przeciwko arcybiskupowi Mediolanu za to, że z powodu osobistych ambicji paraliżuje wybory, a także przeciw palestyńskiemu kardynałowi Nabilowi Youssefowi za to, że obciążył Łódź Piotrowa balastem polityki. Następnie przechodzi do ataku na frakcje, jakie utworzyły się podczas tych dwóch miesięcy konklawe, godząc przede wszystkim w ich przywódców, w wyróżniających się i budzących największy szacunek kardynałów oraz w tych, co zdobyli najwięcej głosów. Wszystko to jednak na nic – nie jest już

w stanie przywołać na powrót uwagi zebranych.

Podczas całej tej długiej przemowy kardynała Zelinda Mascheroniego napięcie – którego efektami powinny być protesty oskarżonych, próby usprawiedliwień i odpieranie zarzutów – wydaje się być obecne wyłącznie w skierowanych w górę – nad głowę oratora – spojrzeniach purpuratów i prałatów. Tam, na baldachimie, dalej siedzi zuchwała kura, zamyślona i wcale nie przejęta ciężarem oskarżeń kardynała. Wygląda to tak, jakby wszyscy czekali na ewentualną powtórkę incydentu, i w tej atmosferze rozwiewa się poczucie winy, znikają wyrzuty sumienia, gaśnie chęć odpierania ataków i szukania usprawiedliwień, a cała ta tyrada nabiera komicznego wydźwięku.

Tak więc, gdy burza mija, nikt oprócz prefekta Kongregacji Nauki Wiary nie dziwi się, że kamerling, podziękowawszy Mascheroniemu za cenne uwagi, spokojnie oddaje głos wszystkim innym, którzy pragną się wypowiedzieć.

Mija parę długich minut w ciszy, nieznacznie tylko zakłócanej szmerem głosów kardynałów siedzących bliżej wyjścia.

W tej części Kaplicy Sykstyńskiej wiadomością numer jeden jest pogłoska o kotce, która w pustym pudełku po świecach urodziła pięć ślicznych kociąt.

Kilku purpuratów dyskutuje na temat stosowności poddania sterylizacji innych kotek w Pałacu Apostolskim, z których wiele oczekuje już rozwiązania.

Paradoksem jest, że problem ten dotyczy w jakiś sposób sfery podstawowych zasad etycznych, których zagorzałym obrońcą jest właśnie Mascheroni. Spotyka się w związku z tym często z krytyką i niezrozumieniem, a nawet niesubordynacją, szczególnie w Europie Północnej i w Ameryce Południowej. Jeżeli jest to nie do przyjęcia u potomków Adama i córek Ewy, czy jest dozwolone u kotek? Jak poradzić sobie z problemem kontroli urodzeń u zwierząt?

Kardynał Veronelli na przeciwległym końcu Kaplicy Sykstyńskiej nie

potrafi odgadnąć, dlaczego nie ma chętnych do zabrania głosu. Ale uporczywy i coraz głośniejszy szmer rozmów pozwala mu zrozumieć, że nie tylko stopniał autorytet Mascheroniego, ale prefekt stracił też moc koncentrowania na sobie ogólnej uwagi.

– Eminencjo, urodziło się pięć kociąt – szepcze mu do ucha Thomas Tabone, honorowy prałat z Malty.

– Pięć? A gdzie?

– Tutaj, Eminencjo, przy wejściu do kaplicy, w jednym z kartonów po świecach... kotki szukają zawsze odosobnionych miejsc dla swoich małych...

Jeden z kardynałów, siedzący blisko kamerlinga, usłyszał pewnie tę rozmowę, bo uśmiecha się do Veronellego porozumiewawczo, jakby chciał mu powiedzieć, że ta niespodziewana nowina absorbuje aktualnie uwagę wielu zebranych na konklawe.

– Są śliczne, jeden jest pręgowany jak matka, inne za to... – ale kamerling nie słucha, patrzy na zirytowaną i obrażoną minę kardynała Zelinda Mascheroniego, który podczas konklawe na pewno nie chciałby rozmawiać ani o kotach, ani o kociętach.

Spogląda w górę, nad głowę purpurata. Jeden z prałatów tyczką do gaszenia świec próbuje przegonić groźną kurę, która targnęła się na godność Mascheroniego i sprawiła, że wytworzone jego tyradą napięcie rozładowało się w ogólnej wesołości.

Co robić? Maltańczyk Tabone szepcze Veronellemu do ucha, że narodziny kociąt sprowokowały dyskusję na temat sterylizacji kotek i że opinie na temat zasady obrony życia poczętego u zwierząt są podzielone, nawet na konklawe.

I co teraz robić?

Nigdy dotąd kamerling Świętego Kościoła Rzymskiego nie musiał zadawać sobie takich pytań w podobnej sytuacji.

Pora rozpocząć głosowanie, ale trzeba najpierw stworzyć odpowiednią

atmosferę; na pewno należy poczekać, aż koci temat przestanie tak bardzo zajmować kardynałów. Musi jak najszybciej coś wymyślić, bo purpuraci, którzy zebrali się przy końcu Kaplicy wokół kardynała Paide, dyskutują z coraz większym zapamiętaniem. Dostrzegł wśród nich także Rabuitiego i kilku innych Włochów, którzy nie wyglądają na miłośników zwierząt. Poza tym coraz bardziej ponura twarz Mascheroniego – który tymczasem dowiedział się, jak błahe wydarzenie odebrało mu panowanie nad uwagą zebranych – nie pozostawia wyboru. Prefekt Kongregacji Nauki Wiary patrzy prosto w oczy kamerlinga, przekazując wzrokiem kategoryczne żądanie natychmiastowego usunięcia z Kaplicy Sykstyńskiej obiektu zainteresowania zebranych.

Ale oto niespodziewanie ktoś prosi o głos. Pyta kamerlinga, czy może mówić po łacinie, bo nie zna dostatecznie dobrze języka włoskiego.

W sali zapada cisza.

Który z kardynałów odważa się zabrać głos po Mascheronim? Czy to arcybiskup Lwowa? Drobnej budowy i nieśmiały, rzadko daje się zauważyć. Bierze się go pod uwagę nie tyle jako osobę, ile jako nazwisko i jedną z kart do rozegrania. Jest wątłego zdrowia i zdarzyło się już parę razy, że z polecenia lekarza zostawał w swoim pokoju podczas głosowania.

Unicki arcybiskup większy Lwowa rozpoczyna swoją przemowę pochwałą roztropności kardynała kamerlinga Świętego Kościoła Rzymskiego, który wziął na siebie ciężar kierowania zgromadzeniem w jednym z najbardziej delikatnych momentów w historii Kościoła.

Następnie składa hołd kardynałowi Zelindo Mascheroniemu, prefektowi Kongregacji Nauki Wiary, którego wielkoduszny niepokój o losy konklawe dzielają jego uczestnicy, wybrani przez Boga do tak odpowiedzialnego zadania. Wszyscy razem są świadkami wydarzeń niezrozumiałych i bez precedensu. Wydaje się, jakby w Kaplicy Sykstyńskiej i w Pałacu Apostolskim działały piekielne moce. Przypomina to dawne, mroczne czasy z historii Kościoła, kiedy zdawało się, iż siły Zła bliskie są zwycięstwa –

epokę schizmy i podziałów, które sprawiły, że Stolica Piotrowa przeniesiona została z Rzymu do Awinionu.

Gdzie jednak w naszych czasach szukać drugiej świętej Katarzyny ze Sieny, która potrafiłaby nie tylko służyć radą, ale i potępić decyzje zwierzchników, podejmowane za podszeptem szatana, a nie z woli naszego Pana?

Słowo „szatan” wywołało w zgromadzeniu ten sam efekt, co kamień wrzucony do spokojnej wody. Purpurat wymawia je wyraźnie i powtarza trzy razy, przerywa potem przemowę, by wybrzmiało w ciszy, i wpatruje się nieruchomo w dolną część fresku Michała Anioła, w scenę z potępionymi i diabłami.

Po chwili sięga po szklanekę wody i wraca do swej przemowy, przechodząc do konkretnych propozycji i poddając je pod rozagę braciom, którzy w napięciu wytworzonym intensywnością jego prostych słów, wypowiedzianych po łacinie i bardziej przystających świętemu Hieronimowi niż świętemu Tomaszowi, czekają na konkluzje.

– *Summa hac Ecclesiae Magistrae tempestate novum animam in proximo pontifice necesse esse...*, dla odnowienia sił osłabionych walką z odwiecznym wrogiem... A „animą” najmłodsza jest Afryka, kontynent, na którym wprawdzie ewangelizacja wydaje najdorodniejsze owoce, lecz gdzie starcie między Dobrem a Złem jest najostrzejsze. Tam wciąż jeszcze konflikty na tle rasowym i plemiennym, a także niekończące się walki o władzę przypominają prymitywne wojny, jakie toczyła między sobą ludzkość pamiętająca swoje stworzenie, niedawno wygnana z raju. Tam codzienne akty bratobójstwa przywołują na myśl historię Kaina i Abla i uświadamiają nam, jak niewiele dzieli miłość od nienawiści. Tam ciągle jeszcze żyją między ludźmi główni sprawcy upadku człowieka: Adam, Ewa i wąż...

Świat musi powrócić do Afryki, oprzeć się na jej pierwotnej niewinności, na jej oddaniu walce między światłem a ciemnością, walce, która już dawno

straciła znaczenie dla mieszkańców postępowego Zachodu, tego chorego organizmu... Nowy papież Kościoła Rzymskiego powinien być naprawdę „nowy”, obmyty w odnawiających wodach Afryki, odrodzony poprzez prawdziwy chrzest. Nowy papież musi wziąć z tej ziemi jej duchowość – której obce są wątpliwości i dwuznaczności, która nie uznaje wyjątków i mediacji – tę samą, która dała czarnoskórym Tertulianowi i Augustynowi siłę, by walczyć z wrogiem niczym bohaterowie *Iliady*. Księżę ciemności przypuścił atak na Kościół w momencie, kiedy ten znalazł się bez przewodnika, i użył całego arsenału swojej najgroźniejszej i najskuteczniejszej broni, by uderzyć w samo serce, w watykańskie konklawe...

Kiedy słowiański kardynał zatrzymuje się na chwilę, by napić się wody, ponownie kieruje oczy na fresk, a za nim to samo robią w absolutnej ciszy wszyscy zgromadzeni.

– Dziwicie się pewnie, że słyszycie te słowa właśnie ode mnie, od waszego brata ze wschodniej Europy, którego wielu z was obdarzyło swoim zaufaniem w głosowaniach, w nadziei, że będzie w stanie rozwiązać dręczące was problemy. Weźmiecie to może za dowód tchórzostwa, oznakę strachu i ucieczkę od odpowiedzialności. Tak jednak nie jest. Mój kraj też jest chory, podobnie jak świat Zachodu. Jego chrześcijańskie serce nie bije dostatecznie mocno, by przekazać swój rytm wszystkim jego mieszkańcom, jak w czasach Dostojewskiego i Tołstoja. Materializm wyrosły z biedy, w jakiej żyli przez siedemdziesiąt lat reżimu, zmienił ich tak samo jak materializm narodzony z bogactwa, który zdemoralizował Europę. W Afryce szukajcie nowego papieża! Szukajcie człowieka, który będzie potrafił czerpać z najbardziej pierwotnej formuły wiary, żyjącego w styczności z autentycznymi siłami bliskimi ziemi, zdolnego do walki ze Złem jego własną bronią. Szukajcie człowieka gotowego do zwyciężenia szatana, który tylko czeka, by złapać w swoje szpony nasze umysły, wykorzystując nasze zmęczenie, lęk przed działaniem po omacku, zwątpienie, strach przed

samotnością i obawę, że te nieliczne dni, jakie nam jeszcze zostały, spędzimy w bezsensownym zamknięciu. Jest między nami człowiek, który przyjechał do nas z Afryki, ukochany duszpasterz Afrykanów, godny tych nadziei. Zachęcam was, drodzy bracia, byście na niego oddali wasze głosy!

Tak kończy swą przemowę Wolfram Stelipyn. Siada ciężko na swoim tronie i ociera twarz z potu.

Nie wymienił nazwiska czarnego kardynała, o którym mówił, pozostawiając zebranych w nerwowym napięciu, zwiększonym jeszcze mocą jego słów i linearnym rozumowaniem, w którym w sposób trafiający do przekonania położył akcent na dualistyczny konflikt między Bogiem a szatanem.

Jednak ten zwrot ku źródłom, pochwała prymitywnej formuły wiary brzmi dla wielu Europejczyków jak oskarżenie, potępienie ich formacji i metod rządzenia Kościołem. I wywołuje u jednych wzburzenie, u innych zaś obojętność, co osobom skłonny do refleksji przywodzi na myśl dualistyczny konflikt, o którym mówił Słowianin.

Dlaczego ten człowiek, który nawet najmniej przekonany do jego propozycji wydaje się być natchnionym przez Ducha Świętego, nie wymienił nazwiska afrykańskiego kandydata?

To pytanie zadaje sobie wielu kardynałów przybyłych tego wieczora do wieży Świętego Jana, by w łaźni tureckiej odnowić siły po męczącym dniu, kiedy to w dwóch turach wyborów, porannej i popołudniowej, prawie równo obdzielono głosami jedenastu Afrykanów i unitę z Ukrainy.

– Nie było sposobu, żeby wyrwać mu z ust to nieszczęsne nazwisko – mówi, bardziej do siebie niż do siedzącego obok Matisa Paide, kardynał de Jouy z Paryża, przymykając oczy i poddając się dobroczynnemu działaniu ciepła.

– Powiedział tylko, że musimy go szukać... jakby bał się wymenić jego nazwisko, jakby przezornie nie chciał brać na siebie całej odpowiedzialności – stwierdza Paide.

– Ale wystarczyło mu odwagi, żeby zarzucić nam, że jesteśmy relikdami historii – zauważa Rabuiti, który uwolnił się już od płaszcza kąpielowego, nie mogąc znieść gorąca.

– Może się mylę, ale sędzę, że tkwi w tym jakaś tajemnica. Nazbyt to wszystko niejasne. Ten Ukrainiec coś ukrywa, może przekazuje w ten sposób jakąś zakodowaną wiadomość... – wtrąca kardynał Siro Ferrazzi z Bolonii.

– Ale komu? – pyta Rabuiti.

– Osobie, o której mówił, nowemu Tertulianowi albo nowemu Augustynowi, jak wolisz – żartuje Ferrazzi.

– Wydawało się, że chciał skłonić tego człowieka do ujawnienia się – zauważa Paide. – Jakby uważał, że to on sam powinien przedstawić się wszystkim.

– Tymczasem jedyne, co osiągnął swoimi przemilczeniami, to skłócenie

Afrykanów między sobą – dopowiada kardynał z Palermo, podchodząc do pryszniców, żeby się ochłodzić.

– Nieprawda, osiągnął coś więcej. Udało mu się nadać konklawe pewien kierunek, a to już coś. Nie będzie łatwo zawrócić z drogi, na którą nas naprowadził. Zresztą nie on jeden uważa, że należy wrócić do źródeł, czy to będzie Afryka, jak w jego propozycji, czy coś całkiem innego – mówi Paide, podczas gdy *Aria* Albiniego, którą słychać w tle, nabiera szybszego tempa.

– Pozostaje tylko odgadnąć, czy Stelipyn miał na myśli kapłana z Luandy, z Kinszasy, z Lusaki czy Nairobi, a może z Dares Salaam albo z Antananarywy...

– Albo z Maputo czy z Dakaru – dodaje Ettore Malvezzi, który właśnie doszedł do zebranych i od razu włączył się do rozmowy, by przewyciężyć pragnienie ucieczki z tego miejsca.

– Nie zapominajcie o kardynale z Addis Abeby i Kampali – wtrąca arcybiskup Genui.

– Jeden z nich jest w łaźni, mów ciszej – mityguje go Rabuiti, wychodząc spod prysznic.

Zaraz potem otwierają się szklane drzwi i pojawia się w nich kardynał o skórze mocno kontrastującej z białą płaszczą kąpielowego. Na pewno należy do tych, których przed chwilą wymieniono, trudno go jednak rozpoznać w kłębach pary.

Na widok Afrykanina wszyscy wracają myślami do porannych i popołudniowych głosowań po wystąpieniu słowiańskiego kardynała. Wystąpienie to zrobiło wprawdzie duże wrażenie na słuchaczach, nie doprowadziło jednak do porozumienia.

Po przemówieniu Wolframa Stelipyna kamerling podziękował ukraińskiemu unicie i nie tracąc czasu, dał znak do rozdania kart wyborczych, starając się wykorzystać nastrój refleksji, wywołany słowami o kandydacie z Afryki. Nie próbował nawet zgadywać, o którego z jedenastu

czarnych kardynałów chodziło mówcy. Jeżeli ten człowiek przemilczał nazwisko, miał ku temu bez wątpienia ważne powody; nie mogło mu chodzić o nic innego, jak o dobro konklawe. Na pewno nie chciał stawiać nowych przeszkód w działaniu Ducha Świętego. Zresztą czterech czy pięciu Afrykanów nie powinno być branych pod uwagę ze względu na zaawansowany wiek. Nazwisko wyłoni się na pewno już po kilku głosowaniach. Czekali prawie dwa miesiące, mogą poczekać jeszcze trochę.

Przyniesiono mu karty stu dwudziestu sześciu elektorów. Kiedy odczytywał je na głos, miał wrażenie, że bliski jest odgadnięcia nazwiska, ale wolał, żeby każdy sam w sercu znalazł właściwe rozwiązanie. Dwadzieścia trzy głosy oddano na kardynała z Ugandy, dwadzieścia dwa na purpurata z Angoli, dziewiętnaście na kardynała z Madagaskaru, siedemnaście na kardynała z Mozambiku i dziewięć na purpurata z Kamerunu. Pozostałymi dwudziestoma pięcioma głosami podzielili się: kardynał z Mediolanu, który uzyskał ich siedem, Stelipyn z trzema wskazaniem i kilku innych purpuratów, jak Palestyńczyk czy arcybiskupi Bombaju, Sarajewa i Buenos Aires, z jednym lub dwoma głosami. Był też jeden głos na Malvezziego i jedna czysta karta. Wszyscy wymienieni spełniali warunki do kandydowania w wyborach; najstarszy z nich, kardynał Kamerunu, ma sześćdziesiąt dziewięć lat. Młodzieniaszek, biorąc pod uwagę średnią wieku w Świętym Kolegium...

Dwadzieścia trzy głosy oddane na Ugandyjczyka, kardynała Josepha Masakę, to rekord konklawe, nikt przedtem nie osiągnął takiej liczby.

Po południu, podczas przygotowań do kolejnego głosowania, po burzliwych naradach kardynałów, którzy wydawali się skłaniać ku afrykańskiej opcji, w Kaplicy Sykstyńskiej panowała atmosfera nadzwyczajnego napięcia. Nikt już nie zwracał uwagi na koty i kury, nikt nie skarżył się na nieprzyjemny zapach, który tymczasem bardzo się nasilił. Karton po świecach z pięcioma kotkami powierzono afrykańskim siostronom zakonnym z kuchni. Koguty znaleziono i przeniesiono do kurnika pod izbą

chorych, gdzie natychmiast zaczęły pisać. Prałaci ze służby porządkowej, uzbrojeni w srebrne szczotki i łopatki, nie schodzili z posterunku, a swoją pracę wykonywali z ogromną dyskrecją, pragnąc za wszelką cenę pozostać niezauważonymi, w związku z czym stapiali się prawie z tłumem. Pojawiła się nawet propozycja, by w zastępstwie chórzystów – którzy z powodu swoich obscenicznych wizji pozostali w pokojach – wszyscy zebrani odśpiewali *Veni Creator Spiritus*. I rzeczywiście, ze starych, zmęczonych gardeł, wśród fałszów i kiksów, wzniósł się do Pana jednogłosny hymn nadziei.

Była to ryzykowna sytuacja, ponieważ zwierzęta, wystraszone niespodziewanym hałasem, ponownie okazały oznaki niepokoju, ale tym razem kardynałowie dali wyraz swej wyrozumiałości i nikt nie protestował przeciwko prychającemu kotu czy kurze, która ze wzruszenia zniosła jajko pod rąbkiem sutanny jednego z purpuratów. *Veni Creator Spiritus* wybrzmiał do końca, aż do ostatnich słów, wyśpiewanych zawodzącym głosem przez arcybiskupa Szanghaju.

Rezultat wyborów wprowadził wszystkich w niemałe zdumienie. Głosy były jeszcze bardziej rozproszone i tym razem padły na wszystkich Afrykanów, także na tych, którzy nie otrzymali ich rano. Stracili na tym Ugandyjczyk i Angolańczyk, którzy musieli się podzielić głosami z kardynałami Etiopii, Senegalu, Zairu i Tanzanii. Jedyńm, który utrzymał pozycję, był kardynał z Mediolanu ze swoimi siedmioma wskazaniami. Sytuacja wszystkich innych zmieniła się; niektórzy, jak na przykład Malvezzi, Palestyńczyk czy arcybiskup Sarajewa, stracili nawet te pojedyncze głosy, jakie na nich wcześniej oddano.

Nie było wątpliwości, że wezwanie do zwrócenia się w stronę Afryki nadal wywierało wpływ na umysły purpuratów. Jednocześnie wśród kandydatów z Czarnej Łądy wywiązała się wewnętrzna rywalizacja. Każdy z nich pragnął, by jego nazwisko zostało choć raz odczytane z kart wyborczych – ocaliłby w ten sposób własny honor i potem mógłby z godnością skapitulować, zrezygnowawszy na rzecz tego, o którym mówił

Stelipyn.

Na drugim, popołudniowym głosowaniu zauważono nieobecność ukraińskiego unity, ale usprawiedliwiono to stanem jego zdrowia, który nigdy nie był stabilny. Może zresztą jego nieobecność była posunięciem dyplomatycznym – na pewno próbowano wyrzucić na niego presję, a on wolał pozostawić wszystkim pełną wolność refleksji i wyboru. Odkładając do następnego dnia kolejne, osiemdziesiąte już głosowanie, kamerling miał poczucie, że coś się nareszcie ruszyło, że tryby maszyny konklawe rzeczywiście zaczęły się kręcić, pomimo tarć i zahamowań, normalnych po tak długim zastoju.

O tym też myślą kardynałowie, którzy odnawiają swoje siły w wieży Świętego Jana, kiedy dociera do nich niespodziewana wiadomość, że do łaźni tureckiej przybył purpurat ukraiński; przebrał się już nawet w biały płaszcz kąpielowy. Zatem stan jego zdrowia, uniemożliwiający udział w konklawe, nie przeszkadza mu spędzić w kąpeli parowej ostatnich godzin dnia, którego był bohaterem. Ale może w jego kraju korzystanie z sauny należy do zwykłych codziennych rytuałów? A może to sam archiatra, po przebadaniu, zalecił mu taką właśnie kurację?

Jednoczesna obecność czarnego kardynała oraz człowieka, który zainspirował zainteresowanie Czarnym Łądem, w miejscu, w którym przebywa się, by dać ulgę zmęczonemu ciału, wprawia purpuratów w niezwykle podekscytowanie. Dopiero co opadły emocje wzbudzone widokiem kardynała z Turynu, który po raz pierwszy znalazł się w tym miejscu, a już z ust do ust przechodzi wiadomość, że do łaźni tureckiej wybiera się także nie kto inny, jak sam kardynał Zelindo Mascheroni. Eskortują go żołnierze gwardii szwajcarskiej, śpiewając w drodze hymn swojej formacji:

*Notre vie est un voyage
dans l'hiver et dans la nuit, nous cherchons notre passage
dans le ciel ou rien ne luit...*

Cóż może oznaczać cała ta parada? A poza tym, czy z urzędzeń

zarezerwowanych dla purpuratów powinni korzystać także gwardziści? A jeżeli to tylko prowokacja kardynała o krańcowo konserwatywnych poglądach, pomyślana, by zganić swobodę ich obyczajów?

Po tym człowieku można się wszystkiego spodziewać; niestety, ani w saunie, ani w łaźni tureckiej nie znajdzie się żadna kura, która mogłaby zneutralizować zapach jego ortodoksyjnego moralizmu.

Roznosi się pogłoska, że Mascheroni poprosił o pozwolenie na wejście do łaźni także dla swoich czterech przybocznych gwardzistów i że dwaj monsignore, afrykański i filipiński, nie potrafili mu odmówić. I teraz w łaźni tureckiej, gdzie zebrali się przede wszystkim Włosi z Matisem Paide i kardynałowie o czarnej skórze, oczekuje się w każdej chwili pojawienia arcybiskupa większego Lwowa, prefekta Kongregacji Nauki Wiary i czterech młodych żołnierzy.

Podczas długich chwil oczekiwania udało się rozpoznać rysy afrykańskiego purpurata i skojarzyć je z uśmiechniętą szeroką twarzą mozambickiego kardynała z Maputo, Carla Felipe Marii Dos Angeles.

Tego dnia w drugim głosowaniu otrzymał dwadzieścia głosów, o jeden więcej niż w pierwszym. Ten nagi człowiek, który właśnie uwolnił się od płaszczka kąpielowego, mógłby zostać pierwszym czarnym papieżem w historii.

Ta myśl nawiedza wszystkich, kiedy tylko go rozpoznają, i sprawia, że w pomieszczeniu zalega milczenie. Nienaturalność tej ciszy, silnie kontrastującej z rozgardiaszem rozmów, których fragmenty Afrykanin na pewno wcześniej usłyszał, wprawia w zakłopotanie przede wszystkim sprawcę tej reakcji.

Dos Angeles posłuchał Stelipyna, który poradził mu, by udał się do łaźni, bo tam najłatwiej zorientuje się w sytuacji, i nie podejrzewał, że taką samą radę otrzymali od unity także inni afrykańscy kardynałowie. I tak oto w ciągu kilku minut zjawiają się tam prawie wszyscy jego pobratymcy. Usadawiają się ciasno na wolnych ławkach. Jest ich teraz w łaźni

dziewięciu.

Zdziwienie, którego nie potrafią ukryć, zdradza, że nie spodziewali się tu spotkać braci o czarnej skórze. Niektórzy z nich, jak na przykład arcybiskup Luandy, żałują swego kroku i przyznają rację Pascalowi, który twierdził, że większość kłopotów spotyka nas, kiedy nie potrafimy znieść samotności we własnym pokoju.

Przeszklone drzwi otwierają się szeroko i staje w nich arcybiskup Lwowa w zbyt długim, jak na jego drobną posturę, płaszczu kąpielowym, który przeszkadza mu w ruchach. Kiedy tylko przekracza próg, dziewięciu czarnych kardynałów wstaje, ustępując mu miejsca, on jednak, speszony tą atencją, siada w kąciku, niedaleko Malvezziiego.

– Jaka piękna muzyka... Co to jest? – pyta turyńskiego purpurata po włosku, z silnym obcym akcentem.

– Myślę, że to jakaś osiemnastowieczna kompozycja.

– W mojej katedrze zawsze brzmi muzyka, tak jak tutaj. Mamy wyśmienitych chórzystów. Nagraliśmy ich śpiew i w ten sposób śpiewają nam bez przerwy.

– Jeżeli masz ochotę na masaż brzożowymi witkami, sprowadziłem ich tu całe naręczą. Musisz spróbować, to świetnie działa na krążenie... – zaproszenie pochodzi od Matisa Paide który jednocześnie wskazuje na gałązki leżące przy nim na podłodze.

– Dziękuję, to bardzo uprzejmie z twojej strony. Powiedziano mi, że jesteś Finem, na pewno znasz się na tym doskonale...

– Nie, pochodzę z Estonii, z wyspy, która leży niedaleko Finlandii. Rosną na niej brzozy z gałązkami podobnymi do tych, a także akacje i lipy.

– Jak się robi ten masaż?

– Zaraz ci pokażę. Weź jedną gałązkę do ręki i uderzaj słabo, ale bez ustanku w moje plecy. – Trapista, największy entuzjasta radości klauzury, wstaje, rozbiera się i nadstawia plecy pod zaimprovizowane biczowanie słowiańskiego kolegi.

Masywne ciało estońskiego kardynała stanowi uderzający kontrast z wątłym, przywiędłym ciałem jego nieśmiałego biczownika, który najmniejszą gałązką, jaką znalazł, zaczyna uderzać po szerokich plecach mężczyzny, prostych i mocnych, pomimo jego sześćdziesięciu sześciu lat.

– Mocniej, Wolfram, uderzaj mocniej – nalega Paide. Drobny Ukrainiec z kapturem na głowie, sprawiającym, że podobniejszy jest do skrzata niż do księcia Kościoła, stara się bardziej przykładać do uderzeń. Z powodu wysiłku i gorąca ma czerwoną twarz, a gwałtowne ruchy doprowadzają do tego, że pasek jego płaszcz kąpielowego się rozwiązuje. Afrykanie siedzący naprzeciwko – czy to pobudzeni duchem rywalizacji, czy też aby pokryć działaniem swoje zakłopotanie – wstają jeden po drugim, biorą w ręce gałązki brzozy i kierując się wskazówkami Matisa Paide, zaczynają smagać się nimi nawzajem. I tak Kinszasa chłoszcze Dar es-Salaam, Maputo okłada Antananarywę, Duala Kampalę, a Dakar smaga Addis Abebę i Luandę.

Stopniowo, zarażeni rytmem tych gestów, także Włosi, jeden po drugim, sięgają po gałązki i dobrawszy się w pary, zaczynają okładać się po plecach, nie spuszczać wzroku z biczowników pierwszych w łańcuchu – Stelipyna i Matisa Paide, dwóch wielkich osobistości Kościoła Północy. Słychać tylko wezwania Estończyka: „Mocniej! Mocniej!” – monotonne jak mantra – które przydają wigoru temu ćwiczeniu, wywołującemu u wielu skojarzenie z dawnymi praktykami umartwiania ciała.

Paide wie, że za chwilę będzie musiał poprosić Stelipyna, żeby przerwał biczowanie i poddał się jego razom. Ale słabe zdrowie kardynała ukraińskiego powstrzymuje go od tego, boi się o jego kondycję. Wahanie Estończyka przerywa sam Stelipyn.

– Teraz moja kolej – mówi i zdejmuje biały płaszcz kąpielowy.

To drobne, nieumięśnione, jakby skurczone ciało z wystającymi żebrami, pokryte żółtawą, zwiotczałą skórą, wystawiające się na chłostę brzozowych witek, doskonale dopełnia obrazu pokutnej ascezy. Paide stara się, by jego uderzenia były jak najłżejsze, pomimo tego wyczuwa drżenie Stelipyna i

zatrzymuje się.

– Mocniej! Mocniej! – woła Ukrainiec, jak gdyby nie chciał przegrać rywalizacji z Afrykanami, którzy swoją werwą, widoczną w szerokim rozmachu i w sile uderzeń, górują nad wszystkimi innymi książętami Kościoła.

W tej samej chwili, kiedy Stelipyn obserwuje te czarne ciała, tryskające energią, drzwi otwierają się ponownie.

W progu staje, znieruchomiały ze zdumienia, kardynał Zelindo Mascheroni, prefekt Kongregacji Nauki Wiary.

Za nim ukazują się cztery jasnowłose głowy żołnierzy gwardii szwajcarskiej.

Kardynał Zelindo Mascheroni nie ma odwagi wejść. Scena z nagimi biczownikami w kłębach pary, na tle krucyfiksu wiszącego na przeciwległej ścianie i z centralną, budzącą litość postacią Stelipyna, poddającego się razem tego opętanego przez demony Matisa Paide, jest szokująca.

To, co dopełnia obrazu, wywołując skojarzenia ze scenami piekielnymi, które kontempluje codziennie na fresku w Kaplicy Sykstyńskiej, to dziewięciu czarnych kardynałów, okładających się z całej siły brzozowymi witkami. Prefekt Kongregacji Nauki Wiary zamyka oczy i prosi Boga, żeby podsunął mu słowa stosowne do sytuacji i skuteczniejsze niż na posiedzeniu konklawe.

Sporo kosztowała go zgoda na założenie białego szlafroka z frotte, który wydawał mu się drwiną z alby papieskiej. Uznał jednak, że inspekcja tego miejsca jest jego obowiązkiem, zwłaszcza po tym, jak dowiedział się, że mają się tu zebrać Afrykanie i ich poplecznicy. Przyszedł z żołnierzami i z oficerem gwardii szwajcarskiej, na wypadek gdyby spotkał go jakiś afront, uwłaczający jego godności, i gdyby musiał szukać pomocy.

Teraz jednak, wobec widoku, jaki przedstawia się jego oczom, nikną absolutnie wszystkie jego obawy. Nigdy nie uwierzyłby, że ludzie korzystający z łaźni oddają się praktykom umartwienia tak ascetycznym i surowym. Tak więc w oszołomieniu, wstydząc się swoich podejrzeń, waha się przez chwilę w progu i nie reaguje na prośbę kardynała z Neapolu, żeby zamknąć drzwi, przez które ucieka gorąco. Pozwala jednak, by Rabuiti poprowadził go wilgotną ręką do środka obszernego pomieszczenia. Za nim wślizgują się jak cienie czterej szwajcarzy; choć czują się nieswojo, są jednak posłuszni rozkazowi, by nie zostawiać kardynała samego.

Pojawienie się Mascheroniego sprawiło, że purpuraci przerwali wzajemne biczowanie się gałązkami brzozowymi – nie dlatego, żeby spieszyli się jego obecnością, ale przypomnieli sobie kurę, która złożyła na jego głowie

produkt swojej przemiany materii. Stoją więc przez dłuższą chwilę, uśmiechnięci, bez ruchu, z gałązkami w dłoniach i dopiero potem siadają jeden po drugim, usiłując spenetrować wzrokiem kłęby dymu, by sprawdzić, czy przypadkiem jakimś ptakowi pomimo kontroli nie udało się dotrzeć aż tutaj...

Paide wstaje i zabiera witki brzoszowe z rąk kardynałów, zauważając w spojrzeniach niektórych z nich złośliwe błyski, jakby spodziewali się znowu uczestniczyć w jakimś wydarzeniu, ośmieszającym nieszczęsnego Mascheroniego. Ten z kolei siedzi sztywno, z wypiętą pierśią, dokładnie naprzeciwko największej dyszy, z której para bucha mu prosto w twarz. Na pytanie eskortującego go porucznika gwardii szwajcarskiej, Kapplmüllera, przepasanego ręcznikiem, o samopoczucie Jego Eminencji, pierśią Mascheroniego wstrząsa gwałtowny kaszel.

– Jak się czuję?... Trochę dziwnie, ale to minie – poprzez ścianę białej pary, która bez przerwy bije wprost na niego, widzi niewyraźne kształty wysokiej postaci, w której rozpoznaje porucznika tylko po głosie. Dopiero po tym, jak termostat przerywa wydzielanie pary, kaszel uspokaja się, a oczy przyzwyczajają do półmroku panującego w pomieszczeniu.

Dostrzega wyraźnie porucznika Hansa Kapplmüllera, gdy ten odwrócony jest już do niego plecami i kieruje się do swoich trzech kompanów. Widok tych pleców o doskonałej muskulaturze, silnego karku uwieńczonego kręconymi włosami w kolorze miodu, nóg mocnych jak kolumny jest dla niego nie do zniesienia.

Tym bardziej że ma jednocześnie przed oczami Wolframa Stelipyna z jego wątłym ciałem, pokrytym pomarszczoną skórą, i arcybiskupa Palermo z karykaturalnie otyłym korpusem. Na prawo zaś stoi purpurat z Neapolu, cierpiący na artretyzm, z winy którego skróciła się odległość między jego brodą a mostkiem; z kolei rzadkie białe włosy, zmierzwiłone i nastroszone wskutek działania pary, upodabniają go do stracha na wróble. Zmęczony, kulejący krok kardynała z Genui wywołuje obawę, że purpurat lada chwila

znieruchomieje na zawsze, a jego fioletowa twarz sygnalizuje pełen trudu oddech, podczas gdy u młodych szwajcarów jest on lekki i naturalny jak morska bryza.

Cóż to za miejsce?

Dlaczego Ich Eminencje poddają się takim torturom? Trzeba mieć niezwykłą odwagę, by spojrzeć w twarz prawdzie o dojrzewaniu do śmierci. Dobrowolne obnażenie się przed wszystkimi jest dowodem pokory i umartwieniem godnym świętego Ignacego Loyoli. I co tu robi on, ze swoimi oporami, gdy musiał się przebrać w płaszcz kąpielowy? Uderza go kontrast między splendorem purpury, którym tak łatwo jest wesprzeć ludzką godność, a bezlitosną prawdą tych nagich ciał, które nigdy nie zaznały pieśczoły kobiecej ręki w intymności łoża małżeńskiego. Te ciała nie poznały słodczy dotyku drugiego człowieka, który łagodzi ból starości. I jeżeli nawet były niegdyś silne i piękne, jak ciała tych wspaniałych szwajcarskich chłopców, nigdy nie cieszyły oczu żadnej kobiety. Młode i płodne dla nikogo, ofiarowane zostały Bogu i niszczącemu działaniu czasu. Kościół otrzymał dar tego milczącego męczeństwa – poświęcenia samego siebie już nie w walce z bestiami w Koloseum, ale w obliczu kwitnących dookoła miłości, wobec szczęścia braci i sióstr, wobec rodzących się w rodzinie dzieci. Te wyrzeczenia są bogactwem Kościoła, ale są też jego otwartą raną, do której z czasem można się przyzwyczaić, nawet jeżeli jego słudzy niekiedy zadają sobie pytanie, jak wyglądałoby ich życie, gdyby dokonali innego wyboru.

Chłopcy służący w watykańskiej gwardii, w tej najstarszej zapewne formacji wojskowej w Europie, po jakimś czasie, jak wszyscy żołnierze, wrócą do domu i będą mogli połączyć się z kobietami. Dla nich ta służba – to *cum clave* – to odseparowanie od drugiej połowy nieba, będzie tylko wspomnieniem młodości.

W tej samej chwili Mascheroni widzi, że porucznik Kapplmüller odwraca się, ukazując twarz oblaną potem, szeroką pierś i biodra opasane frotowym

ręcznikiem, związanym starannie na brzuchu. Uśmiech na wargach, pozostały po rozmowie z kompanami, gaśnie, stłumiony poczuciem obowiązku. Obowiązku sprawowania pieczy nad tymi starcami i nad nim, bez zadawania pytań, bez dyskutowania i komentowania rozkazów komendanta. Mascheroni wstydzi się pokazać temu człowiekowi nago, jak inni kardynałowie. Czuje, że traci autorytet u oficera nawykłego do przyjmowania jego poleceń. Wydawał je, zwykle nie podnosząc nawet na niego wzroku, nie zwracając uwagi na jego uczucia.

Siedząc na taborecie przy Stelipynie, który czeka niecierpliwie na dogodny moment, żeby porozmawiać z prefektem, zdaje sobie sprawę, jak bardzo jest mały przy tym żołnierzu, który nad nim stoi – i nie chodzi tylko o wzrost.

Kardynał Zelindo Mascheroni przymyka swoje stare oczy, które tak dawno nie zachwycały się pięknem, które odzwyczyły się od podziwiania królestwa z tego świata. I przez chwilę, podczas gdy w twarz bucha mu strumień pary gęstszy od innych, ogarnia go pragnienie zniknięcia między tymi kłębam wilgoci, jak najdalej od upokorzenia mijającego czasu, od pustyni starości.

– Eminencjo... jestem bardzo szczęśliwy, że Wasza Eminencja jest tutaj z nami... – Przypochlebny głos Stelipyna przypomina mu o przyczynie jego wizyty w tym miejscu. Teraz Mascheroni rozumie, że pogłoski o zebraniu w łaźni były jedynie fortelem, wynalezionym przez słowiańskiego kardynała, by i jego ściągnąć w to miejsce.

Otwiera oczy na tego człowieka, przygarbionego pod ciężarem przeżytych lat, na jego pomarszczoną twarz z piętnem rosyjskich zim, z których wiele, w czasach sowieckich prześladowań, przeżył w więzieniu. Powstrzymuje się od spoglądania w stronę gwardzistów i odpowiada na grzeczności starego kardynała, od którego bije niezwykła moc, pomimo wszelkich oznak starości:

– Ja też jestem szczęśliwy, że was tutaj spotkałem, drogi bracie. Proponuję, żebyśmy mówili sobie na ty.

– Dobrze, Zelindo. Na pewno doskonale zdajesz sobie sprawę, że nie zebraliśmy się tutaj tylko po to, by skorzystać z łaźni tureckiej. Musimy zrobić wszystko, by każdy z nas, wychodząc stąd, miał umysł jaśniejszy niż dzisiejszego popołudnia.

– Pozwólmy najpierw wyjść stąd gwardzistom, lepiej, żeby nie byli przy tym obecni.

– Dlaczego przyprowadziłeś ich z sobą?

– Obawiałem się, że... wytłumaczę ci to innym razem. Teraz jest już późno, nie mamy zbyt wiele czasu.

Okrywszy się starannie płaszczem kąpielowym, kardynał Mascheroni podchodzi do porucznika Kapplmüllera i jego żołnierzy.

Wszyscy czterej stoją oparci o ścianę, nie ośmieliwszy się zająć miejsca przy kardynałach. Mokre od potu ręczniki, którymi są opasani, przylegają do ich skóry, podkreślając doskonale kształty bioder, właściwe ludziom, którzy muszą utrzymywać ciało w idealnej formie fizycznej.

W tej samej chwili jeden z purpuratów, nierozpoznawalny w chmurze pary, wstaje, a w rozchyleniu płaszcza kąpielowego widać jego penis. Mascheroni odwraca błyskawicznie wzrok, by zaoszczędzić mu zawstydzenia, gdyby zdał sobie sprawę, że ktoś zauważył jego nagość.

Przypomina sobie biblijny epizod, w którym Cham zobaczył swojego ojca, Noego, odurzonego winem, bez ubrania. Utkwił mu w pamięci szczególnie fakt, że Noe poczuł się upokorzony i poczytał to sobie za zniewagę. Kardynał odwraca się, żeby porozmawiać z porucznikiem, i nagle czuje, jakby niewidzialne szpony złapały go za pierś i zmusiły do spojrzenia na to ciało z odkrytym, ledwo widocznym członkiem. Ma wrażenie, że mgła zasnuwa jego umysł, ale udaje mu się jeszcze wyszeptać do porucznika Hansa Kapplmüllera, że może razem ze swoimi żołnierzami wrócić do siebie. I sam już nie wie, dlaczego dodał potem, że wieczorem będzie go oczekiwał w swoim pokoju z raportem z minionego dnia.

Opiera się o ścianę. W wielkim lustrze naprzeciwko, nad umywalką,

odbija się cała scena. Widzi, jak gwardziści za jego plecami wychodzą z pomieszczenia. Co się z nim dzieje? W wieku siedemdziesięciu lat reaguje takim wzburzeniem?... On, który jest wyrocznią etyki? On, który od Boga otrzymał zadanie kontrolowania serc wiernych i ustalania norm korzystania z daru seksualności? On, który oddalał z Kościoła wszystkich, o których wiedział, że nie potrafią zwalczyć uczucia pożądania? Teraz sam go doświadczył z przerażającą mocą i już wie, że jedynym ratunkiem może być samounicestwienie.

A więc w ten sposób cierpią ci wyrzuceni poza nawias, grzesznicy przez niego ekskomunikowani... Na takie właśnie potworne doświadczenia skazuje ludzi w imię Chrystusa.

Robi to od zawsze, od czasów młodości, kiedy w seminarium w Prato okazał się najbardziej nieprzejednanym oskarżycielem profesora teologii, objawiającego pewne skłonności w stosunku do młodych seminarzystów, których przyjmował w swoim gabinecie...

Ma jeszcze przed oczami tę rudawą bródkę, odbijającą od bladej twarzy ojca Esmeralda, teologa kolumbijskiego, który w wieku czterdziestu lat wylądował w jego seminarium pewnie dlatego, że musiał zniknąć z oczu swoim zwierzchnikom. I czuje jeszcze dotyk wilgotnej dłoni księdza na szyi, nad białym kołnierzykiem. No właśnie – przebiegł go wtedy ten sam dreszcz... Pamięta dzień, kiedy po doniesieniu na Kolumbijczyka był przesłuchiwany przez ojca rektora i nie zawahał się podpisać oskarżenia, powodując tym samym wydalenie ojca Esmeralda. Ma jeszcze w pamięci pytanie seminarzysty, mieszkającego z nim w jednym pokoju: „Czym ci zawinił ten nieszczęśnik? Może i zdarzało mu się dotykać chłopców, ale był z niego przecież dobry wykładowca”. „Tak czy inaczej, to obleśny typ” – odpowiedział wtedy.

– Co ci jest, Zelindo? Źle się czujesz? Może lepiej, żebyś stąd wyszedł, niebezpiecznie jest pozostawać w środku dłużej niż kwadrans – mówi Paide do Mascheroniego i bierze go troskliwie pod ramię.

Mascheroni cofa gwałtownie rękę, jakby ukąsił go wąż. Paide patrzy mu uważnie w twarz. Cóż to musi być za człowiek, jeżeli przychodzi do sauny w eskorcie gwardzistów, jakby chciał stąd wszystkich wyrzucić, a teraz drży wystraszony? Nie potrafi być sobą, gdy jest pozbawiony zewnętrznych oznak swojej pozycji? Nie może nawet znieść czyjegoś dotyku...

– Tak, może będzie lepiej, jak wyjdę stąd na chwilę... To dziwne... czuję ogromne pragnienie.

– To naturalne, straciłeś dużo płynów.

Zelindo Mascheroni wychodzi z łaźni tureckiej chwiejnym krokiem. Napotyka od razu filipińskiego monsignora, który prowadzi go do osobnego pomieszczenia z lodówką pełną napojów.

Następnie pragnie się ubrać, odprowadzają go więc do szatni. Wychodzi z niej w sutannie, z piuską na głowie i krzyżem wysadzany brylantami na piersi, ale wbrew swojej nadziei, nie czuje się lepiej. Ubranie nie uporządkowało jego najszybszych myśli, króluje w nich ciągle wspomnienie tego półnagiego ciała z ledwo widocznym członkiem.

Prosi o lustro. Widzi w nim maskę człowieka, którym na pewno nigdy już nie będzie. I ponownie doświadcza pragnienia samounicestwienia, chciałby zniknąć, byle tylko nie poddać się uczuciu pożądania, jakie nim zawładnęło.

Przeklina chwilę, w której zdecydował się odwiedzić to miejsce. Pot spływa strużkami po jego twarzy, nie nadąża z wycieraniem go z policzków i łysiny, gdzie rankiem kura złożyła swoje łajno. Rzeczywiście, wydaje się, że maska naprawdę nie powróci już na jego twarz. Lepiej, jak się stąd oddali, może z dala od tego miejsca wszystko wróci do normy.

– Proszę przekazać kardynałowi ze Lwowa, że źle się poczułem i wróciłem do mojego pokoju. Jutro z nim porozmawiam.

Nic go już nie obchodzi konklawe, chociaż po to poszedł do łaźni, żeby pomóc kardynałom rozwiązać problemy z nim związane.

Ale teraz nade wszystko pragnie stąd uciec.

Chce się przygotować na spotkanie z Kapplmüllerem, który ma do niego

przyjść z raportem. Nie wie, po co dał mu to absurdalne polecenie. Nie zniesie ponownego spotkania z młodym porucznikiem, po prostu nie zniesie... Nie ma pojęcia, jak się zachować, przebywając z nim sam na sam w pokoju... Ale przecież musi się pośpieszyć na to spotkanie, musi się przygotować. Musi znaleźć sposób, żeby dalej żyć, nie doznając już nigdy więcej tych strasznych uczuć, jakich doświadczył, obserwując poprzez kłęby pary piękno ciała tego mężczyzny... Może będzie mógł mieć porucznika blisko siebie, nie zaznając już nigdy więcej tego wstydu... Musi być jakiś sposób, żeby ocalić wszystko: własną godność, pożądanie, które ugodziło w niego jak piorun w stare drzewo, pamięć o tym, czym było całe jego życie, z perspektywy którego otrzymałby teraz najsurowszy wyrok... Gdyby tylko mógł przestać udawać, stanąć przed porucznikiem bez maski, obnażyć swą prawdziwą twarz i zaraz potem zniknąć... Jeden gest, jedna chwila z życia, która do życia już by nie należała...

Wydaje się, że wiadomość o tym, iż Zelindo Mascheroni wyszedł, bo źle się poczuł, obeszła tylko arcybiskupa Lwowa. Dla wszystkich innych prefekt Kongregacji Nauki Wiary był w łaźni obcym elementem. Przyszedł, żeby szpiegować, poznać ich tajemnice i plany, jak zawsze demonstrując swoją wyższość. Co gorsza, przyprowadził z sobą tych czterech żołnierzy, co za niedelikatność, co za nietakt!... Dopiero Stelipyn, łagodnie i uprzejmie, dał mu do zrozumienia, jak niestosowne jest jego zachowanie i przekonał do odprawienia gwardzistów.

– Ten człowiek źle się czuje... I będzie się czuł jeszcze gorzej, on potrzebuje pomocy... – mówi Stelipyn, jakby do siebie.

– My musimy teraz zająć się czym innym, Wolframie. Spotkaliśmy się tutaj z powodu naszych afrykańskich braci – przypomina Malvezzi, nie wątpiąc, że wyraża opinię także innych kardynałów, którzy tymczasem wyszli z łaźni tureckiej; jedni po to, żeby okrywszy się ręcznikami, odpocząć na leżakach, inni – żeby przejść do sauny.

– Obawiam się, że spotka go coś złego i wtedy wina obciąży nasze

sumienia – dodaje słabym głosem ukraiński kardynał. – Powinniśmy pomodlić się za niego...

– Przejdźmy do przedsionka, tutaj trudno wytrzymać. Chodźmy, Wolframie. – Matis Paide pomaga unieść wstać i wychodzą razem. Za nimi podążają ostatni, którzy nie zdążyli jeszcze opuścić pełnego pary pomieszczenia.

Teraz wszyscy siadają na ławkach i taboretach w przedsionku, skąd przechodzi się do szatni i do kabin z leżakami. Dołączają do nich kardynałowie z sauny.

– Jesteśmy prawie w komplecie – żartuje Rabuiti, czerwony na twarzy od gorąca. W sercu przeklina to piekielne urządzenie, tęskni za słońcem Sycylii, pod którym można ogrzać się w naturalnych warunkach, na powietrzu.

Głos zabiera kardynał z Kampali, Joseph Masaka, który tego ranka otrzymał aż dwadzieścia trzy głosy. Tymczasem purpuraci w białych frotowych szlafrokach suszą sobie włosy, ramiona, nogi i twarze.

W imieniu wszystkich Afrykanów Masaka wyraża wdzięczność za zaufanie, jakim ich obdarzono. Nikt nie ma zamiaru unikać odpowiedzialności, ale mają poważne wątpliwości co do stosowności tak radykalnego posunięcia. W starożytności wojny domowe, które rozbiły jedność imperium i doprowadziły do jego upadku, rozpoczynały się zawsze wtedy, gdy na tronie zasiadali władcy z rzymskich prowincji. Tak było podczas rządów cesarzy hiszpańskich, iliryjskich, afrykańskich, arabskich – aż do rozpadu imperium, gdy królem ogłosił się Odoaker, zmuszony potem do oddania insygniów władzy wschodniorzymskiemu imperatorowi Bizancjum. Gdyby tron papieski został objęty przez syna Afryki, dałoby to w przyszłości wszystkim częściom składowym świata katolickiego prawo do dziedziczenia. W konsekwencji zatraciłaby się centralna pozycja Rzymu, czego pierwsze oznaki były już widoczne podczas pontyfikatu zmarłego papieża. Wizja Kościołów partykularnych wzięłaby górę nad wizją Kościoła powszechnego, ze szkodą dla posłannictwa biskupa Rzymu. Gdyby jeden z

nich został wybrany, wniósłby cały bagaż swojej kultury, swoich tradycji, swoich ograniczeń.

Bo Afryka ma w istocie niewiele wspólnego z mitem, opisanym przez przewielebnego brata ze Lwowa. Afryka to także animizm, myślenie magiczne, wiara w tajemne siły nadprzyrodzone, odrzucenie racjonalnego myślenia, wykształconego na Zachodzie, kult plemienny, wiara w wyższość siły fizycznej nad rozumem, prawo silniejszego, swoboda seksualna, poligamia, niewinność i okrucieństwo pierwotnych instynktów. Oni są dumni z przynależności do tej mieszaniny żywiołów, do tego konglomeratu różnorodnych sił, obawiają się jednak, że gdyby Kościołem kierowała osoba z takim zapleczem kulturowym, przyniosłoby to szkodę jego funkcji uniwersalnej, jego pozycji jako Świątyni Piotrowej. Pragną raz jeszcze podkreślić, że nie uciekają przed odpowiedzialnością, gotowi są na wszelkie poświęcenia, wynikające z wyboru. Uznali jednak za swój obowiązek rozważyć głęboko w sercu wszystkie pro i kontra tak ryzykownego posunięcia i doszli do wniosku, że Kościół powszechny skorzystałby najbardziej, gdyby wybrano papieża pochodzącego z Włoch.

Konkluzja Ugandyjczyka robi piorunujące wrażenie na zebranych. Nikt się nie spodziewał, że z Afryki przyjdzie poparcie dla Włochów, znajdujących się na przegranej pozycji. Cerini, Rabuiti, Malvezzi, Bellettati, Rossi Del Drago, Ferrazzi, Capuani, Leporati, Marussi i Lo Cascio poczuli się włączeni na nowo do gry w momencie, kiedy byli pewni, że drzwi przed Italią zostały zatrzęsnięte na zawsze.

Jako pierwszy odzywa się słabym głosem kardynał z Ukrainy, który prosi braci o wysłuchanie. Obawa, że kultury lokalne zaszkodzić mogą papieżowi, jest dużym błędem. Wręcz przeciwnie – mogą je tylko ożywić! Centralna pozycja Rzymu polega tylko na pustym formalizmie, zawiera się w martwym ceremoniale, coraz bardziej obcym nowym pokoleniom. Przekonanie, że Rzym powinien przemawiać w imieniu wszystkich, było zawsze oznaką jego pychy. Miało może jakiś sens w początkach Kościoła,

kiedy dziedziczył bezpośrednio po cesarstwie, ale roszczenia te od wieków nie mają już prawa bytu. Czy nie pamiętają, z jakiego powodu Luter miał tytuł naśladowców? A schizma Kościoła Wschodniego? On, który stamtąd przybywa, uważa, że jedyną drogą do zachowania jedności jest akceptacja różnorodności.

Przerywa mu głośna refleksja kardynała z Turynu:

– Tylko święty może uratować Kościół. Trzeba świętego na szczycie hierarchii, który mocą cudów dowiódłby boskie go pochodzenia Kościoła. Świat pragnie faktów, widzialnych czynów, przemocy dowodów, skandalu argumentów...

– Jak znaleźć między nami świętego? – pyta z ironicznym uśmiechem Matis Paide.

– Nikt z nas nie jest jeszcze świętym – odpowiada Stelipyn. – Świętych odkrywa się później, kiedy śmierć ujawnia aureolę... Możliwe, że wśród nas jest ktoś, kto świętym zostanie...

– Ale czy to Bóg nie chce nam tego objawić, czy też my jesteśmy ślepi i nie potrafimy rozpoznać za życia jego znaków? My, którzy wyobrażamy sobie, że na konklawe zstępuje na nas Duch Święty... – Alfonso Cerini wzmacnia słowa właściwym sobie dramatyzmem głosu i gestów. I mówi dalej, zwracając się teraz do Malvezziego:

– Tak czy inaczej, drogi Ettore, święci nie mają narodowości, nie przynależą do żadnej epoki historycznej, ale do wieczności. Ja nie sądzę, żeby święty potrafił rządzić Kościołem, instytucją zmuszoną do kierowania ludźmi, którzy świętymi nie są.

– A co powiedzielibyście na egzorcystę? Ktoś taki mógłby pomóc Kościołowi w trudnej sytuacji, w jakiej się znajduje. Zgodzicie się chyba ze mną, że na konklawe bardziej niż nawiedzeni przez Ducha Świętego czujemy się osaczeni przez siły Zła! – woła Ettore Malvezzi.

W środku nocy monsignore Squarzoni budzi kardynała Veronello.

– Bardzo mi przykro, Eminencjo, ale zdarzyło się coś poważnego... muszę prosić, żeby Wasza Eminencja udał się ze mną...

– Co się stało?

– Chodzi o kardynała Mascheroniego. Powiedziano mi, żebym przekazał Waszej Eminencji wiadomość o konieczności jak najszybszego udania się do pokoju prefekta Kongregacji Nauki Wiary... i żebym nikomu innemu o tym nie mówił. Sam nie wiem, o co chodzi...

Veronelli ubiera się z trudem, zaspany i drżący z zimna. Nie zadaje więcej pytań. Mascheroni jest niebezpiecznym graczem, należy mieć się na baczności i postępować ostrożnie. Lepiej też nie informować dziekana Leporatiego. Skomplikowałoby to tylko sytuację, jeżeli to, co się wydarzyło, wymaga aż takiej dyskrecji.

Podążając za Squarzonim, który oświetla drogę latarką, niespodziewanie czuje, jak coś ciągnie go za włosy. Zatrzymuje się wystraszony i podnosi rękę do głowy, by uwolnić się od przeszkody. Cofa dłoń natychmiast, przerażony dotykiem pulsującego, ciepłego, aksamitnie miękkiego ciała i dźwiękiem ostrego pisku... To nietoperz... Dopiero w tej chwili spostrzega, że kapelan także usiłuje uwolnić włosy od latającej myszy. Latarka, oscylująca w jego rękach, rzuca wiązki światła na sufit, oświetlając przyczepione do niego całe gromady nietoperzy.

Jest ich mnóstwo – na belkach, na gzymsie, na ramach obrazów. Teraz, przerażone światłem elektrycznym, porywają się do lotu z przeraźliwym piskiem.

To następna inwazja – kamerling jest już tego całkowicie pewny, gdy dociera do progu pokoju Mascheroniego, gdzie czekają na niego porucznik gwardii szwajcarskiej i Tommasini, osobisty sekretarz kardynała. Po drodze nie widział ani jednego pomieszczenia wolnego od tych zwierząt. Po tym,

jak z trudem udało mu się uwolnić od pierwszego nietoperza, trzymał przez cały czas ręce nad głową, żeby nie dopuścić do wplątania się następnego we włosy.

– Czy wydarzyło się coś aż tak ważnego, żeby budzić mnie o tej porze?

– Proszę pójść za nami, Eminencjo, i zobaczyć samemu – odpowiada Tommasini z oczami błyszczącymi jakby od płaczu.

Przekraczają próg przedpokoju, przechodzą przez gabinet kardynała i wchodzi do jego małej sypialni. Wtedy kamerling rozumie, że przebudzono go z naprawdą ważnego powodu.

Na łóżku kardynał Zelindo Mascheroni, prefekt Kongregacji Nauki Wiary, leży zupełnie nieruchomo, jak to tylko po śmierci możliwe.

Jest w szlafroku, odwrócony na lewy bok, ramiona ma wyciągnięte, jakby sięgał po dzwonek na nocnym stoliku, by wezwać pomoc. Jednak twarz kardynała nie jest tą, do jakiej wszyscy byli przyzwyczajeni. Jest to twarz kobiety z niedokończonym makijażem. Półprzymknięte powieki są pomalowane, rzęsy jednego oka czarne od tuszu, brew podkreślona ciemną kredką, policzki upudrowane i uróżowane, rzadkie włosy ukryte pod ufryzowaną blond peruką.

Veronelli nie powstrzymuje łez. Minie kilka sekund w absolutnej ciszy, zanim odzyska głos. Odkasłuje.

– Kto... kto go tak wymalował?

– Nikt, Wasza Eminencjo. Takim go zastałem, kiedy przyszedłem z raportem, na jego wcześniejsze polecenie, przed pierwszą w nocy – melduje porucznik Kapplmüller.

– Zmarł pewnie na zawał, nagle – dodaje porucznik. – Ze względu na okoliczności woleliśmy poczekać na Waszą Eminencję, nie wezwaliśmy jeszcze lekarza, tym bardziej że i tak nie można mu już pomóc.

– Dobrze zrobiliście. Ale skąd... ta peruka? I makijaż?...

– Znalazł je w pokoju przy schodach, gdzie sprzątaczkę trzymają swoje rzeczy, to on wydawał im polecenia, znał je wszystkie... Kobiety zostawiły

tam swoje rzeczy przed konklawe... – wtrąca monsignore Tommasini, nie powstrzymując łez. – Perukę... perukę wziął z figury świętej Zyty, którą tak czcił... tej, która stoi w kaplicy. Sprowadził tę figurę z Lukki...

– Pomódlmy się teraz za jego duszę – kardynał kamerling błogosławi wolnymi ruchami ciało zmarłego, obchodząc łóżko dookoła, podczas gdy Squarzoni odmawia *Requiem aeternam* razem z Kapplmüllerem.

Nie potrafi oderwać oczu od tej twarzy, od rysów, nad którymi ten człowiek pracował w ostatnich chwilach swojego życia. To przerażające, że śmierć zastała go w chwili, gdy starał się zmienić własną twarz, przez co odszedł ze świata w tej nowej, groteskowej postaci.

I kto teraz odważy się zdjąć z niego tę maskę? W każdym razie na pewno nie można pochować w kościele katedralnym we Frascati, w tytularnej parafii Mascheroniego, ciała kardynała z tak obscenicznym wizerunkiem. I to właśnie on musi komuś polecić doprowadzenie Mascheroniego do porządku.

– Księżę Tommasini, zanim wezwiemy lekarzy, chciałbym poprosić księdza o spełnienie aktu miłosierdzia w stosunku do tego człowieka, któremu służył ksiądz swoją pracą przez tyle lat.

– Co ja... co mogę zrobić? – pyta osobisty sekretarz Mascheroniego.

– Nie możemy wystawić na widok publiczny ciała kardynała w tej postaci.

– Ach, rozumiem... zrobię to, zrobię to sam.

– Przekażemy wszystkim, że Jego Eminencja zmarł we śnie na atak serca, prawda poruczniku?

– Oczywiście, Eminencjo, doskonale rozumiem...

– Mam pańskie słowo?

– Wasza Eminencja może na mnie polegać.

– Bez wątpienia. Pan, poruczniku, był ostatnią osobą, z którą ksiądz prefekt miał się spotkać, prawda? O ile źle nie zrozumiałem, umówił się z panem tutaj, żeby odebrać raport.

– Tak właśnie było. Nigdy wcześniej mnie o to nie prosił. Byliśmy razem

w łaźni tureckiej. Już tam źle się poczuł.

– Jak zachowywał się w łaźni podczas rozmowy z panem? Zauważył pan coś niezwykłego?

– Tylko to, że oddychał z trudem.

A więc szykował się na spotkanie z porucznikiem. To dla tego młodego oficera gwardii szwajcarskiej przygotowywał swoją śmiertelną maskę. Kamerling patrzy, jak Tommasini zdejmuje perukę z głowy kardynała, a potem przynosi z łazienki wacę, żeby zetrzeć ślady groteskowego makijażu. Widzi jeszcze, jak sekretarz powoli czyści twarz zmarłego, która staje się z każdym ruchem coraz bledsza. Veronelli zamyka oczy.

Kiedy na nowo je otwiera, pole widzenia wypełnia mu okazała postać szwajcara. Jest bez hełmu, niestarannie ubrany, w rozpiętej koszuli, co usprawiedliwia późna pora. Pora nocna, którą prawie wszyscy ludzie na świecie spędzają w parach, dzieląc łóżko, mężczyzna i kobieta... I już wie, jakiej emocji nie wytrzymało serce Zelinda Mascheroniego. I znowu czuje się wzruszony, gdy odmawia *Requiem aeternam*. Ktoś puka do drzwi apartamentu.

– Proszę nikogo nie wpuszczać, monsignore. Kardynał Mascheroni śpi i prosił, żeby mu nie przeszkadzano, pod żadnym pretekstem – poleca Veronelli.

Tommasini uspokaja go po chwili:

– To kardynał Malvezzi, cierpi na bezsenność. Przechodził tędy i zobaczył zapalone światło, które go zaniepokoiło. Po tym, co się przytrafiło kardynałowi Mascheroniemu w wieży Świętego Jana, obawiał się, że nadal źle się czuje. Uspokoilem go, że czuje się dobrze i teraz śpi. Powiedział, że nietoperze są już w całym pałacu, zaatakowały Ich Eminencje, gdy wychodzili z łaźni tureckiej.

– O świcie przyjdzie archiatra i sporządzi protokół, który mu podyktuję. Pogrzeb odprawimy od razu, jak tylko zawiadomimy rodzinę i władze w Rzymie. Dostaniecie moje wskazówki. Na razie polecam zachować

absolutne milczenie. Do jutra, dobranoc monsignore, dobranoc poruczniku. Chodźmy, księżę Squarzoni, niech Bóg ma nas w swojej opiece – żegna się Veronelli.

Kamerling, chociaż ciągle jeszcze odczuwa chłód, postanawia od razu porozmawiać z Malvezzim, żeby się dowiedzieć, co zaszło w wieży Świętego Jana i, być może, powiadomić go o smutnym wydarzeniu, tając jednak niektóre szczegóły. Chce poznać pierwsze reakcje i dowiedzieć się, jakie decyzje podjęto w łaźni, jeżeli w ogóle coś zdecydowano.

Malvezzi dopiero przed chwilą dotarł do swego pokoju. Ma rozczochrane włosy, brudną piuskę, podrapane pałce – to wszystko nieomyślne ślady ataku nietoperzy. Na widok kamerlinga wydaje się zadowolony, w nocy nie może spać, a poza tym pragnie dać upust swoim niepokojom. Streszcza krótko, o czym rozmawiali w łaźni tureckiej. Afrykanie zaproponowali przeciw wyborowi któregoś z nich w obawie przed utratą centralnej pozycji papieża i opowiedzieli się za powrotem Włochów na tron papieski. Jednak opór ich zwolennika Stelipyna był nie do pokonania i wywiązała się ostra dyskusja.

Jeden z czarnoskórych kardynałów, arcybiskup Kampali, poczuł się bardziej niż inni zagrożony naleganiem Stelipyna i zaczął przytaczać dodatkowe argumenty przeciwko swojej kandydaturze, rozpoczynając tym samym prawdziwy wyścig wymówek, usprawiedliwień i wybiegów w wykonaniu pozostałych ośmiu Afrykanów. Kardynał z Addis Abeby mówił o swojej bliskiej emeryturze, purpurat z Kinszasy skarżył się na słabe zdrowie, kardynał z Mozambiku tłumaczył się, że nie może zostawić swojego kraju, znajdującego się na skraju wojny domowej, ponieważ spełnia w nim rolę rozjemcy między zwaśnionymi stronami, kardynał z Angoli powiedział, że jego kraj, w którym wojna domowa też jeszcze się nie skończyła, wszedł dopiero niedawno w delikatną fazę powtórnej ewangelizacji. Purpurat z Kamerunu nie widzi w swojej ojczyźnie godnych następców na swój urząd, ewentualni kandydaci są jeszcze zbyt młodzi i

niedoświadczeni, kardynał z Tanzanii, gdzie islam ma coraz więcej wyznawców, uznał za swój najważniejszy obowiązek przygotować poprawione tłumaczenie Pisma Świętego na język suahili, co jest niezbędne dla szerzenia wiary chrześcijańskiej.

Według Malvezziiego, w rzeczywistości wyglądało na to, że zjednoczyli się przeciwko jednemu z nich. A stało się to w chwili, kiedy on sam, w ferworze dyskusji na temat świętości, naiwnie, nie mając na myśli nikogo konkretnego, zaproponował wybór egzorcysty, motywując to sytuacją, jaka wytworzyła się na konklawe.

– Podczas dyskusji, jaka nastąpiła po mojej propozycji – tłumaczy się ze swoich podejrzeń Malvezzi – spoglądali na siebie porozumiewawczo, a kiedy przedstawiali te swoje wymówki, zerkali co chwila na jednego z nich. Sądziłem pewnie, że doskonale wiem o jego zdolnościach, a moją propozycją chciałem go sprowokować i złapać w pułapkę...

– Naprawdę nie wiedziałeś, że wśród Afrykanów jest egzorcysta? – pyta z niedowierzaniem Veronelli, który nigdy nie miał zaufania do arcybiskupa Turynu, uważając jego charakter za pokrętny i niezdecydowany. Chwilę później, wobec widocznego zakłopotania Malvezziiego, przerywa milczenie pytaniem o nazwisko tego kardynała.

– To Tanzańczyk, arcybiskup Dar es-Salaam, Leopold Albert Ugamwa – odpowiada Ettore Malvezzi. I dodaje, że pod koniec dyskusji, już późno w nocy, Ugamwa przyznał, że w swojej diecezji udało mu się z wielu dusz wypędzić demony, ale nie chciał, żeby wiadomość o jego zdolnościach się rozniosła.

Veronelli próbuje przypomnieć sobie rysy twarzy afrykańskiego purpurata, ale nie potrafi. Twarze czarnoskórych kardynałów, siedzących w pierwszym rzędzie, na prawo od jego fotela w Kaplicy Sykstyńskiej, zawsze mu się mieszały.

Jest jednak pewien szczegół w opisie Malvezziiego, który pomaga kamerlingowi skojarzyć, o którego Afrykanina chodzi. To oczy – ogromne,

okrągłe i intensywnie czarne, niespokojne, w ciągłym ruchu, choć zawsze skierowane w dół, jak gdyby ich właściciel obawiał się, że straci nad nimi władzę. Tak, doskonale pamięta błysk tych oczu, kiedy ich spojrzenia krzyżowały się czasem...

Nie wiadomo czemu, w tym momencie wraca mu w pamięci obraz sprofanowanych powiek, okrywających przypieczętowane śmiercią oczy kardynała Mascheroniego. Mówi Malvezzemu o jego nagłej śmierci, spowodowanej atakiem serca. Wiadomość ta bardzo poruszyła Turyńczyka; zatopiony w myślach, powtarza raz za razem:

– A więc to dlatego! Dlatego!...

– O czym mówisz, Ettore?

– Dlatego chciał wyjść. Dlatego wciąż dotykał czoła, jakby chciał wyrzucić z myśli coś, co nie dawało mu spokoju. Matis Paide też to zauważył i poradził mu, żeby wyszedł z łaźni. Ale najdziwniejsze były słowa Stelipyna po wyjściu Mascheroniego. Słowa, które przepowiadały nieszczęście, ale które jednocześnie w sposób niejasny dotyczyły konsekwencji owego nieszczęścia dla całego konklawe.

– Jakich konsekwencji?

– Stelipyn nie sprecyzował tego, pamiętam tylko jedno zdanie: „Lękam się tego, co się wkrótce wydarzy i czego skutki wszyscy odczujemy”.

Kamerling zawsze uważał Ukraińca za kogoś, do kogo znakomicie pasują prorocze zdolności. Chwalić Boga, że nie sprecyzował swojej ponurej przepowiedni i w ten sposób pozwolił Veronellemu ukryć tę część prawdy o śmierci prefekta, która nie może zostać wyjawiona.

– Co zrobimy jutro? Będziemy głosować pomimo wszystko? – pyta Malvezzi.

– Nie, Ettore, zachowamy jeden dzień żałoby po śmierci Mascheroniego.

– Tak będzie lepiej. Wiesz, wyszliśmy z wieży z jeszcze większym zamętem w głowie niż przedtem. To tak, jakby ten Afrykanin, który wypędza demony, uosabiał strach, jaki wszyscy odczuwamy w tym

zamknięciu.

Veronelli nie chce ciągnąć tej rozmowy. Już i tak ma dość zmartwień.

Należy szybko zorganizować godziwy pogrzeb kardynałowi Zelindo Mascheroniemu, prefektowi Kongregacji Nauki Wiary, jednemu z najważniejszych ludzi w Stolicy Świętej; nieważne, jak skandaliczne było jego zejście ze sceny życia. Poza tym jest jeszcze plaga nietoperzy. Ale na pewno znajdzie się jakieś rozwiązanie, podobnie jak wcześniej.

Musi też porozmawiać ze Stelipynem, którego prorocze zdolności mogą okazać się darem Opatrzności w tych trudnych chwilach, jakie przechodzi konklawe.

Veronelli żegna się więc z Malvezzim, życząc mu dobrej nocy, choć zaczyna świtać, a naprzeciwko, za oświetlonym oknem z żółtymi szybami, widać już ruch.

Jedyną pociechą po tej strasznej nocy, spędzonej bez snu, jest fakt, że pierwsze promienie słońca przegoniły nietoperze do ich ciemnych kątów, pozostawiając pole dla kur i kotów.

Gdy wraca do pokoju, zastaje tam Squarzonego, który czeka na kardynała kamerlinga.

– Trzeba ustalić program uroczystości pogrzebowych, Eminencjo, i wydać najważniejsze polecenia.

– Tak, ma ksiądz rację... Czy ksiądz wiedział coś o tym nieszczęśniku?

– Nie, Eminencjo. Kardynał Zelindo Mascheroni był dla mnie strażnikiem surowości obyczajów, nigdy nie słyszałem o niczym, co rzucałoby jakikolwiek cień na jego nieskazitelną opinię.

– Miał siostrę i brata w Lukce. Proszę w moim imieniu powiadomić ich w stosowny sposób o śmierci kardynała. Chciałbym później porozmawiać raz jeszcze z porucznikiem gwardii... jak on się nazywa?

– Kapplmüller, Hans Kapplmüller.

– Nie wiem, kiedy znajdę na to wolny czas. W jutrzejszym dniu nie będzie ani chwili na odpoczynek... Powiedziałem już kardynałowi z Turynu, że

Mascheroni zmarł nagle we śnie. Czy księźda ktoś o coś pytał?

– Kilku księży prałatów. Wszystkim dałem tę samą informację. Ale to dziwne: odniosłem wrażenie, że nikt nie był ciekaw szczegółów, przeciwnie niż się tego obawialiśmy.

– Według księźda czym to jest spowodowane?

– Nie jestem pewny... Ale może... Może dlatego, że nikt za nim nie przepadał. Biedny kardynał Mascheroni, byłoby lepiej, gdyby przeżył swoje życie zgodnie ze swoją naturą... Byłoby to bardziej po ludzku.

Kamerling, który zdjął już tymczasem krzyż z szyi, piuskę i purpurowy płaszcz, odwrócił się gwałtownie.

– Monsignore Squarzoni! Udam, że nie słyshałem słów księźda. Żona cezara musi być poza wszelkimi podejrzeniami! My jesteśmy tą żoną – Kościół jest oblubienicą Chrystusa. Przebaczenie – tak, współczucie – tak, ale przyzwolenie – nigdy! Proszę nie zapominać, że nosimy sutanny!

W Sali Klementyńskiej, gdzie, jak we wszystkich pomieszczeniach pałacu, w ciągu dnia śpią sowy, odbywają się uroczystości pogrzebowe kardynała Zelindo Mascheroniego. Po przebudzeniu te drapieżne ptaki, sprowadzone przez inżyniera Nasalli Rocca, podejmą na nowo walkę z nietoperzami. Ich wysiłki wesprze największy wróg latających myszy – ogień. W całym pałacu palić się będą w nocy pochodnie i świece.

Ceremonię pogrzebową koncelebrują trzej kardynałowie z Kurii: Rondoni, Rafanelli i Lo Cascio, którzy przez wiele lat pracowali u boku zmarłego prefekta. Pomimo bardzo uroczystego charakteru miejsca – tego samego, w którym wystawiona była także trumna z ciałem zmarłego papieża – ceremonia jest skromna, stosowna do okoliczności konklawe. Bez śpiewów, bez gości z zewnątrz, bez delegacji rządu włoskiego.

Nawet rodzina zmarłego będzie mogła towarzyszyć swemu drogiemu krewnemu dopiero po przewiezieniu trumny do Frascati, gdzie w katedrze, której był biskupem tytularnym, odbędzie się uroczyste złożenie do grobu.

Kardynał dziekan Antonio Leporati został delegowany do wygłoszenia mowy pogrzebowej. Wspominając zmarłego przed siedzącymi purpuratami, nieraz nie potrafi się powstrzymać od spoglądania na sufit, na śpiące sowy, co skłania jego słuchaczy do podążania za jego wzrokiem i odwraca ich uwagę od mar, świec i czterech gwardzistów, pełniących wartę honorową w czterech rogach dywanu, przy otwartej jeszcze trumnie. Kamerling z pierwszego rzędu patrzy po raz ostatni na tę woskowobiałą maskę, w jaką się zamieniła, dzięki miłosiernym rękom osobistego sekretarza, uszminkowana twarz kardynała.

Niezwykłym zbiegiem okoliczności to właśnie porucznik Kapplmüller jest jednym z żołnierzy, pełniących wartę honorową przy trumnie księcia Kościoła. Jego twarz, ukryta w cieniu półokrągłego hełmu, jest nieprzenikniona. Wydaje się, jakby główni aktorzy tej tragedii po końcowej

katharsis nie potrafili się rozstać, co, pomimo opuszczonej kurtyny, obserwują jej widzowie. Monsignore Tommasini i monsignore Squarzone z głębi sali, gdzie stoją wmieszani w tłum prałatów, zauważają niestosowną obecność młodego oficera. Spojrzeli na siebie, kiedy tylko zobaczyli porucznika, nadającego krok żołnierzom. Nie zamienili ani słowa na temat tego, co wydarzyło się w nocy, ale obydwaj woleliby nie oglądać Kapplmüllera przy trumnie Mascheroniego.

Antonio Leporati zakończył swoją mowę pogrzebową. Mówił o wierności wierze i konsekwencji, jakie charakteryzowały życie i służbę prefekta Kongregacji Nauki Wiary, oraz o jego ogromnej wiedzy doktrynalnej. Nie omieszkał zasugerować, że jedną z prawdopodobnych przyczyn tak nagłej śmierci mogła być troska o pomyślne doprowadzenie do końca zadania, dla którego zebrali się w Rzymie.

W tym momencie kamerling, siedzący zaledwie parę metrów od Kapplmüllera, zauważył, że po twarzy porucznika przebiegł ledwo dostrzegalny dreszcz, a cała wysoka postać zachwiała się lekko.

W pierwszym rzędzie, oddalony o kilka miejsc od kamerlinga, siedzi też unicki arcybiskup Wolfram Stelipyn. Veronelli kilka razy zerknął na jego wzruszoną twarz – prawdopodobnie jedyną na sali, po której spłynęło kilka łez podczas mowy Leporatego. Ten człowiek wie – chociaż nie widział tego, co zobaczył kamerling, kiedy przebudzono go w środku nocy. Musi porozmawiać z nim sam na sam. Na pewno temu, na kim spoczywa najwyższa odpowiedzialność za konklawe, nie odmówi skorzystania ze swoich proroczych zdolności. Po zakończeniu uroczystości pogrzebowych trumna zostaje przeniesiona przez mury leoniańskie, a kardynałowie wracają do swoich pokoi. Minął jeszcze jeden zmarnowany dzień, po którym pozostanie, co gorsza, nastrój żałoby i przygnębienia. To już drugi taki dzień, od śmierci arcybiskupa Rio de Janeiro, Emanuele Contardiego. Cień przymusowego uwięzienia w tym miejscu zaatakowanym przez nietoperze jak jakieś średniowieczne ruiny, a bronionym przez sowy, koty i kury jak

opuszczona twierdza, staje się coraz mroczniejszy.

Wygląda na to, że jedyną drogą ucieczki z tego konklawe bez końca była ta, którą poszli Contardi i Mascheroni; pierwszy po wyniszczających cierpieniach, jakby musiał sobie dopiero na nią zasłużyć, drugi – z piorunującą szybkością, jakby nie chciał stracić niepowtarzalnej sytuacji. Niektórym dźwięczą jeszcze w uszach słowa Stelipyna, wypowiedziane w chwili, gdy Mascheroni opuszczał wieżę Świętego Jana, by pójść umrzeć; słowa o tym, „co się wydarzy i czego skutki wszyscy wkrótce odczujemy”. Ta przepowiednia już się sprawdza, biorąc pod uwagę atmosferę głębokiej depresji, spowodowanej nagłą śmiercią człowieka, który zaledwie paręnaście godzin przed odejściem grzmiał przeciwko inercji konklawe. Na kim oprzeć się teraz, w tym zamęcie uczuć i nastrojów?

Na Stelipynie, z jego zaraźliwym lękiem o przyszłość Kościoła i ludzkości, z pragnieniem powrotu do źródeł, do stanu dalekiego od postępu? Na Leporatim, wykształconym Włochu o europocentrycznych zapatrywaniach, który na pierwszym miejscu stawia centralną pozycję Rzymu i kształtowanie przyszłości Kościoła w oparciu raczej o władzę polityczną i dyplomację niż o duszpasterskie powołanie?

A może na arcybiskupie Dar es-Salaam, którego sława egzorcysty przywołała pamięć o przedwiecznych, apokaliptycznych wizjach obecności złych mocy w sercu Kościoła? Albo na maronickim patriarsze, Abdullahu Josephie Selimie, który opowiedział się za rozważą przyprawioną fatalizmem, za poddaniem się woli Bożej ?

Czy też może na trapiście, kardynale Paide, który pomimo swego ascetycznego życia jest otwarty na dialog ekumeniczny? Albo na Palestyńczyku, Nabilu Youssefie, pasterzu narodu walczącego, symbolu ucisku i odwetu w imię sprawiedliwości?

Jakby umysły wszystkich tych mężczyzn odizolowanych od świata ogarnęła nagle ta sama myśl, tego wieczoru w wielu pomieszczeniach konklawe, pod pretekstem wspólnej kolacji, odbywają się zebrania i

spotkania.

W gabinecie komendanta gwardii szwajcarskiej Kellermana, który co wieczór wraca do swojej rodziny, porucznik Kapplmüller podejmuje tych uczestników konklawe, którzy nie odgrywają w nim co prawda najważniejszej roli, ale jednak wywierają duży wpływ na elektorów papieża. Co najmniej trzydziestu sekretarzy i kapelanów oraz dziesięciu prałatów domowych zebrało się u niego, a wielu przyniosło ze sobą coś do jedzenia lub picia. Pomieszczenie z długim stołem zostało na ten wieczór opróżnione z wszelkich zwierząt.

Monsignore Giorgio Contarini wraz z Hansem Kapplmüllerem czynią przy drzwiach honory domu i odbierają z rąk gości butelki i tace z jedzeniem, które natychmiast giną w kuchni. W oczekiwaniu na spaghetti all'amatriciana między biesiadnikami siedzącymi przy stole toczy się ożywiona rozmowa.

Wśród gości panuje atmosfera, którą można by określić jako świadomą schizofrenię. Prałaci opowiadają sobie nawzajem o swoich kardynałach, zapominając o pozorach dyskrecji. Urazy, pretensje i niechęć mieszają się z podziwem, głębokim szacunkiem i przywiązaniem. Zасыpują się nawzajem wścibskimi pytaniami, licytują się informacjami, śmieją ostentacyjnie, dziwią przesadnie, powołują kolegów na świadków... Jakby zdjąć pokrywkę garnka z gotującą się zupą.

Wobec coraz większego rozgardiaszu, Kapplmüllera kusi chwilami, żeby przywołać swoich gości do porządku. Hamuje go jednak wrodzona wyrozumiałość i jakieś niewytłumaczalne uczucie litości. Te przejęte twarze, rozgorączkowane oczy, te delikatne ręce gestykujące w powietrzu, by lepiej oddać znaczenie słów, te niespokojne, młode jeszcze ciała w czarnych ubraniach, które zdradzają resztki oporu przeciw martwocie zmysłów, ostatnią próbę sprzeciwu przed kapitulacją – wzbudzają w nim współczucie i szacunek. Wielu z nich podczas tych trzech miesięcy konklawe zwierzało się jemu i jego żołnierzom. Halucynacje, które wywoływał u nich widok kur i

kotów, nie zdziwiły go – nie było mu trudno udawać dla ich dobra, że to normalne.

Spędził wiele godzin w pokoju Contariniego, opowiadając mu o swoich miłosnych przygodach z czasów młodości w Bazylei. Była to jedyna możliwa reakcja na fantazjowanie Giorgia na temat tego, co ksiądz usłyszał od Zairy i Zenobii i jak krępujące są ich prowokacje, w jak nieprzewidywalnych miejscach je spotyka, jak trudno mu walczyć z ich próbami sprowadzenia go na złą drogę... Kiedy wracał do siebie po takich rozmowach i słuchał relacji swoich żołnierzy, którzy tak jak on spędzili czas na podobnie obłąkanych konwersacjach, słyszał w ich opowiadaniach echo słów Contariniego. Widzi go, jak stoi w przeciwległym końcu pokoju; jego przyjaciel Giorgio gotów jest teraz podawać do stołu, uprzejmie konwersować z gośćmi, otwierać drzwi ostatnim spóźnialskim...

Na stole pojawia się miska dymiącego makaronu. Podnosi się jednogłośnie chór pochwał. Biesiadnicy nakładają sobie szybko potrawę na talerze, nie przerywając rozmów. Cisza zapada dopiero wtedy, gdy każdy koncentruje się na przyjemności jedzenia. W kuchni tymczasem przygotowuje się gorączkowo niespodziankę pomyślaną na drugie danie: pieczone prosię alla romana. Zapach dochodzący z kuchni – której drzwi często pozostają otwarte, podczas gdy goście kończą makaron – pozwala odgadnąć, jakich wspaniałości można się wkrótce spodziewać na stole. Przyjemność ze wspólnego biesiadowania po tych trzech miesiącach izolacji od świata przywraca wielu z nich zapomnianą witalność i utraconą radość, usuwając duchy samotności.

Po pierwszym daniu zmienia się charakter rozmów. Podświadoma przyjemność, płynąca z odsłaniania prywatnego oblicza kardynałów, przez których zmuszeni są do przebywania w tym więzieniu, zostaje zastąpiona pragnieniem mówienia o sobie. W centrum uwagi jest teraz temat przyszłości, życia toczącego się za tymi murami, w którym wkrótce i oni będą uczestniczyć.

Wiadomości dotyczące najprzeróżniejszych dziedzin, nawet tych najbardziej marginesowych, płyną z jednego końca stołu na drugi: piłka nożna, polityka, sport, drożęjąca benzyna, wojna na Bliskim Wschodzie, giełda, stosunek euro do dolara, ostatni koncert Lucia Dalii, konferansjer wybrany na najbliższy festiwal w San Remo... Przeważa język włoski, ale dogania go angielski, używany przez licznie reprezentowanych kapelanów spoza Italii.

Skutkiem długotrwałego zamknięcia w izolacji od świata jest głód błahostek, głód informacji o tym, co dzieje się na zewnątrz, choćby to były informacje najbanalniejsze i najbardziej ulotne, takie jak te, które codziennie celebrytuje owa mistrzyni powiadamiania o niczym, jaką jest telewizja. Niektórym, na przykład Contariniemu, wśród tej orgii informacji przychodzi do głowy, że znoszą się one wzajemnie i rezultatem finalnym pozostanie zero. Każda z nich jest tylko jednym z wielu tymczasowych etapów na tej drodze do końca wszelkiej rzeczy, jaką jest życie.

Contarini zauważa spojrzenie Kapplmüllera, które zatrzymuje się na nim przez moment, i w uśmiechu przyjaciela dostrzega to samo, co właśnie odczuwa: irytację i rozbawienie wobec zachowania duchownych, którzy przypominają pełnych życia, wygłodzonych sztubaków. Widać, że ich jedynym pragnieniem jest powrócić do normalnego życia po tylu wyjątkowych dniach. Ale czy Kapplmüller dzieli z nim także lęk, który chwilami go gnębi, gdy myśli o powrocie do świata, do tego tak upragnionego normalnego życia?

Prawdopodobnie nie, życie porucznika nie jest naznaczone udręką, obecą w codziennej egzystencji księdza sekretarza.

Być może wielu z obecnych tu kapelanów – którzy tak bardzo pragną stąd wyjść, podobnie jak dwaj kardynałowie, niedoszli uciekinierzy – kiedy tylko znajdzie się na powrót w klatkach codziennej rutyny, doświadczy tego samego lęku co on.

Na stole pojawia się wreszcie, powitane prawdziwą owacją, pieczone

prosię alla romana, podane przez monsignore Bini, ubranego w fartuch i kucharską czapkę. Prosię trzyma w pysku dużą cytrynę i wydaje się tak zdziwione i zaskoczone śmiercią, jakby czekało tylko na dotknięcie czarodziejskiej różdżki, by powrócić do życia. Podczas gdy na stole przybywa butelek wina, konwersacja ponownie zwalnia tempo, gwar cichnie, rekompensowany częściowo brzękiem sztućców. Niektórzy spoglądają już na zegarki, myśląc o trudnym porannym wstawaniu, które ich czeka nazajutrz. Ale za nic na świecie nie opuściliby tego towarzystwa. Gotowi są nie przespać całej nocy, byle tylko nie ominęła ich żadna ważna wiadomość. Każdy chciałby znać odpowiedź na pytanie, które pod koniec drugiego dania wszyscy sobie na nowo zadają: dokąd zmierza konklawe? Kto zostanie wybrany?

Tak więc, gdy po prosięciu na stole pojawia się sałata, a potem deser – a pełne brzuchy pozwalają biesiadnikom skoncentrować się na innym niż jedzenie obiekcie zainteresowania – powraca zasadniczy temat rozmowy.

Spojrzenia wielu z zebranych kierują się na czarnoskórych sekretarzy kardynała z Dar es-Salaam i kardynała z Luandy. Ale usta Afrykanów, choć rozciągnięte w uśmiechu, pozostają nieme, poza monosylabami, którymi odpowiadają na docinki i natrętne pytania. Nie dają się sprowokować. Sekretarz kardynała z Hongkongu, który pochodzi z Zanzibaru i zna język suahili, nie potrafi się opanować wobec tej ostentacyjnej obojętności na ciekawość współbiesiadników i chcąc sprowokować swoich milczących pobratymców, rozpoczyna coś w rodzaju kantyleny opartej na rytmicznej melorecytacji jednego, wciąż tego samego zdania, kończącego się za każdym razem wysokimi tonami, której towarzyszy wybijanie rytmu stopą. Dwaj Afrykanie, jakby zarażeni rytmem kantyleny, odpowiadają uderzeniem stóp o podłogę dokładnie w tym samym momencie, w którym Zanzibarczyk Augustine Marangu uderza swoją przy wznoszeniu głosu. Narastający, coraz wyraźniejszy rytm ucisza zebranych przy stole, co nie wydaje się ani trochę krępować wykonawców.

Potem zdarza się coś, co długo pozostanie wszystkim w pamięci i o czym długo jeszcze będzie się mówić.

Jeden po drugim, biesiadnicy czują się owładnięci podnieceniem, którego nie sposób utrzymać pod kontrolą. I – poczynając od tych, co wstali już od stołu, a kończąc na tych, co jedli dłużej i teraz dopiero podnoszą się z krzeseł – wszystkich ogarnia niepohamowane pragnienie wybijania rytmu wraz z trzema afrykańskimi śpiewakami. Ci ostatni tymczasem, wciąż prowadzeni przez Zanzibarczyka, zwiększyli dynamikę swojej litanii, akcentując jeszcze wyraźniej wysokie dźwięki i uderzenia stóp.

Kantylena zamieniła się prawie w taniec, w którym uczestniczy więcej niż połowa zebranych. Nikt już nie potrafi stać nieruchomo: poruszają się ramiona, ręce, stopy, palce – jakby posłuszne niewidzialnemu dyrygentowi. Co najdziwniejsze, wszyscy są przekonani, że śpiewają w języku suahili, choć używają przypadkowych zbitek dźwięków. Wydaje się jednak, że i dla Afrykanów, którzy tymczasem zaczęli używać stołu w charakterze bębna, wybijając rękami rytm na jego drewnianej powierzchni, te wymyślane słowa miały jakiś sens.

Teraz także ostatni oporni – monsignore Squarzoni i jego pomocnicy, którzy wyszli z kuchni z tacami pełnymi talerzy z deserem – dają się porwać wirowi tańca i uczestniczą w nim z zadziwiającą zręcznością, trzymając pełne tace w dłoniach i nie roniąc ani kropli z ich zawartości.

Augustine Marangu przechodzi do rytmu bardziej skomplikowanego i złapawszy za ręce swoich dwóch posłusznych i świetnie dostrojonych partnerów, rozpoczyna taniec, przy którym jego ciało od talii w dół trzęsie się i wibruje. Na znak trzech czarnych tancerzy wszyscy obecni łapią się za ręce i razem obchodzą stół rytmicznym krokiem, wpierw powoli, a potem coraz szybciej, dochodząc do szaleńczego wiru, który zaczyna zbierać pierwsze ofiary. Niektórzy bowiem nie wytrzymują wysiłku tańca i śpiewu i przewracają się na podłogę, kończąc w ten sposób tę piekielną sardanę – wyczerpani, bez oddechu, zamroczeni zmęczeniem. Pomimo tego wyciągają

jednak głowy do przodu, by śledzić oczami trzech Afrykanów.

Nagle, jakby za sprawą czarów, wszyscy się zatrzymują. Wysoki, przeraźliwy dźwięk, wyśpiewany przez Marangu głośniej niż poprzednie, sprawia, że zamierają taniec i śpiew. Pierwszymi, którzy otrząsnęli się z opętania tańcem i rzucili się na ratunek najbardziej potrzebującym, są żołnierze gwardii szwajcarskiej z Kapplmüllerem na czele.

Jest to jednak tylko krótka, kilkuminutowa przerwa, pauza w tańcu, który dopiero się zaczął i nikt nie wie jeszcze, jak bardzo jego szaleństwo potrafi być zaraźliwe.

Z wybiciem północy wszystko zaczyna się od nowa. Wygląda to tak, jakby prałaci odpowiedzialni za pochodnie umówili się wcześniej z trzema afrykańskimi monsignore. Oto bowiem, kiedy zapalają je we wszystkich skrzydłach Pałacu Apostolskiego, by przegnać nietoperze, Afrykanie, na znak dany przez Marangu, wracają głosem i ciałem do rytmu, jeszcze wyraźniej kontrapunktując go wysokimi dźwiękami i uderzeniami stóp. Zbliżają się do drzwi. Ktoś je otwiera i wtedy do korowodu ponownie przyłączają się wszyscy obecni, po czym wychodzą rytmicznym krokiem z gabinetu komendanta gwardii szwajcarskiej.

Wchodzą na długi korytarz, prowadzący na dziedziniec Świętego Damazego, potem wspinają się schodami na pierwsze piętro. Tam zabawiają dość długo, bo wdzierają się do wszystkich pomieszczeń biurowych Sekretariatu Stanu. Wystraszone niespodziewanym hałasem kury kryją się po kątach. Koty podobnie – chowają się pod szafami, fotelami, za kotarami, wszędzie, gdzie tylko znajdują osłonę przed ludźmi, którzy zajęli ich teren.

Po przejściu przez pierwszą część pałacu tancerze, w dionizyjskim zapamiętaniu, na znak monsignore Marangu wspinają się po schodach na drugie piętro, gdzie niektórzy przewielebni kardynałowie śpią już w swoich pokojach. Przebudzeni w środku nocy niespodziewanym, trudnym do określenia hałasem, który zaczął się w głębi klatki schodowej i gwałtownie, z każdą chwilą rośnie, łapią za różańce. Przeczuwając, że oto czeka ich nowa, trudna próba, powierzają siebie Matce Najświętszej. Następnie, prosto z łóżek, w koszulach nocnych i piżamach, drżąc z emocji, przyłączają się do korowodu, łapiąc za rękę ostatniego tancerza, jakiegoś bosego kapelana w rozchełstany ubraniu i z potarganymi włosami, którego trudno rozpoznać.

Zanim tracą świadomość tego, co robią, dostrzegają, że prowodyrami tego szaleństwa są trzej czarnoskórzy pałaci, wywodzący się z Afryki, gdzie czarna magia wciąż jest jeszcze elementem rzeczywistości.

Korowód korybantów opanowuje następnie trzecie i czwarte piętro – i w miarę, jak przemierza kolejne skrzydła pałacu, zaciąga do swego szeregu coraz to nowych duchownych, zarażonych obłąkańczym tańcem. Nie ma kardynała, który nie poddałby się rytmowi, godząc się na uchybienie swojej godności, narażając się na niecodzienne emocje, ulegając pragnieniu wyrażenia siebie nie tylko słowami, ale także ruchem i gestem, w hipnotycznym tańcu trwającym aż do świtu w pomieszczeniach Pałacu Apostolskiego, oświetlonych pochodniami.

Somnambuliczny taniec wciąga wszystkich przewielebnych kardynałów, jednego po drugim, bez różnicy funkcji i rangi, włącznie z kamerlingiem. Szaleństwo oszczędza tylko jednego człowieka, który przez cały ten czas spokojnie śpi w swoim pokoju na piątym piętrze, dokąd korowód jeszcze nie dotarł. To arcybiskup Dar es-Salaam, Leopold Albert Ugamwa, egzorcysta, którego pocziwy Stelipyn chętnie ujrzałby na tronie Piotrowym. Jego Eminencja nie ma aż tak twardego snu, by nie usłyszeć wzmagającego się hałasu, dobiegającego z niższych pięter, szczególnie że zbliża się szósta rano, kiedy to zwykle wstaje, uprzedzając budzik i swego sekretarza. W półśnie, z całego tego rozgardiaszu, jaki dobiega z pomieszczeń pod jego pokojem, dociera jednak do niego coś niepokojącego. Rozpoznaje rytm i melodię dobrze sobie znanej kantyleny. Nie jest pewny, czy przypadkiem nie należy ona jeszcze do jego snu, w którym śpiewał ze swoimi braćmi w szkole misyjnej w Dodomie, gdzie spędził dzieciństwo. Próbuje znowu zasnąć. Na dobre budzi go znany mu głos, który powtarza raz za razem słowo używane przez niego wyłącznie w egzorcyzmach.

Natychmiast porywa się z łóżka, łapiąc z krzesła ubranie. Jako ostatnią rzecz zakłada krzyż. Spieszy do drzwi, a potem, kierując się w stronę śpiewów, zbiega dwiema długimi rampami schodów na niższe piętro.

Nareszcie odgaduje, co wywróciło porządek w Pałacu Apostolskim – przed sobą widzi tłum współbraci ze zmienionymi, naznaczonymi obłędem twarzami, opętanych mocą, której naturę doskonale zna. Staje na środku, rozkłada szeroko ramiona i głośno skanduje słowo, które minionego wieczoru wyzwoliło całe to szaleństwo. Teraz, jak pod działaniem nadprzyrodzonej siły, słowo to uspokaja opętanych. Dla pewności kardynał Ugamwa powtarza je jeszcze kilka razy, dopóki nie jest pewny, że magia straciła moc.

Tancerze osuwają się bez sił na podłogę czy krzesła albo tylko opierają się, wyczerpani, o ściany. Zewsząd dobiegają lamenty i narzekania, oskarżenia i obraźliwe epitety, skierowane przeciw trzem Afrykanom, którzy poprowadzili korowód. Ci zaś, oszołomieni i przestraszeni, jakby przebudzili się z jakiegoś koszmarnego snu, stoją teraz przed kardynałem Ugamwą, okazując głęboką skruchę.

Między stłoczonymi duchownymi widać już halabardy żołnierzy gwardii szwajcarskiej, którzy pod dowództwem pułkownika Tobiasa Kellermana przychodzą zaarrestować trzech afrykańskich prałatów, winnych zakłócenia porządku na konklawe.

Pułkownik, ewidentnie wzburzony, zaczyna ożywioną dyskusję z kardynałem z Dar es-Salaam. Nie przyjmuje do wiadomości żadnych usprawiedliwień ani okoliczności łagodzących – ci czarownicy zostaną natychmiast odizolowani, żeby już nigdy więcej nie działali na szkodę konklawe, którego szczytnym celem jest wyznaczenie ziemskiego zastępcy Chrystusa, na co czekają ludzie na całym świecie.

Tymczasem od strony schodów i wind nadchodzą inni gwardziści, prałaci domowi, lekarze z watykańskiej służby medycznej, archiatra, księżę Aldobrandini, chórzyści, hrabia Nasalli Rocca i wszyscy inni, niezarażeni szaleństwem tańca, które rozprzestrzeniło się w Pałacu Apostolskim. Na widok tłumu duchownych doprowadzonych do stanu godnego pożałowania pozostają bez słów. Dyskusja między kardynałem Ugamwą a pułkownikiem

Kellermanem staje się coraz ostrzejsza. Ugamwą domyślił się, co spotkało jego trzech pobratymców, chciałby jednak upewnić się co do swoich podejrzeń w jakimś odosobnionym miejscu, w spokojnej z nimi rozmowie. Sytuację komplikują groźne reakcje wielu kapelanów. Należy więc umieścić całą trójkę w bezpiecznym miejscu, z dala od furii co zapalczywszych duchownych, na przykład Włochów, którzy już zaczęli szarpać zanzibarskiego sekretarza kardynała z Hongkongu, Augustine'a Marangu. Pomiędzy potrzebą dokładniejszego zrozumienia, co zaszło, a koniecznością zapewnienia bezpieczeństwa trzem nieszczęśnikom, czarnoskóry kardynał uznaje priorytet tego ostatniego zadania.

Tak więc trzej „czarownicy” zostają przeprowadzeni pod eskortą przez rozzłoszczony tłum w kierunku aresztu korpusu gwardii, gdzie nigdy dotąd nie przebywał żaden duchowny.

Podczas gdy wycieńczeni kardynałowie w towarzystwie swoich sekretarzy opuszczają to piętro Pałacu Apostolskiego, by udać się do swoich pokoi, Ugamwą podchodzi do arcybiskupa Lwowa, Stelipyna, który leży bez sił na fotelu.

– Wybacz im, drogi Wolframie, oni i tak otrzymają karę, na jaką zasługują.

– Już im wybaczyłem, wolałbym tylko, żeby to się nigdy więcej nie powtórzyło... Wyrządzili wielką szkodę Afryce i obawiam się, że to był sabotaż – odpowiada Słowianin słabym głosem.

– Nie wiem. Wiem tylko, że posłużyli się formułą używaną w bardzo starym rytuale, w nocnym tańcu, podczas którego wypędza się złe duchy. Napełnienie nocy dźwiękami i ruchem ma wymiar symboliczny, jest jednoznaczne z unicestwieniem nocy, jest zwycięstwem nad ciemnością...

– Dlaczego nie zatrzymali się, gdy spostrzegli, jakie to ma straszne skutki?

– Powiedzieli mi, że nie byli w stanie tego zrobić, próbowali, ale jakaś potężna siła, mocniejsza od ich woli, kazała im kontynuować... Dobrze wiem, o czym mówili...

– Ale jak zdołali sprowokować tę siłę?

– Tego właśnie muszę się jeszcze dowiedzieć, Wolframie, chociaż pewne przesłanki pozwalają mi przypuszczać, że był to tylko żart jednego z nich, który wypił za dużo wina i chciał, żeby przestano mu zadawać natrętne pytania.

– Chorobą tego konklawe jest brak dyskrecji i gadulstwo; wszyscy tu o wszystkich wszystko wiedzą. Gdyby nasi sekretarze i kapłani, a także nasi bracia, zachowywali większą dyskrecję, uniknęlibyśmy wielu przykrych wypadków! – Te słowa zostały wypowiedziane przez kamerlinga, po którym wciąż jeszcze było widać niedawne przejścia: purpurowa twarz, ubranie poszarpane i przepocone, oddech nieregularny, tętno kontrolowane właśnie przez lekarza.

– Cieszę się, że stać cię jeszcze na eufemizmy takie jak: „przykre wypadki”. Ja na pewno nie potrafiłbym się pohamować, żeby nie nazwać po imieniu tego diabelskiego sabatu czarowników, zorganizowanego przez Afrykanów w tych murach! – Kardynał z Mediolanu daje upust swojej złości i kieruje ją przeciw Afrykanom, czego tak bardzo obawiał się Stelipyn. Pomimo zasapanego oddechu i nieporządnego ubrania, Alfonso Cerini zachowuje, nawet w podartej koszuli nocnej, całą swą czcigodność.

Mijają ich prałaci domowi, by zgasić pochodnie i świece, zapalone dla odegnania nietoperzy. Sowy zasypiają we wszystkich zakamarkach westybulu i w labiryncie korytarzy, prowadzących do pokoi na piątym piętrze. W porównaniu z tym, co się wydarzyło w nocy, pojawienie się kur i kotów, wezwanych jak każdego ranka na posiłek przez odpowiedzialnych za karmienie zwierząt, wydaje się sympatycznym zwyczajem, miłą okolicznością. Może tylko przerażająca inwazja skorpionów na fresk *Sądu Ostatecznego* była porównywalna z nocnym tańcem.

Tego dnia we wszystkich kaplicach prywatnych poranne msze święte odprawiane są ze szczególną żarliwością. Pojawiła się, zrodzona w tych wyjątkowo trudnych chwilach, ogromna potrzeba skupienia i modlitwy.

Kardynał kamerling prawdopodobnie doskonale rozumie i podziela tę potrzebę, bo ogłasza dzień przerwy dla odzyskania równowagi duchowej. Zwalnia purpuratów z obowiązku przybycia do Kaplicy Sykstyńskiej na kolejne głosowanie, nie zważając na to, że dobiega już końca trzeci miesiąc konklawe. Przewielebni kardynałowie proszeni są o pojawienie się w kaplicy dopiero nazajutrz, o dziewiątej rano, a także o czwartej po południu, jeżeli rezultatem pierwszego głosowania będzie czarny dym.

Veronelli, w przeciwieństwie do współbraci, nie będzie miał jednak tego dnia czasu na medytację.

Z zewnątrz, spoza Spizowej Bramy, nadchodzą coraz to nowe sygnały, świadczące o zniecierpliwieniu wobec zwłoki w ogłoszeniu nazwiska nowego papieża. Słucha mszy świętej, odprawianej przez monsignore Squarzonego, bo nie czuje się na siłach, by celebrować ją osobiście, po czym czyta pocztę, która napłynęła do Sekretariatu Stanu z kilku ambasad.

Aż trzy głowy państw – dwaj królowie i jeden prezydent – powiadamiają kamerlinga o przygnębieniu panującym wśród obywateli ich krajów z powodu braku przywódcy duchowego, którego pouczeniami zwykli się kierować.

Dwóch z nich, w zadziwiającej zgodzie, zwraca uwagę na to samo zatrwajające zjawisko: na tendencję obserwowaną w konserwatywnych wspólnotach katolickich do wyznaczania we własnym środowisku przywódcy – niech to będzie na przykład biskup lokalnej diecezji – który mógłby zastąpić biskupa Rzymu. Nie należy lekceważyć groźby odrodzenia się gallikanizmu w Kościołach partykularnych. Nie można też, zdaniem autorów listów, ignorować problemu rosnącej liczby konwersji na religie dalekie od katolicyzmu, w których szczególnie ważną rolę odgrywa element duchowości. Jednym ze znaczących zjawisk jest na przykład fakt, że zrzeszenia religijne w ich krajach coraz częściej zapraszają Dalajlamę XIII, Tenzina Gjatso, by okazać solidarność z jego antychińską kampanią, prowadzoną pod hasłem obrony ludu tybetańskiego, któremu grożą czystki

etniczne.

Król najbardziej katolickiego z trzech państw, to znaczy Hiszpanii, zauważa, że polityka ekumeniczna zmarłego papieża sprzyjała przenoszeniu z jednej wiary do drugiej niepokoju metafizycznego, a także przypisywaniu wyznawcom innych religii własnych motywów działania, myśli i postaw.

Kardynał kamerling z łóżka, w którym przegląda dokumenty dostarczone przez Sekretariat Stanu, podnosi oczy na wielki krzyż, wiszący na ścianie jego pokoju. Odkłada listy na śnieżnobiałe prześcieradło i zdejmuje okulary.

Czuje się jeszcze osłabiony po siedmiogodzinnym tańcu, ale sen nie nadchodzi, bo to nie jego pora. W ciągu dnia Veronellemu zawsze trudno zasnąć, a co dopiero po lekturze takich listów. Cięży mu na duszy odpowiedzialność za groźbę schizmy albo nawet wielu schizm. Nie może jednak – nie wolno mu! – wpadać w desperację. Być może afrykańska karta jest jeszcze do rozegrania; musi dowiedzieć się, za pomocą jakich środków kierują Kościołem jego pasterze w tej części świata. Jeżeli zaś okaże się, że po wydarzeniach ostatniej, strasznej nocy afrykańska opcja nie może być już brana pod uwagę, należy podziękować Opatrzności, że Afryka zawczasu ujawniła swą prawdziwą duszę.

Rozważając różne hipotezy, kamerling nie zauważył nawet, że kilka kur weszło do jego pokoju przez półprzymknięte drzwi i dziobią coś teraz obok kapy z adamaszku, zwisającej z łóżka.

Takich samych gości ma kardynał z Dar es-Salaam, czekający na trzech czarnych prałatów w swoim pokoju na piątym piętrze Pałacu Apostolskiego. On jednak natychmiast to zauważa i nie mogąc ścierpieć stałego towarzystwa zwierząt, wyrzuca je za drzwi bez wahania. Po kolejnej dyskusji z komendantem gwardii szwajcarskiej otrzymał pozwolenie na przesłuchanie prałatów na osobności, we własnym pokoju. Udało mu się to, bo zagroził Kellermanowi, że oskarży go przed kamerlingiem, którego władza podczas wakatu Stolicy Apostolskiej jest niemal absolutna, o

niewłaściwą procedurę przy aresztowaniu Afrykanów.

Teraz, kiedy stoją w drzwiach jego gabinetu, gdzie niedawno odprawił mszę świętą, z nagłym uczuciem lęku uświadamia sobie, jak delikatny jest temat czekającej ich rozmowy i jak bardzo ci trzej duchowni uchybili swoim zachowaniem świętości tego miejsca i konklawe.

– Czy mógłbym się dowiedzieć, skąd przyszło wam do głowy, żeby tak narozrabiać?

– Eminencjo, to moja wina... Chciałem sprowokować moich kolegów...

– Ja musiałem się przyłączyć...

– To był jedyny sposób, żeby ich uciszyć. Nie mogliśmy już znieść tych pytań... Byliśmy pewni, że pamiętamy całą formułę, ale okazało się... – próbuje się tłumaczyć sekretarz kardynała z Luandy.

– Nie mówcie wszyscy razem! Po kolei! Już i tak jest tutaj dość zamieszania – gromi ich kardynał, widząc jednocześnie, że do pokoju znowu weszły kury i sprawdzają, czy w szczelinach muru nie schowały się przypadkiem jakieś skorpiony.

– Księżę Marangu, proszę zaczynać, bo wydaje mi się, że to właśnie ksiądz był prowodyrem tej akcji – dodaje już ciszej.

Długa, chaotyczna relacja potwierdza jego podejrzenia. Ten człowiek, który wielokrotnie stykał się z plemiennymi praktykami magicznymi, stracił panowanie nad mocą wywołaną przez siebie trochę dla żartu, trochę z chęci popisania się. Ale w Pałacu Apostolskim nie wolno bezkarnie bawić się w czarowników.

To, co gdziekolwiek indziej mogłoby zostać zinterpretowane jako nieszkodliwa chęć zademonstrowania swojej zdolności dominowania nad rytmem pulsującym w ciele, rządzącym oddechem, mową, ruchem ciała, śpiewem, rozkładem sił w ciągu dnia, wolą działania i pragnieniem snu – w tym miejscu nabiera innego znaczenia. Bo ten, który podniósł swoje drapieżne szpony na obraz *Sądu Ostatecznego* i wysłał hordy piekielnych insektów, by zakryły akurat tę jego część, na której przedstawieni są

sprawiedliwi, zaczął się i czeka tylko na moment, gdy powtórzy się okazja, podobna do tej, która po raz pierwszy pojawiła się przed Adamowym upadkiem – to znaczy moment wyboru między Dobrem a Złem. Uśpienie jego czujności następuje jedynie wtedy, gdy człowiek uwalnia się z okowów troski o przyszłość. Moc obrzędów, mających swe korzenie w dawnych czasach i w odległych od Rzymu zakątkach świata, gdzie Pan w inny sposób okazywał swą boskość, polega właśnie na tym: na wyjściu z kolein czasu i zwróceniu się – choćby na chwilę – w stronę wieczności. I to właśnie, poprzez szaleństwo tańca bez czasu, pamięci i świadomości, osiągnął monsignore Marangu wraz ze swymi mniej doświadczonymi pomocnikami. Jednak ten, który nie chce rozprawy Dobra ze Złem, wykorzystał słabą pamięć nieszczęsnego Marangu i złapał ich wszystkich w pułapkę.

Prałat, który urodził się w tym samym rejonie Afryki co Ugamwa, wraz ze współwinnymi wysłuchuje surowej reprimendy kardynała bez słowa, może nawet nie rozumiejąc wszystkich użytych argumentów. Na koniec pada jednak z jego ust pytanie, skierowane bardziej do siebie samego niż do arcybiskupa:

– Dlaczego Pan Bóg stworzył nas takimi słabymi? Ugamwa od razu znalazł odpowiedź:

– Bo stworzył nas wolnymi, księżu Marangu.

Deus amentat quos vult perdere... – czytał tej nocy w *Kazaniach* Bossueta kardynał z Mediolanu, Alfonso Cerini.

Łaciński cytat, wybrany przez autora z Księgi Zachariasza, zawartej w Piśmie Świętym, jak najbardziej pasuje do ich sytuacji. Tak, to prawda, Bóg odbiera rozum temu, kogo chce ukarać... To właśnie dzieje się w tych murach – myśli, siedząc przy stole zasianym książkami. Książki są jego ulubionym towarzystwem podczas tych trzech miesięcy zamknięcia. Te na stole pochodzą z jego bogatej biblioteki w Mediolanie i stanowią jedynie nikłą jej część.

Teraz czara się przepełniła – ten diabelski korowód w świętym pałacu! Nikt chyba nie wątpi, że księżę ciemności odniósł kolejne zwycięstwo w wojnie, jaką udało mu się rozpętać w samym sercu chrześcijańskiego świata.

Czy nie uważał zawsze, że izolacja od świata jest najlepszym i najrozsądniejszym rozwiązaniem, narzuconym przez tradycję na konklawe? Teraz jednak jawi się Ceriniemu jako pułapka, w którą łatwo mogą wpaść ci, co zostali wystawieni na tę próbę.

Wie, że kontakt ze światem zewnętrznym słabnie. Wie, że w wielu częściach świata obserwuje się dążenie do uniezależnienia od Rzymu. Ma wrażenie, jakby zapomnienie i obojętność rozkrzewiły się jak perz pod murami Watykanu. Strategia Złego jest bardzo subtelna, zawiera się między zabawą a strachem, podstępem a gwałtem, rozrywką a szaleństwem, aluzją a działaniem siłą. *Deus amentat quos vult perdere...* To prawda...

Zadziałał na zmysły i zdołał rozluźnić surowe obyczaje wielu z nich, nie pomijając jego, w wyniku czego pozwolili sobie w wieży Świętego Jana na korzystanie z fizycznych przyjemności, które nie przystoją przedstawicielom Kościoła. Posłużył się ich wyobraźnią, wywołując skojarzenia z plagami biblijnymi, i wysłał do ataku hordy piekielnych stworzeń – szczurów, skorpionów i nietoperzy. Wykorzystał osłabione poczucie rzeczywistości,

wywołując u nich klaustrofobię, która niszczy dusze i osłabia rozsądek, jak u dwóch amerykańskich kardynałów, którzy zdecydowali się na ucieczkę z konklawe. Próbował rozchwiać ich równowagę psychiczną strasznym widokiem *Sądu Ostatecznego*, pokrytego masą skorpionów. Zabawił się ich inteligencją, przytępiając ją wyczerpującą karuzelą chwilowych aliansów, które, nawiązywane wieczorem, nazajutrz traciły ważność. W końcu zawładnął, w sposób gwałtowny i uwłaczający godności, ich starymi ciałami, wciągając do tego nocnego tańca świętego Wita – czym zadał cios majestatowi Świętego Kolegium. Jednak najokrutniejszą przebiegłość okazał, wzbudziwszy w nich nadzieję na bliski wybór nowego papieża, którego myśleli znaleźć w Afryce, po czym posłużył się bronią pochodzącą z Afryki właśnie, aby nadzieję tę gwałtownie zniweczyć. I jeszcze cios wymierzony konklawe poprzez tajemnicę tej nagłej, tak cichej i niespodziewanej śmierci Zelinda Mascheroniego – opoki ortodoksji katolickiej – nazajutrz po jego przejmującym wystąpieniu na konklawe. Dwóch braci zmarło w ciągu tych trzech miesięcy: kardynał z Rio de Janeiro i Mascheroni. Fakt ów rzucił cień głębokiego smutku na umysł tych, co z racji swego wieku też czują się bliscy śmierci.

Uwaga na temat szaleństwa, którą znalazł w *Kazaniach* Bossueta nie wróży nic dobrego ich zdolnościom właściwej oceny rzeczy. Jakie nieszczęście spadnie na nich teraz, po tej szatańskiej taranteli?

Uświadomili sobie, że zwrot w stronę młodszego świata, ucieczka w archaiczność i magiczną rzeczywistość Afryki, cofnięcie się do pierwotnego stanu natury, nie uratuje Kościoła. Trzeba mierzyć wyżej – w stronę tradycji łacińskiej, dążyć do idealnej równowagi między światem romańskim a światem barbarzyńskim, z której narodziła się kultura nowożytna, trzeba czerpać z dziedzictwa apostoła Pawła, rzymskiego obywatela z Tarsu, który opowiadał się za supremacją Rzymu. Świat wciąż jeszcze potrzebuje punktu odniesienia, latarni, pasterza. Cale zło, jakiego Kościół doświadczył w historii wspólnie z całą ludzkością, jest ceną za to, że chciał kierować jej

krokami, nie zostawiać jej samej. Odwrócenie się od Kościoła plecami dlatego, że splamił się winami popełnionymi z miłości do dalekiego od doskonałości człowieka, jest oznaką niewdzięczności. Odrzucenie jego wiekowych tradycji i uwierzenie w iluzję drugiej młodości, odzyskanej dzięki kąpieli w źródłach Afryki, świadczy o krótkowzroczności. Wieki historii nie rozwiały się bez śladu, przeszłość nie jest smużką dymu, którą lepiej jest zdmuchnąć, jeżeli chce się otrzymać wyraźniejszy obraz rzeczywistości. Przeszłość jest skałą, historia jest skarbem. Z tej przyczyny spadkobierca świętego Ambrożego i świętego Karola Boromeusza uważa, że powinien nadal kandydować na urząd papieski.

Podczas gdy arcybiskup Mediolanu późną nocą oddaje się lekturze kunsztownej francuszczyzny Bossueta i zatrzymuje na łacińskim cytacie, w tym samym Pałacu Apostolskim Contarini wraca do swego pokoju. Wraca z koszar gwardii szwajcarskiej, gdzie był zaproszony przez Hansa Kapplmüllera na kolację. Opróżnili niejedną butelkę wina i nie czuje się zbyt pewnie na nogach. Nie jest przekonany, czy zdoła utrzymać równowagę, więc stawia stopy ostrożnie, by nie obudzić kardynała Malvezziiego.

Za nic nie chciałby, żeby zobaczył go w takim stanie.

Przykłada ucho do drzwi gabinetu Jego Eminencji. Cisza absolutna. Otwiera je powoli, by zawiasy nie zaskrzypiały.

Promień księżyca oświetla biurko i drewnianą podłogę. W gabinecie panuje idealny porządek: gazety, mszał, dokumenty, listy, książki, pióra, gumki, ołówki, lekarstwa, ramka ze zdjęciem kardynała wśród młodzieńców z turyńskiego seminarium – wszystko pozostało tak, jak to ułożył, zanim wyszedł, nie mówiąc, o której wróci. Światło widoczne w szczelinie pod drzwiami sypialni dowodzi, że Jego Eminencja nie zrezygnował ze zwyczaju czytania do późna – nawet nazajutrz po diabelskim tańcu.

Przez okno widać oświetlone żółte szyby naprzeciwko pokoju kardynała...

Kiedy o szóstej rano dzwoni budzik, wraca do rzeczywistości z tak głębokiego snu, że przez chwilę nie poznaje swojego własnego pokoju. Chętnie pospałby jeszcze, czuje skutki wczorajszej suto zakrapianej kolacji. Ale z drugiej części apartamentu dochodzą go odgłosy kroków kardynała, który chodzi tam i z powrotem po gabinecie i na pewno już na niego czeka. Sięga po paczkę papierosów, którą dostał od Kapplmüllera. Uśmiecha się. Widok pierwszych tego dnia reprezentantek kurzego rodu wcale na niego nie działa... Wstaje, by nakarmić ptaki... Wszystko minęło...

Podczas mszy, do której służy u boku swego arcybiskupa, który ma ostre objawy przeziębienia po wyczerpującym tańcu w przepoconym ubraniu, stara się ze wszystkich sił pokazać, jak mało go obchodzą kury spacerujące swobodnie po pomieszczeniu.

Niepokoi się tym, co usłyszał od Hansa Kapplmüllera na temat planów zastąpienia młodych sekretarzy i kapelanów starszymi, sprowadzonymi z różnych diecezji.

Ettore Malvezzi z ulgą zauważa zanik nienormalnych reakcji u swojego cennego, choć nieprzewidywalnego sekretarza, który zniknął na cały wieczór bez uprzedzenia... W nocy kardynał zgasił światło dopiero po tym, jak Contarini wrócił do swego pokoju.

Obaj punktualnie za pięć dziewięta stoją przed drzwiami Kaplicy Sykstyńskiej, gotowi do wyborów, które poprzedniego dnia się nie odbyły.

Po wywołaniu nazwisk przez kamerlinga, jeden z kardynałów, siedzący w głębi sali przy marmurowej balustradzie, prosi od razu o głos:

– To kardynał z Brasillii – szepcze do niego jeden ze skrutatorów, Luigi Lo Cascio.

– Udzielam głosu Jego Eminencji – mówi kamerling. Jeszcze nigdy nie słyszał tego Brazylijczyka, ani publicznie, ani prywatnie, ale pośpiech okazany przez purpurata nie zapowiada nic dobrego. Pochyla się do innego skrutatora, Atilia Rondoniego, byłego wikariusza generalnego, i pyta, czy wie może, o czym Brazylijczyk będzie mówić.

– Nie, Vladimiro, ale to tajemniczy człowiek, zwykle pozostaje w cieniu i nie ujawnia swojej działalności... wiem na przykład, że dzisiejszej nocy zebrali się w jego pokoju wszyscy kardynałowie z Ameryki Południowej.

Kardynał Jose Maria Resende Costa jest chyba rzeczywiście doświadczonym intrygantem, bo w swoim wystąpieniu – spokojnym zresztą, precyzyjnym i bardzo kontrastującym z niecierpliwością okazaną na wstępie – potrafi wytoczyć niezwykle przekonujące argumenty, którymi niszczy ostatnie nadzieje stronnictwa afrykańskiego. Jednocześnie w jego przemowie pojawia się po raz pierwszy na konklawe temat Ameryki Łacińskiej.

Przedstawia swoich braci, należących do grupy, której dotąd nikt nie wziął pod uwagę; przedstawia ich jednego po drugim – dwudziestu dwóch purpuratów, reprezentantów kontynentu najbardziej wykorzystywanego przez imperializm gospodarczy Stanów Zjednoczonych. Głód, prostytutka, niewolnictwo dzieci, handel narkotykami i nieludzkie warunki pracy są tam na porządku dziennym i dotyczą milionów ludzi, dzięki czemu Stany Zjednoczone mogą utrzymać swój światowy prymat. Kto lepiej od nich, którzy w swoich diecezjach codziennie mają do czynienia z tymi plagami, zna prawdziwe oblicze tego strażnika pokoju i sprawiedliwości na świecie?

Wywoływani jeden po drugim wstają, jakby przedstawiali się przed najwyższym trybunałem jako świadkowie oskarżenia, przybyli na proces, którego dłużej już nie można odkładać. Duszpasterze z Buenos Aires, Bahii, Bogoty, Tegucigalpy, Santa Cruz de la Sierra, Belo Horizonte, Caracas, Medellin, Limy, Sao Paulo, Meksyku, Quito, Aparecidy, Managui, Hawany, Cór doby, Guadalajary, Monterrey, San Juan de Puerto Rico, Santiago i Port Luis wstają kolejno, potwierdzając w ten sposób oskarżenia i zarzuty. Brakuje wśród nich tylko zmarłego arcybiskupa Rio de Janeiro.

Od wieków mieszkańcy tego cudownego zakątka świata nie mają pełnego prawa do czerpania korzyści z jego naturalnych bogactw, z obfitych darów,

jakie Pan Bóg im ofiarował na nizinach, w morzach, w górach i w miastach. Dzieje się tak z winy ciasnego powroza na szyi, tej poniżającej niewoli, w której ciągle jeszcze prawo silniejszego jest ważniejsze od prawa słabszego. Ameryka Południowa nigdy nie była wolna; przesłanie Simona Bolívara i świętego Marcina nie zostało wprowadzone w życie, państwa, zbuntowane ongiś przeciw Hiszpanii, tylko na papierze mają prawo do samostanowienia. Ci, którzy jako pierwsi na kontynencie amerykańskim, porwani ideami wolności i równości, w imię prawa do szczęścia podnieśli słuszny bunt przeciwko ciemności i po długiej wojnie uwolnili się od dominacji Anglii, jako pierwsi też zdradzili wyznawane przez siebie ideały. Odmówili wolności i równości mieszkańcom południowej części kontynentu, zastępując tyranię korony hiszpańskiej tyranią prezydenta Stanów Zjednoczonych. Jeżeli rzeczywiście, w co latynoscy kardynałowie wierzą gorąco, konklawe jest miejscem, w którym Duch Święty szczególnie silnie działa swą zbawczą mocą, to wybór jednego z nich byłby prawdziwie opatrnościowy. Dałby Kościołowi możliwości, jakich w ciągu dwóch stuleci żadna postępową siłą polityczną nie umiała wykorzystać. To oczywiste, że Duch Pocieszyciel nie mógł objawić się dzięki czarnej magii, która poprzedniej nocy wywarła tak przygnębiające wrażenie na członkach Świętego Kolegium. Symbolika tańca plemiennego, który osłabił ich ciała, jest bardzo łatwa do odczytania. Afryka jeszcze nie weszła w wiek dojrzały, musi poczekać, by móc wysłać jednego ze swoich duszpasterzy na szczyty hierarchii Kościoła. Trzeba się mieć na baczności, by nie ulec fascynacji ciemnymi mocami. Papież egzorcysta? Byłby to powrót do mrocznych dni średniowiecza, kiedy Henryk IV oskarżył Grzegorza VII o...

Kardynał Brasillii nie kończy zdania, bo w głębi i w środkowej części sali rozlegają się krzyki. Nikt już go nie słucha. Ręce są skierowane w jedną stronę, twarze osłupiałe, oczy wpatrzone w jeden punkt.

Sąd Ostateczny, fresk Michała Anioła, powoli znika jak fatamorgana rozwiewająca się w powietrzu. Twarze świętych i potępionych stają się

szare, rysy rozmyte, zaciera się rysunek oczu, zmarszczek, bledną kolory... Dobro i Zło mieszają się.

Znikają szaty, anielskie trąby, łódź i wiosła Charona, koło tortur i strzały męczenników, kolumna, przy której biczowano Chrystusa, a także krzyż, do którego został przybity, chmury, groby, skóra trzymana przez świętego Bartłomieja z odbitą twarzą Buonarottiego, brody, włosy, ręce, uda, stopy, suknie okrywające wstydlive części namalowanych ciał. Jedyne twarze Matki Boskiej i Zbawiciela ocalały w samym środku szarej chmury, w którą zamieniło się to, co przez wieki w wyobraźni milionów ludzi było obrazem sądu, czekającego ich po skończeniu świata. Proroków i Sybille ze sklepienia spotyka ten sam straszliwy los. Ściany Kaplicy Sykstyńskiej są nagie, jakby pomalował je malarz, który swoją sztuką oddaje Nicość, który widzi świat jako jedną wielką pustynię, jakby ludzkość nie istniała i jakby jej dzieła, które radowały oczy i cieszyły dusze, zniknęły bez śladu.

– Ugamwa! Zrób coś! Zatrzymaj to! – słyhać krzyki po angielsku.

– Ale to właśnie on dokonuje tego dzieła zniszczenia! To on ze swoimi czarami! To on! – grzmi po niemiecku, z przeciwnej strony kaplicy, kardynał z Kolonii.

Kamerling wstaje i po raz pierwszy ulega nastrojowi panującemu wśród zebranych kardynałów. Donośnym głosem woła do arcybiskupa Dar es-Salaam:

– Przewielebny kardynale Leopoldzie Albercie Ugamwo! Proszę coś uczynić, żeby to się skończyło!

Z zamętu, jaki następuje po tym wezwaniu, wyłania się wysoka postać czarnoskórego kardynała, który wstaje i eskortowany przez gwardzistów przeciska się przez tłum w stronę przejścia.

Jakiś ciężki przedmiot przelatuje blisko jego głowy, chybiając celu: ktoś rzucił w niego mszałem.

Wszyscy widzą, jak odwraca się powoli w kierunku, skąd rzucono ten pocisk. Zalana łzami twarz świadczy o jego uczuciach i zmusza do milczenia

najbliższych świadków tej sceny. Potem jego sutanna wzdyma się; Ugamwa i gwardziści zakrywają twarze rękami, jakby uderzył w nich bardzo silny podmuch wiatru. Kardynał stara się dojść do ołtarza, do ściany, na której był kiedyś *Sąd Ostateczny*, ale zdaje się, że potrzeba nadludzkich sił, by przemierzyć pod wiatr ten krótki dystans. Tymczasem rozgardiasz spowodowany widokiem znikającego malowidła uspokaja się, wszyscy w kaplicy czują niezwykle silny powiew wiatru, któremu opiera się nieszczęsny egzorcysta.

Wicher nie dostał się przez okna, bo są dobrze zamknięte. Nie spowodował go przeciąg z niedomkniętych drzwi. Ten wiatr jest zimny jak tchnienie śmierci, przenika kości i mrozi krew.

Potem wydarza się coś, co sprawia, że nikt już nie protestuje przeciw temu człowiekowi, który tymczasem dotarł do ściany z freskiem.

Ugamwa mówi coś cicho, potem powtarza to samo na cały głos, i jeszcze głośniej, z bolesnym wysiłkiem, który zdaje się zginać we dwoje jego okazałą postać. I wtedy, niespodziewanie, na ścianie na nowo pojawia się *Sąd Ostateczny*, odzyskuje swoje zachwycające formy i cudowne kolory, a wiatr milknie w całej Kaplicy Sykstyńskiej.

Tylko że po egzorcystyście, po czarnoskórym kardynale, który wygnał z kaplicy ducha Zła, nie ma śladu.

Zniknął tak samo, jak poprzednio zniknęły ze ściany kolory.

Na próżno czterej żołnierze gwardii szwajcarskiej szukają go w pobliżu miejsca, gdzie przed chwilą wraz z nimi walczył z impetem wiatru. Na próżno szukają go w całej kaplicy, przy wyjściach, w przedsionkach, w zakrystii.

Wielki egzorcysta opuścił konklawe.

Tego samego wieczoru patriarcha Abdullah Joseph Selim pojawił się u kardynała Malvezziiego, by oddać mu parę książek i przy tej okazji zatrzymać się u niego na kolacji. Długie przebywanie w zamknięciu odbiło się na zdrowiu maronity; jest coraz słabszy, ale pogodzony z losem, co budzi podziw i szacunek jego turyńskiego kolegi, sąsiada z Kaplicy Sykstyńskiej. Siedzą przy ogniu płonącym na kominku i podczas gdy monsignore Contarini zbiera naczynia po kolacji, analizują wydarzenia minionego dnia, poczynając od popołudniowego głosowania, przeprowadzonego pomimo mniejszej niż zwykle liczby elektorów.

Wielu członków Świętego Kolegium pozostało w swoich pokojach, trwając w szoku po zniknięciu jednego z najważniejszych kandydatów na papieski urząd. Na wynik głosowania bardzo wpłynęło wystąpienie kardynała z Brasilii – dwadzieścia dwa głosy padły właśnie na niego. Była to jednak tylko tymczasowa, niewielka przewaga, daleka od większości głosów, wymaganej po dwóch pierwszych turach wyborów.

Malvezzi był zaskoczony, że tego dnia, oprócz Libańczyka – od którego usłyszał kiedyś: „Skąd wiesz, co jest możliwe dla Boga?” – jeszcze jedna osoba głosowała na niego. Zdanie maronity, które tak bardzo poruszyło go przed dwoma miesiącami, nabrało teraz bardziej tragicznego i niepokojącego sensu. Zdawało się bowiem, że Pan Bóg oddalił się od swych synów, zostawiając ich samych w tak strasznych chwilach, kiedy jednego z nich, kardynała obdarzonego nadprzyrodzonymi zdolnościami, pochłonęły siły ciemności.

Czyżby Pan Wszechmogący opuścił pole walki? Konklawe, które tak często w swojej historii, z łaski Ducha Świętego, kończyło się po kilku dniach, tym razem przeciągało się boleśnie i wśród jego uczestników coraz silniejsze było wrażenie, że Bóg się wycofał.

Czyżby zwrócił się w inną stronę? Czyżby wybrał innych, by obdarzyć ich

swą łaską? Może chciał, by kto inny go reprezentował?

Poprzedniej nocy Malvezzi zastanawiał się nad biblijnym epizodem, w którym króla Saula ogarnia szaleństwo, bo zdaje sobie sprawę, że Bóg od niego odstąpił. Demon staje się panem duszy Saula, który wkrótce potem umiera. Jednak wcześniej młody Dawid został już w tajemnicy namaszczony przez Samuela na króla Izraela.

Czyżby Duch Pański opuścił Kościół jak duszę Saula? A jeżeli tak właśnie jest, to gdzie odnaleźć Dawida?

Tymi wątpliwościami Malvezzi dzieli się z maronitą, który słucha go w milczeniu, wpatrując się w ogień na kominku, podczas gdy kot ociera się o jego sutannę. Gdy Malvezzi kończy, maronita milczy jeszcze przez chwilę, po czym, wolno wymawiając słowa, mówi, że błędne jest postrzeganie świata w kategoriach opozycji: chrześcijanie z jednej strony i wrogowie Chrystusa z przeciwnej. Pan Bóg odstępuje nie tyle od swojego Kościoła, ile od połowy ludzkości, pozostając u boku przegranych, najbiedniejszych. Egoizm krzewiący się pod przykrywką postępu gospodarczego i z pozoru pozytywnego dążenia do sukcesu, który osiągnął już swoje stadium końcowe: narcyzm, jest wielkim zwycięstwem sił Zła i jednocześnie przyczyną powszechnego w najbogatszych krajach świata zachodniego uczucia pustki wewnętrznej.

Dobro żyje w milczeniu, nie ma głosu ani władzy. Żyje wśród ludzi, o których tego dnia mówił arcybiskup Brasilii, żyje w zacofanej Afryce, wśród milionów Rosjan odsuniętych na margines, ugiętych pod władzą mafii, żyje wśród narodów niedopuszczanych do negocjacji politycznych, jak Kurdowie czy Birmańczycy, żyje wśród Irańczyków pod jarzmem rządów ajatollahów. W takim świecie Kościół nie ma uprzywilejowanej pozycji, funkcjonuje w nim na tych samych prawach, co cała ludzkość. On, który przybywa z kraju dręczonego walkami religijnymi i rasowymi, ma prawo stwierdzić, że Kościół niejednokrotnie wcale nie znajduje się tam, gdzie jego oficjalne

instytucje rozbijają swoje namioty, ale po stronie przeciwnej. W jego umęczonym Libanie Pan Bóg często zmienia sztandar i występuje nie po stronie bogatych chrześcijan, ale biednych muzułmanów.

Zdziwienie Malvezziego po tym ostatnim stwierdzeniu jest niepomierne, reaguje gestem, którego gwałtowność powoduje przesunięcie do przodu fotela, na którym siedzi. Taka teza odbiera sens Objawieniu! Czego, przy takim założeniu, ma nauczać Kościół, który uważa się za strażnika prawd pochodzących bezpośrednio od Boga?

Na reakcję Malvezziego patriarcha odpowiada długim milczeniem, po czym wyraża swoje zadowolenie z faktu, iż na konklawe głosował właśnie na niego. Nikt inny nie potrafiłby równie godnie reprezentować włoskich tradycji papieżstwa i łatwiej przekonać świat o słuszności utrzymania centralnej pozycji Rzymu. Trzeba tylko odpowiedzieć sobie na pytanie, czy papieża wybiera się nadal rzeczywiście po to, by Chrystus mógł kierować ludzkimi sumieniami poprzez swego zastępcę?

Abdullah Joseph Selim zdaje sobie sprawę z tego, że wypowiedział słowa o przytłaczającym ciężarze i poczynił ogromny zamęt w duszy swego rozmówcy; nie mówi więc już nic więcej.

W świetle tego, co Malvezzi usłyszał od maronity, jego pytanie: „Skąd wiesz, co jest możliwe dla Boga?”, nabiera jeszcze innego znaczenia i podważa wszystko to, w co zawsze wierzył. W całkiem odmienny sposób tłumaczy teraz paraliż, jaki dotknął konklawe – nie jako wynik wrogiego działania złych mocy, ale jako wybór sił Dobra, które odstępują od Rzymu i odbierają mu wyłączne prawo do ich reprezentowania. Taka interpretacja doskonale zgadza się z jego refleksjami po lekturze fragmentu Biblii mówiącego o Saulu i jego opętaniu.

Zegar w gabinecie wybija godzinę dziewiątą. Patriarcha bierze do ręki laskę opartą o fotel i wstaje, by pożegnać się z przyjacielem i wrócić do swojego pokoju. Cierpi na rozedmę płuc i nie opuszcza łóżka na długo, nawet w ciągu dnia. Podchodzi do Malvezziego, obejmuje go ramionami

trzykrotnie, wschodnim zwyczajem, po czym odwraca się i opiera na ramieniu Contariniego.

Ettore Malvezzi stoi przez chwilę i patrzy na drzwi, za którymi zniknął ten człowiek o nieprzeniknionym umyśle. Potem zbliża się do okna wychodzącego na wewnętrzne podwórze i zdumiewa się na widok płatków śniegu. Po wyjątkowo ciepłym październiku i listopadzie niespodziewanie wcześniej przyszła zima. Niska temperatura w Pałacu Apostolskim utrudnia jeszcze bardziej życie na konklawe. Coraz wcześniej robi się ciemno. O czwartej po południu musi włączać lampę w gabinecie, podobnie zresztą czynią nieznani mieszkańcy pokoju naprzeciwko, z oknem o żółtych szybach, w którym świeci się potem przez całą noc. Ciepło z kominka i ze starych kaloryferów jest zbyt słabe, by przegnać wilgoć z ogromnych pomieszczeń.

A więc głos, który Selim oddaje na niego, nie jest wyrazem pełnego poparcia, oznacza jedynie uznanie konieczności kontynuowania pewnej tradycji, do której w głębi serca Libańczyk nie jest wcale przekonany. On zaś, sam pełen wątpliwości, szczególnie podczas porannej mszy, gdy cierpi katusze, bo nie zawsze widzi Boga w hostii przez siebie samego konsekrowanej, miałby się stać rzecznikiem wszystkich tych przestarzałych zasad wiary...

Wraca myślą do wystąpienia kardynała z Brasilii, które poruszyło go i przekonało. A przecież była to czysto polityczna tyrada. Na pewno nie trzeba będzie długo czekać na reakcję purpuratów północnoamerykańskich, którzy są w stałym kontakcie ze sferami rządzącymi w ich krajach. Kamerling już zdążył doświadczyć nowych, bardzo natarczywych prób wywarcia nacisku kanałami dyplomatycznymi, bez szacunku dla przepisów konklawe.

Gdy tak przygląda się płatkom śniegu, topniejącym na szybie, przejmuje go zimny dreszcz. W oknie naprzeciw pojawiają się cienie ludzi, którzy od długiego czasu nieświadomie dotrzymują mu towarzystwa, choć ich nie zna.

Jest kwadrans po dziewiątej. Jeszcze zdąży pójść do wieży Świętego Jana i rozgrzać się trochę. Spotkałby tam wielu braci, podobnie jak on wyziębionych, być może potrzebujących kogoś, z kim mogliby wymienić opinie i porozmawiać o ostatnich niewytłumaczalnych wydarzeniach.

Po wizycie Selima pozostała w nim obawa, że tak naprawdę niewielu ludzi, nawet tu, na konklawe, wyznaje jeszcze wszystkie odwieczne zasady wiary. Świat, który wraz z upadkiem bipolaryzmu politycznego stracił stałe punkty odniesienia, wydaje się zadowalać niesprecyzowanym i synkretycznym deizmem. I tego właśnie najbardziej obawiają się ludzie pokroju arcybiskupa Mediolanu.

Jest już przy drzwiach, gdy dzwoni telefon. Kusi go, żeby wyjść, nie podnosząc słuchawki. Potem jednak zmienia zamiar, bo przypomina sobie, że od ponad dziesięciu dni nie rozmawiał z nikim z rodziny.

Podnosi słuchawkę, centrala łączy go z siostrą z Bolonii.

– Dawno się nie słyszeliśmy. Jak się czujecie?

– Dobrze, Ettore. Teraz już dobrze, ale przeszliśmy trudne chwile. Nie dzwoniłam, bo nie chciałam cię martwić...

– Co się stało?

– Francesco miał wypadek, ale w sumie nic strasznego się nie stało, połamano tylko parę kości.

Milczenie na drugim końcu kabla jest dla Clary potwierdzeniem słuszności jej decyzji, żeby zawiadomić brata o wypadku dopiero po zażegnaniu niebezpieczeństwa. Jednocześnie wyczuwa – bardziej niż podczas poprzednich rozmów telefonicznych – dojmujące cierpienie brata, jedyne, jaki jej pozostał po śmierci Carla przed paru laty. Domyśla się, że życie w zamknięciu i izolacji staje się dla niego nie do zniesienia. Nie widziała się z nim od początku września, kiedy to przed rozpoczęciem konklawe przyjechała do Rzymu.

Nieruchome spojrzenie Malvezziiego utkwione jest w oświetlonym oknie z żółtymi szybami. Szok po usłyszeniu tej strasznej wiadomości, nieznacznie

tylko złagodzony informacją, że Francesco żyje, przenika jego serce do głębi i wywołuje po raz pierwszy niepohamowane pragnienie ucieczki z tego miejsca.

– Ale teraz... teraz już wszystko dobrze, prawda, Claro?

– Tak, Ettore. Ma złamaną kość udową i parę żeber, będzie musiał spędzić sporo czasu w łóżku... Kiedy wyjdiesz, będzie już znowu na nogach.

– Jeżeli wyjdę... Kto wie, czy to kiedykolwiek nastąpi!

Po raz pierwszy słyszy z ust brata takie stwierdzenie. Jest to na pewno oznaka zmęczenia i niepokoju, niezmiernie rzadka u człowieka o tak ogromnej cierpliwości, który zawsze chętnie przyjmował na swoje barki każdy ciężar, związany z funkcją.

– Jak wygląda sytuacja? Podczas ostatniej rozmowy odniosłam wrażenie, że coś zarysowuje się na horyzoncie...

– Teraz kontur zniknął, znikają też ludzie, jak duchy...

– Czytałam coś o tym w gazecie, ale minęło sporo czasu. Ktoś pod pretekstem kłopotów ze zdrowiem chciał przedwcześnie wrócić do domu...

– Nie, nie chodzi o nich... Ale zostawmy to, nie uwierzyłyabyś, gdybym ci opowiedział. Chwilami ja sam odnoszę wrażenie, że to sen, z którego nie potrafię się przebudzić. Porozmawiajmy lepiej o czymś innym... Gdzie jest teraz Francesco?

– W szpitalu. Umieściliśmy go w prywatnej klinice niedaleko Bolonii, gdzie Eugenio ma znajomych lekarzy. Musiał przejść małą operację. Ale już wszystko jest w porządku. Całymi dniami przesiadują u niego koledzy i koleżanki. Trochę się nudzi i często pyta o ciebie.

– Daj mi jego numer telefonu.

– Naturalnie. Muszę ci powiedzieć, że Francesco nosi teraz długie włosy. Wiesz, jaką wagę przywiązywał zawsze do swojego wyglądu. Teraz też, nie pozwala im sobie obciąć, czesze mu je i myje ta jego przyjaciółka.

– Ma wciąż tę samą dziewczynę?

– Tak, na imię jej Caterina. Niegłupia, wręcz przeciwnie. Zresztą poznasz

ją wkrótce. Na Boże Narodzenie Francesco będzie w domu i, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, zaprosimy ją na wigilię.

– To prawda, niedługo Boże Narodzenie... – Zamilkł na chwilę. Zrobiło mu się przykro na myśl o świętach, które spędzał zawsze wśród swoich wiernych, najpierw jako proboszcz, potem biskup pomocniczy, w końcu jako kardynał; w Wigilię zaś zawsze był z rodziną. Wcale nie jest przekonany, czy do tego czasu wyjdzie z konklawe. Byłoby to pierwsze od wielu lat Boże Narodzenie z dala od bliskich.

Cienie poruszające się za matowymi szybami zniknęły; niedługo zgasną światła, tam też będą spać. Musi się kontrolować, nie może pozwolić, by zawładnęła nim ta niszcząca siła... Siostra coś zauważyła i dlatego zrezygnowała ze swoich ironicznych komentarzy na temat kardynałów i konklawe. Światło naprzeciwko zgasło. Pies, który w niektóre dni jest spokojny, dzisiaj szczeka. Koty z jego pokoju, zaalarmowane, odwracają głowy w kierunku, skąd dochodzi szczekanie.

– Ettore, jesteś tam jeszcze? Słyszysz mnie?

– Tak, Claro, słyszę.

– Zgadzasz się więc, żebyśmy spędzili Boże Narodzenie u ciebie, z Franceskiem i jego dziewczyną?

– Ależ oczywiście, Claro...

– Nie powiem jej, żeby włożyła czarną sukienkę, w końcu to nie będzie jeszcze wizyta u papieża... – żartuje Clara. Ale ton tego żartu jest daleki od jej zwykłej ironii, znacznie ostrzejszej i bardziej uszczypliwej. Jest w jej głosie czułość i przywiązanie, co sprawia, że po raz pierwszy, od kiedy siedzi w tym zamknięciu, odkrywa przed nią swoje uczucia:

– Ach, Claro, mnie wystarczy, jak nareszcie stąd wyjdę!

– Jak nie, to ja sama tam przyjadę i wyrwę cię z tej klatki, choćbym miała walczyć z całą watykańską gwardią... – głos Clary znowu się zmienił, jest teraz gardłowy i chropawy, jak by i nad nią zawisła chmura strachu.

Już nic nie mówią. W ciszy słyszą swoje oddechy, brat i siostra. Kardynał słyszy też bicie bolońskiego dzwonu, to ten z kościoła San Domenico w sąsiedztwie Clary, wybija trzy kwadransy po dziewiątej. Ten dźwięk przenosi go do domu siostry, gdzie zawsze czeka na niego wolny pokój, nazywany przez wszystkich – trochę żartem, trochę z dumą – „pokojem kardynalskim”. I znowu powraca myśl o siostrzeńcu.

– Daj mi, proszę, numer telefonu Francesca.

– 0516 57632, możesz dzwonić, kiedy chcesz, ma jednoosobowy pokój...

– Dobrze, zadzwonię więc do niego jutro rano, po mszy, o ósmej. Przekaż mu.

– Na pewno mu przekażę. Ale ty dzwoń trochę częściej.

Jakże mógł dzwonić częściej? Jakże mógł opowiedzieć jej o kurach, kotach i sowach, mieszkających w jego pokoju, i o nowej demonstracji siły Złego, który potrafił doprowadzić do tego, że kardynałowie uciekają z konklawe, a osoby głębokiej wiary, jak patriarcha Bejrutu, zaczynają wątpić, czy ten, którego tu wybiorą, rzeczywiście będzie zastępcą Chrystusa?

Ona nie doświadcza tej atmosfery, nie rozumie, jak kusząca jest pochyła droga ku szaleństwu, które zaczyna się z wolna objawiać w zachowaniu wszystkich zamkniętych w tych murach, poczynając od młodych kapelanów, na starych kardynałach skończywszy.

Nie może jej powiedzieć, że w głębi duszy coraz bardziej przyzwyczajają się do myśli, że wyjście stąd odkładane będzie w nieskończoność. Może tak właśnie objawiają się początki obłędu: jako stopniowe godzenie się z nienormalnym stanem rzeczy, jako przyzwyczajanie, skutkiem którego walkę o wyjście z owego stanu odkłada się na później, a tymczasem staje się on dla nas coraz bardziej naturalny i do przyjęcia. Każde zło, jakie pojawia się w naszym życiu, ma w sobie tę wieloznaczność, ten element oszustwa. Tak właśnie przychodzi starość – dzień za dniem, po trochu, skrycie osłabia ciało, odbiera kolor brwiom, rozmiękcza piersi, psuje linię bioder. Choroba także używa taktyki podjazdowej: zaczyna się od słabości oporu, który

współistnieje ze zdrowiem; dzięki temu choroba może bezkarnie uderzać tam i ówdzie, otwierając sobie wyrwy w linii obrony, przez które wdrze się wcześniej czy później.

Nie, nie potrafiłby jej opowiedzieć, co przeżywa; ani jej, ani tym bardziej siostrzeńcowi. Zadzwoni do niego nazajutrz, nie zaraz, choć na pewno zdziwiło to jego siostrę. Chociaż kto wie, czy do jutra ta potrzeba szukania ratunku, to pragnienie ocalenia się nie zniknie, jak już tyle razy zdarzyło się w ubiegłych tygodniach.

– Muszę się już z tobą pożegnać, Claro, wkrótce się usłyszymy.

– Kiedy?

– Może pojutrze.

– A więc do niedzieli, Ettore. Ściskam cię.

Kardynał odkłada słuchawkę i siada na najbliższym krześle. Sowa usadowiona na karniszu firanki rzuca się w jego kierunku, by złapać nietoperza. Fruwają pióra, trzepoczą skrzydła, potem jeden gwałtowniejszy, zawirowany tumult i głucho uderzenie o podłogę. Nietoperz leży martwy, ale i sowa nie wyszła z tego bez szwanku. Malvezzi widzi, że krwawi, jedno skrzydło wisi bezwładnie; skacze niezdarnie przy swojej ofierze. I oto kot wpatruje się w nią nieruchomo, bierze ją na celownik. Kardynał wyrzuca kota za drzwi i podnosi ptaka na stół, daleko od kotów. Telefon dzwoni ponownie.

– Wujku! Kiedy zamierzasz wyjść z tej twojej kryjówki? Jeszcze ci się nie znudziła zabawa w papieża?

– Francesco... Jak się masz? Wiem, że miałeś wypadek, ale udało ci się wyjść obronną ręką, prawda?

– Jeżeli złamanie trzech żeber i kości udowej jest dla ciebie „wyjściem obronną ręką”, to tak... Czterdzieści dni nudy to długo, prawie jak twoje konklawe. Ale ty i tak jesteś lepszy. Czy wiesz, że nie widzieliśmy się od lata?

– Wiem, wiem. A czy ty zdałeś w końcu egzamin z konstrukcji?

– Miałem go zdawać dzień po wypadku. Straciłem termin. I pomyśleć, że tyle się do niego nauczyłem!

– Zobaczysz, że tego się nie zgubi. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Dostaniesz wyższą ocenę.

– Nie jestem perfekcjonistą, wystarczy mi trójka. A ty wujku, jak się czujesz? Wiele bym dał, żeby zobaczyć, jak spędzacie czas za tymi murami. Od czasu do czasu docierają do mnie wiadomości na wasz temat i szukam zawsze twojego nazwiska, ale nigdy nic o tobie nie mówią!

– Francesco, przecież ja nie jestem piłkarzem! Lepiej, jak się o mnie nie mówi... Nasze życie jest trochę rozleniwiające. Myślę, że podobnie jak twoje w szpitalu... Tutaj też nic się nie dzieje...

– I tu się mylisz! W naszym szpitalu są piękne pielęgniarki i podejrzewam, że z lekarzami...

– Takich rzeczy, Francesco, nie powinieneś opowiadać wujkowi kardynałowi, tym bardziej kiedy jest zamknięty na konklawe. Ale nie powiedziałem ci całej prawdy: my tutaj też nie narzekamy na brak rozrywek, odpowiednich dla nas, oczywiście...

– Jakie to są rozrywki, wujku?

– Bawimy się w chowanego, drogi Francesco, i czasem wychodzi nam to tak dobrze, że schowani nie odnajdują się nawet po zakończeniu zabawy. Bywa też, że tańczymy; tańczymy bez wytchnienia przez całą noc, przerywamy o świcie, wyczerpani do cna, i wtedy dopiero kładziemy się spać. Bawimy się też w iluzjonistów – wyobraź sobie, że jest wśród nas sztukmistrz, który potrafi sprawić, że cały fresk *Sądu Ostatecznego* w Kaplicy Sykstyńskiej to znika, to znów się pojawia. Spędzamy czas na przyglądaniu się walkom między zwierzętami, możemy nawet zakładać się o to, kto wygra: kury czy skorpiony, szczury czy koty, nietoperze czy sowy. Kiedy już mamy dość tej zabawy, idziemy do Kaplicy Sykstyńskiej i wybieramy papieża albo odpoczywamy w kłębach pary w łaźni tureckiej w wieży Świętego Jana. Sam powiedz, Francesco, czy brakuje nam rozrywek?

– Wujku, jesteś niesamowity! To twoje poczucie humoru... – śmiech siostrzeńca jest zaraźliwy, kardynał też śmieje się z całego serca, podczas gdy sowa ze zranionym skrzydłem wraca na karnisz firanki. Całe szczęście, że poddał się pokusie sparodiowania rzeczywistości, w której żyje. To Francesco obudził w nim tę chęć do żartów; gdyby rozmawiał z Clarą, na pewno nie byłby w takim nastroju. Zresztą siostra przerwałaby mu od razu pytaniem, czy na pewno dobrze się czuje.

– Przewielebny wujku, mogę więc być o ciebie spokojny, mile spędzasz czas i wkrótce się zobaczymy, na Boże Narodzenie.

– O niczym innym nie marzę. Na święta przywiozę wam kilka kur, wystarczy ich także na Nowy Rok. Gdybyś widział, jakie są tłusciutki!...

Francesco, nie przerywając śmiechu, żegna się i wtedy arcybiskup Turynu odnosi wrażenie, że obręcz szaleństwa coraz ciaśniej zamyka się wokół niego. Na nic próby ucieczki spod jego panowania, nie pomogły żarty, bajki, kpiny dozwolone błaznom – jedynym, którzy swoimi dowcipami, ocierającymi się nieraz o bluźnierstwo, mogą powiedzieć prawdę. Bo oni,

kardynałowie na konklawe, tym właśnie się stają: kuglarzami, błaznami, wesołkami bożymi, którzy cierpią katusze, byle tylko sprowokować Ducha Świętego do nawiedzenia ich. Są gotowi zamienić konklawe w karnawał, byle tylko Bóg im się objawił. Choćby nawet miał się ukazać z innej niż zwykle strony, niech się ukaze. Jak słońce, które zamiast na wschodzie, mogłoby wejść po zachodniej stronie nieba – byle tylko weszło.

O wpół do jedenastej wieczorem, z duszą wciąż jeszcze rozdartą niepokojem, postanawia pójść do wieży Świętego Jana. Już od progu przedsiönka łaźni widzi, bez zdziwienia, prawdziwy tłum w środku.

Z trudem znajduje wolną kabinę.

Są wszyscy: Francuzi, Niemcy, Hiszpanie, Włosi z Kurii i z diecezji, Afrykanie, Amerykanie z północnej i południowej części kontynentu... Natrafia na Matisa Paide, który zajmuje kabinę obok niego.

– Już trzech... – wzdycha, patrząc w ascetyczną twarz trapisty.

– Jakich trzech, o czym ty mówisz?

– Już trzech spośród nas odeszło, drogi Matisie. Contardi, Mascheroni i Ugamwa...

– Nie możesz mówić w ten sam sposób o śmierci tych dwóch kardynałów i zniknięciu naszego znakomitego egzorcysty. Przecież Ugamwa nie umarł!

– Jesteś tego pewien? Tak dobrze znasz się na siłach nadprzyrodzonych?

– Nie trzeba się na nich znać, by zauważyć, że nie umarł... Ale musimy się za niego modlić, pamiętaj o tym podczas twoich mszy.

Ettore Malvezzi nic nie odpowiada, zaczyna się przebierać. W uszach dźwięczy mu jeszcze śmiech Francesca i chwilami to wrażenie jest tak silne, że też ma ochotę roześmiać się, nie bacząc, czy ktoś to zauważy. W pewnej chwili nie potrafi się już powstrzymać i wybucha śmiechem.

Paide, który przed nim zmierza do łaźni, udaje, że nie zauważa tego wybuchu nieuzasadnionej euforii. Malvezzi to nie pierwszy spośród purpuratów, który w tych dniach okazuje symptomy utraty równowagi

psychicznej. Zresztą już wcześniej Paide zauważył u kardynała z Turynu wielomówność o ewidentnie nerwowym podłożu, być może jest to skutek klaustrofobii. On sam uważa, że monastyczne korzenie stawiają go w uprzywilejowanym położeniu. Może całymi dniami milczeć i obywać się bez towarzystwa, a i tak nigdy nie cierpi z powodu samotności. Bywa za to wręcz przeciwnie: często czuje się samotny, gdy przebywa z innymi ludźmi. Także z tego powodu przychodzi do sauny: by nie ulec pokusie unikania bliźnich. W tym miejscu zmuszony jest do rozmowy, do bezpośredniego kontaktu z ludźmi, zupełnie jak na jego rodzinnej wyspie, gdy był dzieckiem.

– Jak myślisz, kiedy wróci nasz wielki egzorcysta?

Wśród gęstej pary nic prawie nie widzi, ale rozpoznaje głos Malvezziiego, który widocznie ma ochotę na rozmowę. Wykorzystując zasłonę pary, nie odpowiada na to pytanie.

– Któż to może wiedzieć? Może kardynałowie z Afryki? Ich zapytaj – odpowiada zamiast Matisa głos, którego Malvezzi nie potrafi z nikim skojarzyć. Para jest dzisiaj gęstsza niż zwykle, bo w związku z opadami śniegu obsługujący łaźnię podwyższyli temperaturę.

– Dlaczego nie? Nie myśl, że się boję... Czy jest tu któryś z naszych afrykańskich braci?

Sytuacja jest niezręczna, wywoływanie afrykańskich prałatów z kłębow pary, które zapewniają wszystkim anonimowość, jest prowokacyjne i nietaktowne, sugeruje, że z racji swojego pochodzenia muszą mieć związek z ciemnymi siłami.

– Ja tu jestem.

– Kim jesteś?

– Carlo Felipe Maria Dos Angeles, z Maputo.

– Zapytam więc ciebie. Wywołasz kardynała Leopolda Alberta Ugamwę czy ja mam to zrobić?... Ugamwa, na co czekasz? Dmuchaj, dmuchaj mocno, a mur się rozstąpi!

Po tych dziwnych słowach Malvezziego zapadła długa cisza.

Matis Paide już prawie otwiera usta, by spróbować zmniejszyć napięcie wśród świadków tej sceny, kiedy spostrzega coś dziwnego.

Para szybko rzednie, temperatura się obniża. Teraz wszyscy elektorzy papieża w stroju adamowym są dobrze widoczni: jedni siedzą na ławkach, inni się przechadzają bądź opierają się o ścianę.

Na środku sali stoi arcybiskup Dar es-Salaam, Leopold Albert Ugamwa, okryty od stóp do głów swoją czarno-purpurową kardynalską sutanną.

Rozlega się śmiech, coraz głośniejszy, nieustający.

Śmieje się Ettore Malvezzi i nie może się opanować. Duchownym, którzy próbują go uspokoić, odpowiada wciąż tym samym zdaniem – że musi natychmiast zadzwonić do Francesca.

– Zadzwonić? Ależ Ettore, czy nie widzisz, że wrócił nasz Ugamwa? Przecież pragnąłeś tego! – powstrzymuje go Rabuiti, domyślając się, że z przyjacielem dzieje się coś niedobrego – Proszę was, pozwólcie mi zadzwonić do Francesca!

Kardynał z Dar es-Salaam, wzburzony i oszołomiony wychodzi z łaźni, w której tymczasem na nowo podnosi się temperatura i gęstnieje para.

Prawie wszyscy kardynałowie podążają za nim, z Malvezzim pozostają tylko Celso Rabuiti i Matis Paide.

Duchowni otaczający tanzańskiego arcybiskupa, nie pozwalają mu się oddalić. Wielu dotyka go, ściska za rękę, ale nie odważają się na razie mówić do niego i zadawać mu pytań. Tylko Malvezzi, ze swoim zmaconym umysłem, mógłby zapytać o to, co wszyscy chcieliby wiedzieć.

– Biedny Ettore, trzeba zaprowadzić go do jego pokoju – mówi stojący przy Ugamwie kardynał z Wenecji, Aldo Miceli.

– To dzięki niemu mogłem powrócić! – Słowa egzorcysty wszystkich zaskakują.

– Co to znaczy?

– Że jego dziwaczność jest pozytywna, tak jak moja magia. On wszystko

rozumie, choć inaczej niż wszyscy. Wezwał mnie, bo mnie zobaczył, wiedział, że jestem jeszcze ciągle w tych murach.

Na nowo zapada milczenie. Afrykanin narzuca im swój sposób myślenia, który nie zgadza się z ich rozumowaniem. Broniąc Malvezzi, Ugamwa naraża się na nieufność znamienitych elektorów papieża.

– Dlaczego nie chcecie tego zrozumieć? Gdyby on nie miał w sobie prostoty dziecka, nie mógłby otworzyć dla mnie przejścia i nigdy bym nie wrócił.

– Co ty mówisz? Jakże ten biedny Malvezzi może... otwierać przejścia? – powątpiewa patriarcha Wenecji.

– Nawet najwyższe mury, wzniesione przez siły zła, ustępują. Kto wie, jak dotrzeć do więźnia w nich zamkniętego i sprowokować go, by użył własnych sił i uwolnił się, może sprawić, że wszystko zamieni się w żart. I to właśnie zrobił Malvezzi, wzywając mnie do... dmuchania na mur. W ten sposób mnie uwolnił!

W tej chwili w drzwiach łaźni pojawiają się Matis Paide i, wsparty na jego ramieniu, Malvezzi. Na ustach turyńczyka zastygł ekstatyczny uśmiech.

Niepotrzebne są słowa. Ten uśmiech bez przyczyny, bez przedmiotu, bez celu, mówi sam za siebie. I przyznaje rację Ugamwie: rzeczywiście, dla tego człowieka nie istnieją prawda i kłamstwo, Zło i Dobro przestały różnić się między sobą.

Rabuiti zauważa aparat telefoniczny na półce w przedsionku i myśli, że drogi Ettore nie będzie go już potrzebował, zęby zadzwonić do Francesca. Rzeczywiście, kardynał z Turynu przechodzi obok, nie zwracając uwagi na telefon; pozwala Estończykowi prowadzić się w stronę szatni.

Ktoś prawdopodobnie zawiadomił kapelana, monsignore Contariniego, bo jego szczupła postać pokazuje się w drzwiach i natychmiast znika w szatni. Purpurat tanzański siedzi jeszcze w przedsionku, otoczony przez kardynałów. Nie chce odpowiadać na pytania na temat tego, co się wydarzyło. Opowie wszystko kamerlingowi, którego powinien był

powiadomić o swoich nadprzyrodzonych zdolnościach.

Pojawia się na nowo Ettore Malvezzi w towarzystwie swojego kapelana. Wydaje się mniej zmieszany, na ustach ma jednak ciągle ten ekstatyczny uśmiech, który pozwala odgadnąć, jaki jest jego stosunek do rzeczywistości.

Na pytanie Ugamwy o samopoczucie nic nie odpowiada, błogosławi go tylko znakiem krzyża. Gest kardynała ma w sobie dużo godności, wydaje się być świadomym, choć skierowanym gdzieś dalej niż miejsce, w którym się znajdują. Malvezzi nie ogranicza się do pobłogosławienia czarnoskórego kardynała. Ogarnąwszy wzrokiem całe pomieszczenie, kreśli znak krzyża nad głowami wszystkich purpuratów. Uroczysty nastrój błogosławieństwa udziela się obecnym i skłania ich do powtórzenia w odpowiedzi tego samego gestu.

Malvezzi powoli kieruje się do drzwi, trzymając ciągle ręce w górze, w geście błogosławieństwa. Kilku z obecnych pochyła głowy, a prałaci obsługujący łaźnię, Filipińczyk i Ugandyjczyk, przyklękają.

Dwie godziny później monsignore Contarini udaje się do kamerlinga, by zdać mu sprawę ze stanu zdrowia arcybiskupa Turynu, który odpoczywa w łóżku w swoim pokoju.

Wiadomość o tym, że Malvezzi postradał zmysły, została natychmiast przekazana kardynałowi Veronellemu przez samego Ugamwę, który jednak użył przy tym tak bardzo sugestywnych, a jednocześnie nieściślych określeń, że kamerling w końcu nie zrozumiał, co się przytrafiło turyńczykowi i czy będzie mógł uczestniczyć w wyborach konklawe.

Kamerling Świętego Kościoła Rzymskiego, choć nie przypomina sobie w historii Kościoła precedensów, na których mógłby się oprzeć, musi coś zdecydować. Purpurat tanzański nalega, żeby zaliczyć Malvezziego do grupy elektorów, wzywanych na wybory do Kaplicy Sykstyńskiej. Uważa, że jego osoba jest uświęcona i absolutnie nie może go zabraknąć w Świętym Kolegium. Ten człowiek znajduje się najbliżej Ducha Świętego.

Veronelli, którego nie przekonują słowa Ugamwy, czuje się jeszcze

bardziej niepewny, jeszcze mniej zdolny do podjęcia właściwej decyzji. A jeżeli nowy papież zostanie wybrany bez głosu Malvezziiego, chociaż ten będzie przebywał w Pałacu Apostolskim – czy w takim wypadku wybory nie mogłyby zostać unieważnione?

Kamerling wyraża tę wątpliwość, kiedy tylko zamykają się drzwi za Ugamwą, i Contarini nie wie, jak zareagować.

Ogranicza się do stwierdzenia, że przez cały ten czas, jaki minął od przywołania zaginionego Tanzańczyka, jego kardynał zachowywał się nadzwyczaj łagodnie. Kamerling zachnął się na te słowa i powiedział, że Malvezzi nie jest egzorcystą, nie wywołuje zmarłych z zaświatów ani nie wypędza demonów. Z lekka urażony Contarini odpowiada, że wcale nie jest pewny, czy na konklawe jest rzeczywiście tylko jeden egzorcysta. Kardynał z Turynu rozmawia na przykład z nieobecnymi, także ze zmarłymi, których odejście tak przygnębiło uczestników konklawe.

– Z kim? – woła Veronelli.

– Z Ich Eminencjami, kardynałem Emanuelem Contardim i kardynałem Zelindo Mascheronim. Widzi ich w swoim pokoju, tak jak my się teraz widzimy; siedzą na brzegu jego łóżka i rozmawiają z nim. Wyznał mi, że czują się bezgranicznie samotni i bardzo pragną towarzystwa, zapowiedział też, że tej nocy nie będzie spać, zęby nie zostawiać ich samych. Wygląda na to, że niektórzy umarli nigdy nie śpią i zazdroszczą żywym snu. W najgorszej sytuacji jest kardynał Mascheroni, który w związku z niejasnymi okolicznościami swojej śmierci, oczekuje na...

Przy tych słowach Veronelli przerywa kapelanowi i oznajmia mu, że Jego Eminencja kardynał Malvezzi będzie mógł wypoczywać w ciągu dnia w swoim pokoju, a jego nieobecność na konklawe zostanie usprawiedliwiona. On zaś, po głosowaniu, odwiedzi kardynała, także po to, by zobaczyć, czego potrzebuje.

Kiedy wreszcie Vladimiro Veronelli zostaje sam w pokoju, kładzie się do łóżka, gasi lampkę i długo jeszcze rozmyśla nad problemem, z którym w najbliższym czasie będzie sobie musiał poradzić. Niedawno pozbył się kłopotu z młodymi sekretarzami i kapelanami, cierpiącymi na przywidzenia, zastępując ich starszymi duchownymi, którzy nie zwykli miewać halucynacji. Jeżeli jednak chodzi o szaleńców, nie należy tolerować ich na konklawe. Jest i tak za dużo ekscentryków w tym świętym zgromadzeniu, które jego zdaniem wcale nie jest bojkotowane przez Ducha Świętego – wręcz przeciwnie, chwilami jego działanie jest wręcz nazbyt ewidentne, chociaż to prawda, że siły nieczyste też nie dają za wygraną.

Mistycy są w Kościele jak chwasty, można ich spotkać wszędzie, nawet tam, gdzie nikt by się ich nie spodziewał. Między urzędnikami Kurii Rzymskiej, którzy w sekrecie wstępują do stowarzyszenia różokrzyżowców. Między przeorami w starych opactwach, tęskniącymi za czasami templariuszy. Między dyrektorami banków w habitach, między bezkompromisowymi penitencjariuszami Bazyliki Świętego Piotra oraz między wykładowcami seminariów o tomistycznej formacji, którzy okazują się namiętными czytelnikami pism z Val Corva. Wiele jest dzieci świętego Jana od Krzyża i świętej Teresy z Avila, niewielu spadkobierców ma święty Albert Wielki, święty Tomasz z Akwinu czy święty Robert Bellarmin.

Oby się tylko nie rozniosło poza konklawe, że jest wśród nich ktoś taki jak Malvezzi! Armia mistyków zrobiłaby wszystko, żeby tylko dopuszczono go do głosu. Trzeba okazać stanowczość. Wybór papieża, poza aktem wiary, jest konkretnym działaniem o określonym celu. Konklawe jest machiną puszczoną w ruch, by wyłonić najlepszego papieża na jak najdłuższy czas. Tu nie ma miejsca na emocje. Uczucia rządziły aż za długo, teraz należy zwrócić się do rozumu. Kant, ulubiony filozof kamerlinga, raz na zawsze oddzielił sferę rozumu od sfery wiary, stwierdziwszy, że oba te terytoria są odgraniczone od siebie wysoką barierą, która uniemożliwia mieszanie jednego z drugim. Fenomen i noumenon nigdy się nie stykają i dzięki tej

niezależności obydwu te pojęcia pomagają ludziom w poszukiwaniu prawdy o ich kondycji.

Ettore Malvezzi był dla niego zawsze źródłem kłopotów. Biedny człowiek, z tym swoim rzadkim darem gmatwania najprostszych spraw! Teraz jego niespodziewane szaleństwo bardzo pogorszyło sytuację. Egzorcysta i szaleniec to prawdopodobnie dwie strony tej samej monety.

Nic dziwnego, że Ugamwa i Malvezzi od razu przypadli sobie do gustu, jak mógł wywnioskować z niedawnych, wzruszonych i serdecznych, słów egzorcysty. Nie tylko grupa afrykańska opowiada się za świętością – jej zwolenników będzie coraz więcej. Bowiem mistycy – albo raczej ludzie słabi, którzy potrzebują cudów, by potwierdzić swoją wiarę – są licznie reprezentowani wśród kardynałów na konklawe, niezależnie od ich narodowości. Są nawet wśród purpuratów z Ameryki Południowej, najbardziej upolitycznionych w Świętym Kolegium.

Wiadomo na przykład, że arcybiskup San Juan de Puerto Rico odprawia dziwne obrzędy pogrzebowe, które wzbudziły już podejrzenia w Kurii Rzymskiej. Wiadomo też, że kardynał z Medellin zezwala na odprawianie podczas mszy świętej tańców rytualnych w różnych intencjach wiernych.

Nie ulega wątpliwości, że jeżeli wskutek wszechwiedzy Malvezziego rozniesie się prawda o śmierci kardynała Mascheroniego, pojawią się poważne kłopoty. Jak on się o tym dowiedział? Może to jednak prawda, że w zamian za jasność rozumowania został obdarzony charyzmatem? Tak czy inaczej, to nie wystarczy, by ogłosić go świętym, a już na pewno nie wystarczy, by go dopuścić do głosowania.

Święci są zawsze niebezpieczni. Miał rację Cerini, mówiąc, że z uznaniem świętości należy poczekać do śmierci i dopiero potem oddawać jej cześć. Nic nie szkodzi, jeżeli święci znajdują za życia przeszkody na swojej drodze. W ten sposób ich cnoty poddawane są stałym próbom i łatwiej im wejść do Królestwa Niebieskiego. Jeśli zbyt pośpieszyć się z wyniesieniem ich na ołtarze, przydarzyć się może to samo, co błogosławionej Łucji z Narni.

Książę Ferrary, który zapewnił sobie jej obecność w swoim mieście, płacąc za to wysoką cenę jej braciom, rozsyłał chusteczki przesiąknięte krwią z jej stygmatów do pobożnych władców połowy Europy. Jednakże któregoś dnia stygmaty zamknęły się, a biedna Łucja żyła o wiele dłużej od swojej sławy, zamknięta w klasztorze, zapomniana przez wszystkich...

Kiedy kamerling Świętego Kościoła Rzymskiego w asyście dwóch skrutatorów, wylosowanych tego ranka, arcybiskupa Kolonii i arcybiskupa większego obrządku syro-malabarskiego, zaczyna odczytywać karty wyborcze z pierwszego w tym dniu głosowania, od razu widać, że coś znowu odblokowało maszynę konklawe.

Nazwiska się powtarzają: Leopold Albert Ugamwa, Leopold Albert Ugamwa, Leopold Albert Ugamwa, Jose Maria Resende Costa, Jose Maria Resende Costa, Ettore Malvezzi, Ettore Malvezzi, Ettore Malvezzi... Poza nimi pojawiają się mniej eksponowane nazwiska Alfonsa Ceriniego i Wolframa Stelipyna, z niewidoma wskazaniem. Przy stu dwudziestu czterech elektorach, pod nieobecność kardynała Malvezzi, rozproszenie głosów zmniejszyło się nareszcie.

Afrykanin, polityk i święty – Veronelli stwierdza, że purpuraci postawili na te trzy typy, podczas gdy drugi Włoch i kardynał ze wschodniej Europy tracą pozycję. Fakt, że Malvezzi był nieobecny na głosowaniu, do czego sam kamerling go zmusił, nie przeszkodził, żeby aż trzydziestu siedmiu kardynałów oddało na niego swój głos. Nie można już dłużej trzymać turyńczyka w odosobnieniu, tym bardziej że ze stuprocentową dokładnością sprawdziła się jego poranna przepowiednia. Usłyszał o niej przez telefon od Contariniego, godzinę przed posiedzeniem konklawe:

- Jego Eminencja arcybiskup Turynu czuje się bardzo dobrze, Eminencjo.
- Czy dobrze spał? Albo może dalej prowadził te... rozmowy?
- Jakie rozmowy?
- Ze zmarłymi, których kardynał widział przy swoim łóżku...
- Ach, rozumiem, Eminencjo. Tak, przez całą noc dotrzymywali sobie towarzystwa. Powiedział mi, że dopiero o świcie odeszli, litując się nad jego zmęczeniem. Ale kardynałowi wystarczyło tylko parę godzin snu; odprawił już mszę świętą.

– Czy potrzebuje czegoś?

– Nie, teraz siedzi w fotelu przy oknie i czyta brewiarz. Nalegał tylko, żeby spełniono jedną jego prośbę.

– Jaką, księżę Contarini?

– Prosił, żeby te trzydzieści siedem głosów, jakie dzisiaj rano Święte Kolegium odda na niego, przekazać podczas popołudniowych wyborów na bardziej godnych kandydatów.

Veronelli nie skomentował wtedy tej przepowiedni. Ostrożność podpowiedziała mu, by nie wchodzić w zbyt dużą konfidencję z tym kapłanem, który poznał prawdę o okolicznościach śmierci Zelinda Mascheroniego i zdawał się czerpać przyjemność z utrzymywania kamerlinga w niepewności, czy zrobi z tego użytek.

Teraz, kiedy obliczanie głosów jest zakończone i kiedy okazało się, że elektorzy nie tylko nie zapomnieli o Malvezzim, ale że oddano na niego dokładnie trzydzieści siedem głosów, gratuluje sobie, iż nie zdradził się przed Contarinim ze swoich sceptycznych myśli.

Ogłasza oficjalne wyniki głosowania, odczytując je z protokołu podanego mu przez kardynała z Kolonii:

– Jego Eminencja kardynał arcybiskup Dar es-Salaam otrzymał czterdzieści głosów. Jego Eminencja kardynał arcybiskup Brazylii, Jose Maria Resende Costa, trzydzieści osiem, Jego Eminencja kardynał arcybiskup Turynu, Ettore Malvezzi, otrzymał trzydzieści siedem głosów, Jego Eminencja kardynał arcybiskup Mediolanu, Alfonso Cerini, pięć, a Jego Eminencja kardynał arcybiskup większy Lwowa, Wolfram Stelipyn cztery głosy. Ponieważ także podczas tego głosowania żaden kandydat nie osiągnął wymaganej większości, która dzisiaj wynosiła sześćdziesiąt trzy głosy, po południu, o godzinie szesnastej odbędą się następne wybory. Dziękuję wszystkim i proszę o modlitwę do naszego Pana Wszechmogącego, by wybór papieża, który wydaje się coraz bliższy, nastąpił z natchnienia Ducha Świętego...

Wszyscy zauważają, że kamerling jest bardzo podekscytowany – nigdy dotąd nie wystąpił z komentarzem po głosowaniu. Tym razem pozwolił sobie na wyrażenie nadziei na bliską elekcję. Innym objawem jego niezwykłego stanu psychicznego jest fakt, że choć zawsze zwraca tak wielką uwagę na regulamin i procedurę, nie wniósł sprzeciwu wobec głosów oddanych na kardynała nieobecnego w Kaplicy Sykstyńskiej. Trzeba jednak pamiętać, że arcybiskup Turynu jest obecny na konklawe, tyle tylko, że tymczasowo nie może głosować.

Ta właśnie „tymczasowość” sytuacji Malvezziiego jest głównym tematem komentarzy i ożywionych dyskusji kardynałów, którzy zbierają się w porze obiadowej w gabinetach niektórych purpuratów, jak Rabuiti, Stelipyn, Cerini, Shaouguan z Szanghaju, Bradstreet z Toronto, Dos Angeles z Maputo i Winnipeg z Nowego Jorku.

Czy stan kardynała Malvezziiego rzeczywiście uniemożliwia mu głosowanie? Jak to możliwe, że arcybiskup Turynu, nie mogąc głosować, jednocześnie spełnia warunki, by zostać wybranym na papieski urząd – warunki określone w konstytucji Sykstusa V, ustalającej zasady przeprowadzania konklawe? Największy przeciwnik ewentualnego wyboru Malvezziiego, Alfonso Cerini, nie waha się zasugerować, że jest w tym jakieś oszustwo. Jego zdaniem Malvezzi – mistrz krętactwa, niezdolny do wzięcia na siebie bezpośredniej odpowiedzialności – po mistrzowsku udaje obłąkanie, by skupić na swojej kandydaturze uwagę tych elektorów, którzy całkiem stracili zdolność rozumowania.

Aldo Miceli, patriarcha Wenecji, reaguje na tę insynuację surową reprimendą:

– Powinieneś się wstydzić, Alfonso! Dobrze wiesz, że Malvezzi nigdy by tego nie zrobił. Nasze podejrzenia, że głosował na samego siebie, też okazały się bezpodstawne; jak wiemy, to patriarcha maronicki oddawał zawsze na niego swój głos.

W gabinecie Rabuitiego dyskusja też osiągnęła wysoką temperaturę.

Tematem dominującym przy stole Sycylijczyka nie jest jednak osoba Malvezziiego, ale afrykański egzorcysta. Wszyscy starają się znaleźć odpowiedź na pytanie, jakim przewodnikiem Kościoła byłby czarnoskóry papież, który ma kontakty z demonami. Groza zniknięcia fresku Michała Anioła, zdaniem większości zebranych, którzy są Włochami, a w każdym razie Europejczykami, nie usprawiedliwia uciekania się do pomocy egzorcysty. Purpurat z Londynu, Paul Linn, kilka lat wcześniej gościł w swojej diecezji Ugamwę, kiedy ten nie był jeszcze kardynałem. Musi teraz odpowiadać na pytania zebranych.

– Tak, to prawda. Nawet w Londynie, mieście, w którym pewne zachowania wydają się szczególnie nie na miejscu, monsignore Ugamwa nie rezygnował z korzystania ze swoich nadprzyrodzonych zdolności. Mnóstwo ludzi szukało u niego pomocy i często musiałem interweniować, by go od nich uwolnić... by nas wszystkich od nich uwolnić...

To stwierdzenie wywołało prawdziwą burzę pytań. Purpurat z Westminsteru stara się zaspokoić ciekawość braci, precyzując przy tym:

– Należy oddać mu sprawiedliwość i uznać wielkie zasługi Ugamwy. Dzięki swojemu darowi jasnowidzenia udało mu się ocalić tysiące istnień ludzkich. Niech wam wystarczy opowieść, jak Ugamwa zażegnał niebezpieczeństwo zderzenia dwóch pociągów, jadących z ogromną prędkością na peryferiach Londynu. Odprawiał akurat mszę świętą, kiedy kilkakrotnie usłyszał przeraźliwy gwizd. Okazało się, że w całej kurii arcybiskupiej nikt oprócz niego nie słyszał tego dźwięku, zrozumiał więc, że była to wiadomość skierowana tylko do niego i że ma ona coś wspólnego z pociągiem. Kiedy tylko to sobie uświadomił, zobaczył wszystko wyraźnie: pędzący pociąg i zielony semafor, który wkrótce dałby sygnał wolnego przejazdu składowi z Liverpoolu, zamiast zatrzymać go czerwonym kolorem i przepuścić pośpieszny z Kornwalii. Natychmiast przybiegł do mnie i zmusił mnie, żebym zadzwonił, wykorzystując moją pozycję katolickiego prymasa, bezpośrednio do ministra kolejnictwa. Ten natychmiast sprawdził

sytuację i dzięki temu udało się uniknąć potwornej katastrofy.

Siostry pochodzące ze strefy Sahelu, które pracują w kuchni Pałacu Apostolskiego, przygotowały smaczną zupę rybną i podczas gdy potrawa ta podawana jest do stołu, głos zabiera arcybiskup Budapesztu, Vilmos Apponyi. Stwierdza, że gdyby taka osoba kierowała Kościołem, zaszkodziłaby wartościom duchowym chrześcijaństwa. Nikomu nie wystarczyłby już dar wiary, wszyscy żądaliby nadzwyczajnych dowodów na istnienie Boga. Cuda nie byłyby już owocem bezgranicznej ufności w Bogu, ale warunkiem wymaganym, aby tę ufność wzbudzić. Należy przeciwdziałać zgubnej tendencji do pomniejszania znaczenia jedynie prawdziwego źródła Objawienia, jakim jest Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu. Ta tendencja wiąże się z rosnącym zainteresowaniem pośrednimi formami Objawienia, jak tajemnice fatimskie, listy jasnowidzów, ukazanie się Matki Boskiej w Medjugorje czy wizje z Val Corvy. Podważają one fundamenty wiary chrześcijańskiej i zastępują Słowo Boże tajemnicami, do których zostali dopuszczeni tylko niektórzy...

Podczas gdy węgierski kardynał rozwodzi się nad nadprzyrodzonymi zdolnościami, jakimi obdarzeni zostali niektórzy ludzie, zakonnik podający do stołu potrawy, przygotowane przez siostry, potyka się o koty, które zbiegły się wokół stołu, przywołane zapachem zupy rybnej. Talerze wraz z ich dymiącą zawartością lądują na podłodze, a dziesiątki kotów rzucają się na gotowaną rybę. Ale ledwie pierwszy z nich, tłusty rudy kocur, wbija zęby w apetyczną solę, wypluwa ją natychmiast, skacze wysoko, prychnie i wściekle miauczy. W jednej chwili alarm roznosi się wśród wszystkich kotów, które uciekają od ryb; podobnie zresztą jak kury, które na domiar złego zaczynają tak głośno gdakać, że zagłuszają głosy kardynałów.

Ta scena wydaje się purpuratom niesamowicie zabawna, bo wybuchają głośnym śmiechem, którego intensywność rośnie w miarę, jak, łyżka za łyżką, raczą się rybną zupą. Afrykański zakonnik, ten, który podał potrawę do stołu, a teraz obserwuje niezwykle zachowanie Ich Eminencji, dowie się

później, że kardynałowie zebrani przy innych stołach reagowali podobnie. Co dziwniejsze, po kwadransie śmiechy biesiadników nie wydają się ani trochę słabnąć – a przecież tak niedawno w najwyższym skupieniu i z największą powagą słuchali wywodów prymasa Węgier. Natomiast zwierzęta, kierując się instynktem silniejszym od głodu, wystraszone czymś okropnie, starają się za wszelką cenę wymknąć z pomieszczenia.

Zakonnik z afrykańskiego Sahelu, Adam Mandumi, otwiera drzwi, żeby wypuścić zwierzaki, mając nadzieję, że wpłynie to na uspokojenie bezceremonialnego nastroju, stanowiącego taki dysonans wobec jego wyobrażeń o dostojności kardynałów.

Ich Eminencje, którzy ze smakiem konsumują zupę rybną, nie potrafią się opanować i zrywają boki ze śmiechu; niektórzy omal nie wywichnęli sobie szczęk. Co jakiś czas milkną na moment dla nabrania oddechu i zaraz potem na nowo wybuchają kaskadami śmiechu. Chwilami brzmi to jak radosny śpiew, cały w trelach, sięgający najwyższych dźwięków.

Adam Mandumi jako pierwszy zaczyna podejrzewać, że zupa rybna, przyrządzona przez zakonnice w kuchni Pałacu Apostolskiego, ma coś wspólnego z tą epidemią śmiechu. Nie chce jednak dzielić się z nikim swoimi domysłami. Dopiero kiedy wychodzi na korytarz i tam od braci, którzy obsługiwali innych kardynałów, dowiaduje się, że i oni zareagowali frenetycznym śmiechem na pierwsze danie, pyta, czy także pozostałym Eminencjom podano zupę rybną, dostarczoną kuchenną windą.

– Tak podaliśmy tę właśnie zupę.

– A czy przypadkiem jej nie spróbowaliście?

– Skądże znowu! Czy ty sobie wyobrażasz, że jemy potrawy przygotowane dla kardynałów?!

– Na miłość boską, nie bierzcie tego do ust i natychmiast przekażcie do kuchni, żeby wstrzymano podawanie zupy do stołów!

Próbują protestować, ale po chwili zastosowują się do jego polecenia. Wkrótce jednak okazuje się, że jest już za późno: zupę podano na wszystkie

stoły i została skonsumowana do ostatniej łyżki. Wszędzie rozbrzmiewają salwy śmiechu Ich Eminencji, którzy nie potrafią już nawet mówić, czerwoni z wesołości.

Co robić? Należy jak najszybciej dowiedzieć się w kuchni, kto rzucił urok na tę przeklętą miksturę, która u kotów wywołała strach i nudności, u kur niezaspokojone pragnienie, choć w kilka minut wypróżniły wszystkie kubelki z wodą, u kardynałów zaś wywołała nieopanowaną chęć do śmiechu.

W kuchni brat Adam zastaje zakonnice przy rozkładaniu drugiego dania na talerzach. Na każdym leżą już po dwie sole po młynarsku, z ziemniakami i ręcznie ukręconym majonezem. Siostrzyczki śpiewają przy pracy i nie od razu zauważają obecność przybysza.

– Co ugotowałyście kardynałom? – przerywa im ostro brat Adam.

– Jak to co? Ryby! Dzisiaj jest piątek, przestrzegamy postu, zgodnie z zarządzeniem prefekta Domu Papieskiego – odpowiada ze zdziwieniem jedna z zakonnice.

– Wiem aż za dobrze, że przyrządziłyście ryby! Ale co, u licha, dodałyście do tych ryb?

– Jak to: co dodałyśmy? Ryby były świeżutkie, prosto z Ostii, z porannego połowu. Proszę spojrzeć: płaszczyki, dorady, nagłady, sole... Czy brat chce spróbować?

– Na miłość boską, nie chcę niczego próbować! Ci, którzy zjedli tę waszą przeklętą zupę od godziny śmieją się i śpiewają, i nie potrafią się opanować! Co wrzuciłyście do garnka?

Na słowa Adama o niepowstrzymanym śmiechu i śpiewie jedna z zakonnice, siostra Elizabeth, wygasza ogień pod garnkiem.

– To ja przyrządziłam tę zupę... – mówi powoli, jakby pogrążona w myślach. Przypomina sobie, że śpiewała przez cały ranek przy czyszczeniu i gotowaniu ryb. Były to melodie z jej wioski, te, które tam się śpiewało, żeby sprowadzić deszcz czy odwrócić zły urok... Te, które śpiewało się w nocy

przy ognisku, by przezwyciężyć lęk, że słońce już nigdy nie wzejdzie... Śpiewała też pieśń najpiękniejszą ze wszystkich, jej ulubioną, tę, którą czarownik kazał śpiewać małym dziewczynkom: ła la la, laaa, la la la, laaa, la la, laaa... Rozśmieszała starców, którzy nie chcieli już jeść, bo czekali na śmierć; przy tej pieśni zaczęli śmiać się i jeść z apetytem, śmiali się i jedli do granic wytrzymałości... la la la, laaa, la la la, laaa, la la, laaa... I ona tę właśnie melodię śpiewała, gdy gotowała zupę dla starych kardynałów!

Mała siostrzyczka z Sahelu, teraz ze łzami w oczach, bezskutecznie usiłuje sobie przypomnieć, jak czarownik z jej wioski zdejmował urok ze starców po całej nocy śmiechu i śpiewów, wywołanych pieśnią dziewczynek. Nagle podskoczyła i podbiegła na nowo do talerzy.

– Już wiem! Nie musicie się martwić. Wystarczy, że po solach podamy Ich Eminencjom owoce awokado: to zatrzyma ich chęć do śmiechu. Należy tylko mieć nadzieję, że wszyscy je zjedzą. Teraz już wiem, co muszę zrobić. Niech brat stąd wyjdzie, bo nie potrafię pracować w kuchni, gdy obcy patrzą mi na ręce.

– Niech siostra uważa, żeby się znowu nie pomylić. Poczekam na talerze i włożę je potem do windy.

Siostra osiąga swój cel. Może nuci sobie przy pracy jakąś melodię, która odczynia urok, może odnalazła w pamięci zaklęcie używane przez czarownika, by uspokoić starych wesołków z jej wioski.

Na wszystkich stołach pojawia się awokado. Kardynałowie są już wyczerpani obłąkańczym śmiechem, który nie ogranicza ich świadomości, a tylko zdolność panowania nad sobą. Niektórzy z początku rezygnują z egzotycznego owocu, bo jego smak jest zbyt obcy gustom nieprzyzwyczajonych. Zaraz jednak, widząc, że awokado uspokaja dionizyjny szal braci purpuratów, zdają sobie sprawę z jego wartości i zjadają owoc bez ociągania. Kiedy już wszyscy posmakowali tego remedium, w całym Pałacu Apostolskim zapada nienaturalna cisza.

Śmiali się przez trzy godziny. Ettore Malvezzi ze swojego pokoju, w

którym pożywiał się kanapkami przygotowanymi przez Contariniego, słyszał dobrze, że arcybiskupi z Wiednia, Warszawy i Pragi śmiali się najdłużej...

Kardynał kamerling odwiedza arcybiskupa Turynu pod koniec kolejnego dnia, w którym głosowanie nie dało pożądanego rezultatu. Nawiedzanie chorych jest jednym z siedmiu aktów miłosierdzia. Purpurat z Kurii Rzymskiej nie czuje jednak w sobie ducha miłosierdzia, gdy przekracza próg pokoju kardynała. Malvezzi w ostatnich dniach otrzymał dużo głosów: trzydzieści siedem przedwczoraj, bezpośrednio przed kolejnym wybuchem szaleństwa, wynikłym z lekkomyślności nierozważnej siostry, małej czarownicy; trzydzieści siedem także w następnych głosowaniach.

Gorączka, spowodowana utrzymującymi się zmianami chorobowymi w tym jednolitym ciele, jakim jest Święte Kolegium, nie ustępuje, co można odczytać z rozkładu oddanych głosów – podobnie jak poziom podwyższonej temperatury odczytuje się na termometrze. Gorączka nie spada i trudno wyobrazić sobie, co mogłoby odwrócić groźbę wyboru Malvezziego na papieża: chyba uzyskanie od niego oficjalnej rezygnacji z kandydowania.

Niełatwo jednak dojść do porozumienia z człowiekiem, który rozmawia ze zmarłymi, przewiduje przyszłość i – od kiedy w łaźni tureckiej wywołał z zaświatów kardynała Ugamwę – bez przerwy czyta w milczeniu.

Wiadomo, że Malvezzi przerywa lekturę tylko na czas swoich skromnych posiłków i karmienia zwierząt, które przebywają w jego mieszkaniu. Należy do nielicznych purpuratów, którzy uniknęli obłąkańczego śmiechu, bo nie jadł potraw przyrządzonych przez tę małą czarownicę z Sahelu... Dzięki swej wstrzeźliwości po raz kolejny zademonstrował zdolność przewidywania przyszłości.

Krótko przed tymi wydarzeniami życie kamerlinga skomplikował dodatkowo telefon z Kwirynału. W pierwszej chwili chciał odmówić rozmowy, ale zwyciężyło w nim poczucie obowiązku.

Musiał wysłuchać upomnień szefa państwa, który wyraził zaniepokojenie narodu włoskiego przedłużającą się zwłoką w wyborze nowego biskupa

Rzymu. Veronelli z jednej strony ucieszył się z tego przejawu zainteresowania na tak wysokim szczeblu, kontrastującego z rosnącą obojętnością prasy wobec konklawe, z drugiej jednak strony odebrał rozmowę jako bezprawną ingerencję. Nie dał jednak tego po sobie poznać. Opóźnienia tłumaczył trudnościami w osiągnięciu stabilności relacji w Kolegium Kardynalskim, ale kłopoty te są na najlepszej drodze ku rozwiązaniu. Ta rozmowa była arcydziełem dyplomacji i dużo go kosztowała, lecz jako rekompensatę dała mu okazję do małego odwetu na żonie szefa państwa, pani Ginie.

Kapelan Kwirynału powiadomił niedawno Veronellogo, że małżonka prezydenta z okazji pierwszego spotkania z nowym papieżem zamierza włożyć białą suknię, choć z dawien dawna przywilej ten jest zarezerwowany dla katolickich królowych Hiszpanii i Belgii oraz dla księżnych Luksemburga i Monako. Tak więc, kiedy szef państwa przekazał pod koniec rozmowy słuchawkę swojej żonie i pani Gina Tarallo Salviati wyraziła najszczęsze życzenia natchnionej pracy, za całą odpowiedź usłyszała tylko suche „dziękuję”, co nieprzyjemnie ją zaskoczyło. Pani Giną nie dała jednak za wygraną i, chcąc usłyszeć przyjaźniejsze słowa z ust kardynała kamerlinga, dodała, że pragnęłaby przyjąć u siebie na kolacji włoskich członków Świętego Kolegium, jak tylko zakończy się konklawe, chociaż kuchnia Kwirynału nie jest bez wad...

Na te słowa odezwała się w Veronellim słynna toskańska złośliwość. Zmienił ton na słodko-przypochlebny i zaproponował wypożyczenie Kwirynałowi kilku zagranicznych kucharek, które dokonały prawdziwych cudów podczas tych niekończących się dni konklawe. Pani Gina z całego serca podziękowała za tę uprzejmość, jaką Watykan jest skłonny wyświadczyć Kwirynałowi.

– Eminencjo, proszę jak najszybciej przysłać mi te kucharki! Skąd one pochodzą?

– Z Afryki, droga pani, to czarnoskóre zakonnice z Sahelu...

Gdyby wszystko było tak łatwe jak zadrwienie sobie z próżności! Ale jak ma przekonać szaleńca?

Kamerling wchodzi do pokoju kardynała Malvezziiego w towarzystwie wychudłego Contariniego, od którego bije intensywniejszy niż kiedykolwiek zapach tytoniu.

Arcybiskup Turynu wygląda tak anielsko łagodnie, że trudno odgadnąć, czy jego zdrowie rzeczywiście szwankuje.

Wygląda jak uczony teolog, pochłonięty głęboką refleksją. Jak święty Hieronim z lwem u stóp, zastąpionym w tym przypadku kotami, kurami i sowami, albo też święty Karol Boromeusz, który przy wieczerzy, składającej się z kawałka suchego chleba i kubka wody, obmyśla homilię do wygłoszenia w mediolańskiej katedrze... Nie widać już na jego twarzy napięcia i niepokoju. Malvezzi, kiedy tylko zauważa jego obecność w pokoju, podnosi się powoli i odkłada książkę na stół. Uśmiecha się do Veronellogo i zaprasza na jeden z foteli przy kominku, po przeciwnej stronie pokoju. Pyta, czy może go czymś poczęstować, ale uprzedza, że do picia ma tylko wodę.

– Niech będzie woda, Ettore... woda...

– ...Mineralna, oczywiście.

– Miło tu u ciebie. Kominek ciągnie lepiej niż u mnie. Wiesz, miałem niedawno telefon od osoby na bardzo eksponowanym stanowisku, która bardzo ubolewała nad naszą opieszałością. Osoba ta wyraziła obawę, że będzie to miało zgubny wpływ na stosunki między państwem włoskim a Kościołem, przewiduje spore komplikacje. Co ty o tym myślisz?

– Dlaczego nie mówisz, że zadzwonił do ciebie prezydent Republiki? Chcesz wystawić mnie na próbę?

– Wystawić na próbę? Przy wszystkich kłopotach, jakie mam, drogi Ettore... Zresztą ty też mi ich przysporzyłeś... Bardzo nas wystraszyłeś. Mógłbyś mi pomóc...

– Wiem tyle samo, co ty.

– Prawdę mówiąc, robisz wrażenie, jakbyś wiedział o wiele więcej. Na przykład parę dni temu, długo przed głosowaniem, powiadomiłeś mnie, że otrzymasz trzydzieści siedem głosów. I to się dokładnie sprawdziło, drogi Ettore.

– Zostało mi to objawione po to tylko, bym miał argument dla poparcia mojej prośby.

– Jakiej prośby?

– Tej, by przekazać innej osobie głosy oddane na mnie.

– Wszyscy na konklawe dowiedzieli się o tym, ale potraktowali to jako przykładową skromność, jeszcze jeden powód, by na ciebie właśnie głosować.

– Nie możesz mieć o to do mnie pretensji.

– Czy ciągle jeszcze chcesz się wycofać?

– Bardziej niż kiedykolwiek.

Kamerling oddycha z ulgą – udało mu się sprowokować Malvezziego do tej deklaracji. Teraz już będzie łatwo otrzymać od niego formalne oświadczenie, potrzebny jest tylko takt i dyplomacja. Tymczasem pije wodę podaną przez Contariniego i obserwuje zwierzęta obecne w pokoju, których odór uderzył go już od drzwi. Co prawda przyzwyczał się już do zapachu kurnika, panującego w Kaplicy Sykstyńskiej i w innych pomieszczeniach pałacu, ale fetor w pokoju Malvezziego jest nie do zniesienia. Dziwi go tylko, że arcybiskup Turynu wydaje się zupełnie tego nie zauważać.

Veronelli jak najwolniej kończy szklankę wody, nie przestając obserwować zwierząt. Koty i kury usadowiły się w półkolu, oczy zwrócone mają na swojego pana. Ich bezruch jest mylący, bo kiedy tylko zauważają nawet najśłabszy jego ruch, stają się czujne, jakby nie chciały ani na chwilę zostawić go samego. Jeszcze osobliwiej zachowują się sowy, które pozostają wprawdzie w bezpiecznej odległości od kotów, ale jednocześnie jak najbliżej Malvezziego, nad jego głową, uczipione pazurami stiuków między sufitem a ścianami. Najdziwniejsze jest to, że zwierzęta zachowują się, jakby ich zadaniem było bronić swego pana; dwa razy podczas rozmowy Veronelli

dotknął ręką Malvezziiego i od razu koty zaczęły prychać, kury dziobać buty kamerlinga, a sowy trzepotać skrzydłami.

– Co myślisz o innych kandydatach?

– Bardzo się różnią między sobą.

– Wiem.

– Nie wydaje mi się, żeby któryś z nich mógł wygrać... jeżeli właśnie o to chciałeś mnie zapytać.

– No to jak się to skończy?

– Nie wiem. Mascheroni i Contardi też nie potrafili powiedzieć, jak skończy się konklawe.

– Ach... naprawdę? Czy to od nich dowiedziałeś się, że otrzymasz trzydzieści siedem głosów?

– Nie pamiętam.

– Jasnowidzowie też mają swoją rzekę Lete...

– Jest jednak pewna prawda, którą możemy poznać na podstawie tego, co przytrafiło się biednemu Mascheroniemu...

– O śmierci tego nieszczęśnika porozmawiamy później. Teraz powiedz mi, jaką prawdę masz na myśli.

– Nie jest odległy dzień, w którym papieżem zostanie kobieta.

Veronelli otwiera szeroko oczy ze zdumienia i zrywa się z fotela.

Koty, w reakcji na ten gwałtowny ruch, gotowe są rzucić się na kamerlinga, ale Malvezzi natychmiast je uspokaja.

– Ta jego tragiczna maska na łożu śmierci, którą ty postarałeś się zniszczyć, miała również i takie znaczenie.

– Czy uważasz, Ettore, że nie powinienem był jej zniszczyć?

– Nie o to chodzi. Musimy postarać się właściwie zrozumieć sens tej śmierci. Widzisz, moim zdaniem najbardziej tragiczne żniwo wśród ludzkości, tragiczniejsze niż wojny, zbiera zbyt powolne działanie historii. Ilu ludzi zostało zabitych albo choćby skazanych czy wyrzuconych na margines społeczeństwa zgodnie z obowiązującym prawem, które po jakimś

czasie zostało uznane za niewłaściwe! Zresztą my, sprawujący urzędy kościelne, jesteśmy mistrzami w spowalnianiu historii. Zelindo Mascheroni zapłacił własną śmiercią za świadomość, że on, hamulcowy maszyny czasów, odczuwa te same pragnienia co ci, których jako prefekt Kongregacji Nauki Wiary musiał piętnować jako grzeszników...

– Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć...

– Bo jako przykład dałem ci nieszczęśnika należącego do naszych czasów i do naszego życia. Ale gdybym zaczął mówić o Husie, Giordanie Brunie, Galileuszu, Campanelli, o Żydach skazanych za bogobójstwo, o albigensach, o procesach heretyków, torturach i o paleniu na stosie czarownic, od razu pojąłbyś, o czym mówię.

– Mogę zgodzić się z tobą co do pewnych spraw, za które ponosimy odpowiedzialność i za które zresztą już przeprosiliśmy. Nie mogę się jednak zgodzić, kiedy twierdzisz, że wkrótce papieżem zostanie kobieta. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz? To wbrew prawu ustanowionemu przez Chrystusa! Nasz Pan nie wybrał ani jednej kobiety na apostoła!

– Mógłbym ci odpowiedzieć, że także ten fakt był konsekwencją zbyt wolnego biegu historii, a Jezus jest nie tylko Bogiem, ale był też człowiekiem. W ówczesnym społeczeństwie, żyjąc między Żydami, nie mógł postąpić inaczej. Byłoby to wbrew zwyczajom tamtej epoki.

– Kimże my jesteśmy, żeby obalać tradycję trwającą dwa tysiące lat?

– Jesteśmy tymi, którzy nie potrafią wybrać papieża, bo nie są dostatecznie dalekowzroczni.

– A wszystko to dlatego, że nie mamy odwagi dopuścić kobiet do kapłaństwa i papiestwa?

– Ty to powiedziałeś, nie ja.

Kamerling jest głęboko poruszony. Przyszedł po to, żeby przy pomocy Malvezziiego jaśniej zobaczyć przyszłość oraz uzyskać jego oficjalną rezygnację z kandydowania na papieża, a zamiast tego usłyszał, że jednym z kluczy do przyszłości jest wybór kobiety na tron Piotrowy.

Ten biedak naprawdę zwariował. Teraz już nie zawaha się przed wykluczeniem go z konklawe. Wręcz przeciwnie – odizolowanie Malvezziiego jest jego obowiązkiem, nie może dopuścić do tego, by któryś z bardziej podatnych na wpływy elektorów uległ fascynacji jego osobą.

– Tak, zgadzam się z tobą, Vladimiro. Lepiej, jeśli zostanę tutaj i nie będę głosować – mówi łagodnie ten nieprawdopodobny człowiek, z radosnym uśmiechem na ustach, patrząc mu prosto w oczy. To spojrzenie sprawia, że kamerling czuje się jak kat w obliczu ofiary, która zgadza się na egzekucję.

– Nie zadręczaj się, wiem, że to trudne. Zresztą możesz być spokojny, jeszcze za wcześnie na wybór kobiety. Przedtem miliony kobiet muszą odcierpieć swoje z winy przesądów i rozmaitych tabu religijnych – kobiety okaleczane w celach rytualnych, kobiety, które nie potrafią zaakceptować swojej męskiej strony, tak jak mężczyźni nie mogą się pogodzić z kobietą... W żarna powolnego młyna historii dostaną się jeszcze miliony ofiar, na które już czekamy, razem z ajatollahami, rabinami i wszystkimi innymi czarownikami na tej planecie...

– Ettore! Nie poznaję cię! Nigdy tak nie mówiłeś! Nie tylko nie potrafię cię zrozumieć, ale obawiam się, że będę cię musiał potępić.

– Wiem, w przeszłości posłałbyś mnie do Świętego Oficjum i wszczęto by przeciwko mnie proces, z którego nie wyszedłbym inaczej, jak skazany na stos.

– Ależ Ettore, zaklinam cię! Czy nie pamiętasz już, kim jesteś?

– Niestety, nie potrafię o tym nie pamiętać, szczególnie w tym miejscu. Tylko to mnie wiąże... W przeciwnym razie... – Ettore Malvezzi jest zbyt wzruszony, by dokończyć zdania.

– W przeciwnym razie?

– W przeciwnym razie byłbym już tam, gdzie są Contardi i Mascheroni... ale trzyma mnie tutaj ta pamięć właśnie... i kilka osób, które na mnie czekają. I może jeszcze jakiś przyjaciel, kto wie, może i ty... – teraz twarz Malvezziiego jest mokra od łez, Veronelli też nie potrafi ukryć przed tym

człowiekiem swojego wzruszenia.

Zwierzęta obecne w pokoju zdają się wyczuwać stan psychiczny swojego pana, zbliżają się bowiem do jego fotela, rywalizując o pierwszeństwo, gotowe wskoczyć mu na kolana.

– Wybacz ich nachalność... Tak to jest... Widzisz, Vladimiro, znajduję się między tymi, którzy odeszli przede mną, a tymi, którzy są tutaj i mnie potrzebują. A ja pozostaję jak zawsze pełen wątpliwości, pozostaję tym samym człowiekiem, za którym nigdy nie przepadałeś.

– My chcemy cię żywym, Ettore, musisz mi wierzyć.

– Wierzę ci. Ale co zrobicie z kimś takim jak ja? Widzę teraz przy tobie twoją matkę, głaszcze cię po włosach. Widzę też twoich dwóch braci, są w Rzymie, jeden z nich wybiera się na spacer po via Appia, drugi leży chory w łóżku pod opieką córki. Wiesz, pojutrze przez Rzym przejdzie gwałtowna burza z huraganowym wiatrem, wprowadzi niesamowite zamieszanie w mieście i wyrządzi ogromne szkody... Przyszedłeś także po to, przyznaj się: chciałeś dowiedzieć się, czy to prawda, że Malvezzi widzi przyszłość...

Słowa o matce zamknęły Veronellemu usta. Przez chwilę myśli o tym, jakie męki muszą znosić ludzie, których powszechnie nazywa się szaleńcami. Wyobraził sobie, jak czuje się ktoś, kto nie potrafi zakotwiczyć w teraźniejszości pojęć Dobra i Zła, ponieważ teraźniejszość zamienia się dla niego niepostrzeżenie w przyszłość, tak samo jak pomieszczenie, w którym przebywa, powiększa się do takich rozmiarów, że może pomieścić całe miasto. Lepiej milczeć, lepiej przerwać tę rozmowę, która staje się coraz bardziej bolesna.

Siostra Elizabeth i dwie inne afrykańskie kucharki zostały złożone w ofierze niezaspokojonym ambicjom małżonki szefa państwa. Prawie wszystkich kapelanów i młodych sekretarzy, którzy tak bardzo martwili uczestników konklawe swoimi halucynacjami z kurami w rolach głównych, zastąpiono prałatami w starszym wieku, przysłanymi do Rzymu z różnych diecezji. Kardynał Ettore Malvezzi obiecał, że złoży oficjalną rezygnację z kandydowania na urząd papieski. Arcybiskup Dar es-Salaam przyrzekł, że zda sprawę ze swojej działalności jako egzorcysty – prywatnie przed kamerlingiem i publicznie przed całym Świętym Kolegium...

Takie są pierwsze pokrzepiające wiadomości, rezultaty niezamordowanej pracy kardynała Vladimira Veronellogo w kierowaniu najdłuższym konklawe w historii Kościoła. Na duchu podnosi go także informacja przekazana przez hrabiego Nasalli Rocca o tym, że wojnę ze szczurami, skorpionami i nietoperzami można uważać za wygraną, chociaż przezorność nakazuje nie pozbywać się jeszcze z Watykanu wszystkich kotów, kur i sów.

Telefon z Kwirynału też mógłby napełnić go otuchą, bo świadczy o tym, że na najwyższym szczeblu interesują się tym, co dzieje się w obrębie murów konińskich. Jest to jednak tylko promyczek światła wśród ciemnych chmur. Prawda wygląda tak, że w biurze prasowym dalekopisy milczą, coraz mniej internautów łączy się ze stroną Watykanu, a gazety po prostu ignorują kardynałów i ich nudne konklawe. Na tej podstawie może być pewnym jednego: z Pałacu Apostolskiego nie przedostała się na zewnątrz najdrobniejsza nawet informacja o niesamowitych wydarzeniach, które sprawiły, że konklawe wcale nudne nie jest. Wręcz przeciwnie.

Kardynałowie nadal nie potrafią dokonać definitywnego wyboru. W poszczególnych głosowaniach powtarzają się wciąż te same rezultaty, które jednak są dalekie od rozproszenia głosów w pierwszych dniach konklawe.

Malvezzi obniżył loty i ustabilizował się na poziomie około dwudziestu

głosów. Jest to skutek jego rezygnacji i stałej nieobecności, których nikt już nie uważa za oznakę przykładnej skromności.

Faworytami pozostają Ugamwa i Resende Costa, na dalszych pozycjach znajdują się Cerini i Stelipyn, wciąż z czterema czy pięcioma głosami. Veronelli ma wrażenie, że wystarczy jeden podmuch, by zepchnąć Łódź Piotrowa z mielizny – a potem wiatr zadmie silnie w żagle i skieruje ją w stronę portu, do miejsca, które Duch Święty znał od zawsze.

Kardynał kamerling nigdy by nie pomyślał, że metafora, jaka przyszła mu do głowy w chwili optymistycznego nastawienia do przyszłości, zostanie skopiowana przez naturę aż tak dokładnie. Albowiem dwa dni po spotkaniu z Malvezzim nad Rzymem i okolicami zaczyna wiać wiatr tak gwałtowny, że wyrывa drzewa z korzeniami, przewraca samochody i ludzi. Ulewny deszcz bije wściekle strumieniami wody w ciemnościach, spowodowanych uszkodzeniami sieci elektrycznej, stwarza niebywale problemy władzom Wiecznego Miasta i przysparza ogromnej pracy ekipom ratunkowym, wzywanych do wszystkich rzymskich dzielnic. Wał się mury, obsuwa grunt, zarysowują się i trzeszczą pod naporem wiatru konstrukcje domów wzniesionych bez poszanowania przepisów, z wybrakowanych materiałów, przez nieuczciwych budowniczych. Na kopule kościoła Sant'Andrea della Valle, znanego z *Toski* Pucciniego, pokazały się rysy. Villa Borghese wygląda jak powierzchnia Ziemi po potopie. Wieża budynku, w którym znajduje się galeria sztuki o tej samej nazwie, nie wytrzymała impetu wiatru i zawaliła się, grzebiąc wiele dzieł.

Furia natury, przepowiedziana przez Malvezziego podczas odwiedzin kamerlinga, wydaje się realizować swoje dzieło zniszczenia ze szczególną zawziętością na Wzgórzu Watykańskim, na którym rozciąga się Stolica Apostolska. Tam, gdzie przed wiekami dopełniła się ofiara świętego Piotra i gdzie jego spadkobiercy od miesięcy zastanawiają się nad wyborem jego następcy, deszcz, przeraźliwe zimno i wiatr paraliżują wszelkie próby przyjścia z pomocą. Na wieży Świętego Jana gwałtowny deszcz

spowodował zatkanie wodociągów i kanalizacji, blokując funkcjonowanie łaźni tureckiej. Kuchnie są zalane, bo ścieki nie przyjmują już wody, w związku z czym nie można przyrządzać posiłków. W Pałacu Apostolskim kapelani i prałaci starają się więc gotować kolacje i obiady dla znamienitych kardynałów elektorów na kuchenkach elektrycznych.

Wiatr nie tylko gwizdże i wyje ponuro, wprowadzając wśród sędziwych mieszkańców pałacu papieskiego atmosferę strachu i zagrożenia, ale forsuje niektóre wiekowe okna i tłucze szyby tak stare i kruche jak ludzie, których dotąd chroniły przed zimnem. Kilka figur z kolumnady Berniniego na placu Świętego Piotra runęło. Istnieje niebezpieczeństwo, że złota kula uwieńczona krzyżem, jeden z najświetniejszych zabytków świata, oderwie się od tamburu kopuły projektu Michała Anioła, majestatycznego symbolu Rzymu i chrześcijaństwa, powodując szkody trudne do przewidzenia.

Po pierwszym dniu nawałnicy zaczynają się pierwsze zakłócenia w pracy tej skomplikowanej maszyny, jaką jest Pałac Apostolski podczas konklawe. Windy blokują się, co zmusza purpuratów do długiego oczekiwania na dźwigi osobowe, poruszane ręcznie za pomocą korby. Piece centralnego ogrzewania ulegają poważnym awariom, ograniczając dopływ ciepła. Podczas przerw w dostawie prądu tylko świece rozpraszają ciemności. Naczelnym inżynierem Państwa Watykańskiego, hrabią Nasalli Rocca, wspomagany przez dwóch asystentów tronu papieskiego, książąt Orsiniego i Colonna, bezskutecznie bombarduje telefonami, faksami i e-mailami burmistrza Rzymu i ministra spraw wewnętrznych. Całe miasto jest w potrzebie i całe miasto kieruje do nich żądania, których nie są w stanie spełnić. „A Jego Ekszelencja na pewno zgodzi się, że obywatele włoscy mają pierwszeństwo przed pozbawionymi swojego zwierzchnika obywatelami Watykanu”.

Antyklerykalny podtekst odpowiedzi burmistrza Rzymu, natychmiast wychwycony przez księcia Colonnę, znanego w mieście ze swoich faszystowskich poglądów, oburza osoby odpowiedzialne za bezpieczeństwo

Stolicy Apostolskiej i powoduje, że domagając się interwencji służb miejskich, używają znacznie ostrzejszego tonu. Rezultatem jest jeszcze bardziej wrogie nastawienie do nich przedstawiciele władz włoskich, nawet tych najbardziej religijnych.

Nasalli Rocca nie potrafi się opanować, kiedy wykrzykuje do ministra spraw wewnętrznych – zdeklarowanego katolika, który podczas relacji telewizyjnych zgina się zawsze wpół przy całowaniu papieskiego pierścienia – że wewnątrz murów watykańskich, w ciemnościach, w zimnych pomieszczeniach wybiera się następcę świętego Piotra! Swym bezosobowym, niewzruszonym falsetem minister odpowiada, że nie jest o tym przekonany, bo nie ma konkretnych dowodów, że kardynałowie rzeczywiście noszą się z takim zamiarem. Mogą więc trochę poczekać... Aby uprzedzić reakcję hrabiego Nasalli Rocca i księcia Colonna, zaczyna odczytywać listę szkód, zgłaszanych ze wszystkich części miasta. Platany przy via Merulana obaliły się na sąsiednie domy. W willę Amabelek, gdzie się mieści ambasada rosyjska, trafił piorun, który wywołał pożar. Palazzo Farnese, siedziba ambasady francuskiej, ma zrujnowany dach. Wszystkie pomieszczenia rezydencji wielkiego mistrza loży masońskiej na Awentynie są zalane błotem wskutek obsunięcia się gruntu w sąsiedztwie; wielki mistrz jest ranny. Wiatr uszkodził wieżę Kapitolu, która w każdej chwili może runąć. Z sześciu budynków na Testaccio ewakuowano mieszkańców. Dom starców w San Lorenzo zawalił się częściowo, a jego sześćdziesięciu pensjonariuszy zostało bez dachu nad głową...

– Wasze Ekscelencje zdają sobie chyba sprawę, że to tylko część najpilniejszych spraw do załatwienia – konkluduje minister.

Po tych ostatnich słowach Nasalli Rocca, Colonna i Orsini słyszą odgłos odkładanej słuchawki i nie mają już komu przeciwstawić swojego protestu. Mogliby odwołać się do konkordatu, który przewiduje pomoc państwa włoskiego w przypadku klęsk żywiołowych, zdają sobie jednak sprawę z daremności takiego posunięcia, bo Stolica Apostolska podczas wakatu jest

słaba. Bez papieża Watykan nie reprezentuje nawet połowy swojej potęgi i książę Amilcare Colonna zastanawia się, czy niektórzy przedstawiciele rządu nie woleliby przypadkiem, żeby tak już zostało.

Jest jednak ktoś, kto te niezwykle kaprysy pogody interpretuje jako łaskę, dzięki której nastąpi przyspieszenie wydarzeń i koniec tego nieznośnego oczekiwania w Watykanie. To Ettore Malvezzi, który siedząc przy oknie, ocalałym pomimo gwałtowności wiatru, czuje, że śmiercionośna furia, jaka szaleje nad Rzymem, jest ostatnim atakiem księcia ciemności przed przyznaniem się do porażki. „*Non praevalerunt, non praevalerunt...*” – szepcze, wpatrując się w strugi deszczu, smagające okno wychodzące na podwórze, skąd co jakiś czas dochodzi wycie psa.

W niewielkiej odległości od pokoju kardynała Malvezzi, w dzielnicy Giannicolo, przy innym oknie para młodych kochanków przygląda się kataklizmowi.

Ciemność, jaka zapadła w związku z kolejną awarią elektrowni, zastała ich w szczególnie intymnej sytuacji, kiedy to nawet atak wściekłej nawałnicy nie był w stanie oddzielić ich od siebie. Dom, w którym przebywają, blisko Sant’Onofrio, jest nie mniej niż inne budynki w tej okolicy wystawiony na gwałtowność nawałnicy, ale intymność między kochankami nie dopuszcza złowrogiego nastroju burzy.

– O matko! Ale pada, Lorenzo... Jak wrócisz do domu na skuterze?

– Zostanę tu tak długo, aż przestanie padać. Oby nigdy nie przestało...

Wypowiadając to życzenie, obejmuje Annę, która zamyka oczy i zakrywa się kołdrą, by nie słyszeć deszczu i wiatru.

Mieszkanie przy via Margutta należy do wujka Anny, antykwariusza, i nazajutrz o ósmej rano musi być oddane właścicielowi w idealnym porządku. Ale jest jeszcze czas, dużo czasu, zresztą burza sprawia, że czas

wydaje się nierealny, bo trzeba odłożyć na później codzienne obowiązki i przyzwyczajenia. Wygląda to tak, jakby natura chciała zrobić im prezent, jakby burza rozpętała się specjalnie dla nich, dla Anny i Lorenza, jej chłopca z ostatniego roku medycyny, którzy pragnęliby, żeby nigdy się nie skończyła, bo wtedy nie musieliby się rozstawać. Jakże kojący jest odgłos kropli deszczu, spadających na mansardowe okna i na dach, kiedy słucha się go, będąc przytulonym do ciepłego ciała ukochanego człowieka.

Docierają do nich dźwięki transmisji telewizyjnej z niższego piętra. Coś zwróciło uwagę Lorenza.

- Anno, czy chcesz, żebym włączył telewizor?
- Nie, co mnie obchodzi telewizja!
- Mam wrażenie, że wydarzyło się coś ważnego...
- I co z tego!
- Masz rację.

Lorenzo pochyła się i obejmuje ją; nie słucha już głosów z telewizora. Po pół godzinie zasypia w jej ramionach.

Anna leży nieruchomo. To dla niej największe szczęście, kiedy Lorenzo zasypia oparty o nią. Wydaje się jej wtedy, że jest matką, siostrą i żoną dla tego człowieka, który oddaje się całkowicie w jej ręce. To zupełne zawierzenie siebie drugiej osobie jest czymś o wiele ważniejszym niż kochanie się – to jest miłość. On oddaje jej we władanie swoje życie, a ona może nim dysponować, jak chce. Wyobraża sobie, jak będzie wyglądała ich przyszłość.

Anna nie ma wątpliwości, że w małżeństwie będą mogli zawsze tak razem spać. I to „zawsze” bardzo ją wzrusza, bo widzi codziennie u swoich rodziców, że jest możliwe. Są razem od ponad trzydziestu lat, a jeszcze się pożądają, jak odgaduje z pewnych ich gestów, które zdarza jej się zauważyć, kiedy oni nie zdają sobie z tego sprawy. Całują się po kryjomu, nieświadomi, że w jej oczach są wtedy przepiękni.

Być może ona i Lorenzo mogliby zamieszkać początkowo w tym

apartamencie, gdyby wujek Filippo go wynajął, jak tylko Lorenzo znajdzie pracę.

Tymczasem deszcz smaga okno balkonowe, wychodzące na taras. Donice wywróciły się chyba, bo przez szyby widać liście oleandra zgniecione siłą wiatru. Prawdziwy koniec świata, ale jest już znowu prąd. Nie wygląda, żeby Lorenzo miał się wkrótce przebudzić. Gdy poruszyła się delikatnie, obrócił się na lewą stronę, wyciągnął na całą długość przy jej boku, po czym skulił się jak dziecko, w pozycji embriona. Anna sprawdza, czy jest dokładnie przykryty kołdrą, bo chłód się zaostrza, centralne ogrzewanie widocznie nie wystarcza przy tak niskiej temperaturze.

Dotyka kaloryfera. Jest letni. Grzejnik elektryczny teraz działa, ale daje mało ciepła.

Włącza telewizor, żeby rozproszyć ponury nastrój, ale bez głosu. Obraz rozjaśnia się i na ekranie widać niepokojące sceny kataklizmu, jaki dotyka nie Meksyk czy Manilę, gdzieś w dalekim świecie, ale jej rodzinny Rzym, gdzie właśnie teraz się znajduje w łóżku ze swoim niczego nieświadomym Lorenzem. Zburzone domy, obsunięcia ziemi, podtopienia, drzewa obalone na dachy domów, przewrócone na ziemię figury z kolumnady Berniniego... Cóż to, u diabła, się dzieje?...

Nagle na ekranie telewizora pojawia się inny obraz.

To bezpośrednia transmisja z placu Świętego Piotra. Po raz nie wiadomo który pokazują dym z komina Pałacu Apostolskiego, gdzie odbywa się konklawe.

Znowu to konklawe? Kto na to patrzy? Kto jeszcze ma ochotę oglądać ten dym, który i tak nigdy nie obwieszcza dokonanego wyboru? A może tym razem konklawe się skończyło?... Trzyma pilota w ręce, niezdecydowana, czy zmienić program, czy poczekać na ogłoszenie nowego papieża. Obserwuje Lorenza, do którego świadomości nie dotarły chyba nawet odgłosy kataklizmu za oknem, a co dopiero mówić o wyborze papieża, który przecież może nastąpić w absolutnej ciszy.

Oto dach Kaplicy Sykstyńskiej ze sławnym kominem. Trzeba poczekać; na pewno nie jest łatwo rozpalić ogień, który dałby biały dym, po tym, jak przez tak długi czas był potrzebny tylko czarny... Widać już pierwszą nieśmiałą, szarą smużkę. Bez komentarza spikera trudno się zorientować, jaki to kolor, tym bardziej że telewizor nie jest nowy i ma niewyraźny obraz. Ale nie, teraz już nie ma wątpliwości, dym robi się coraz ciemniejszy. Także tym razem dym jest czarny.

Niepotrzebnie straciła czas, żeby na to patrzeć! Błyskawicznie zmienia program i natychmiast jest znowu pod wrażeniem spustoszonego Rzymu. Zimno jej, o wiele zimniej niż przedtem. Dotyka kaloryfera, tym razem jest lodowaty. Powoli wślizguje się pod kołdrę, przytula do ciepłego ciała Lorenza, który nieświadomie reaguje na jej dotyk, odwraca się i obejmuje ją prawym ramieniem. Teraz coś ją niepokoi, nie potrafi już leżeć nieruchomo jak przedtem. Ma wrażenie, jakby dom, w którym się znajdują, był ogromnym, zranionym zwierzęciem, które z trudem oddycha. Trzaskanie drzwiami, kroki na schodach, ludzkie głosy, powtarzające się imię, wykrzykiwane kobiecym głosem: Robertooo, Robertoooo!...

Gdyby była w lepszym nastroju, nie wahałaby się odkrzyknąć: „Co?!” – żeby speszyć tę uprzykrzoną matkę.

Nieustanny szmer telewizorów z niższych pięter robi się coraz głośniejszy. To, co ona ogląda ze swojego łóżka, nadawane jest na wielu kanałach. Wszędzie pokazują to samo – deszcz, który pada tak rzeświście, jakby chciał zmyć Wieczne Miasto z powierzchni ziemi. A Lorenzo dalej śpi.

Anna podnosi oczy i widzi na suficie dużą, ciemną plamę – to na pewno woda, która nie zmieściła się w rynnach. Plama utworzyła się dokładnie nad łóżkiem i za chwilę zacznie z niej kapać. Może zadzwonić do rodziców? Ale po co ich niepokoić? I co odpowiedziałyby, gdyby zapytali, gdzie spędza tę noc?...

Myśli o scenie, którą przed chwilą widziała w telewizji. Znowu czarny dym nad Kaplicą Sykstyńską. To zakrawa na żarty! Dlaczego telewizja

jeszcze to transmituje? Już dawno zauważyła, że media przestały mówić o konklawe, tylko w nocnych dziennikach telewizyjnych pokazują czasem ten komin w Watykanie. Cóż takiego ciekawego mogło się tam wydarzyć? W jej rodzinie tylko babcia, która była niegdyś garderobianą możnego watykańskiego prałata, kupuje każdego ranka „Il Messaggero”, żeby poczytać o konklawe. Ale kiedy zaczyna snuć domysły i mówić o swoich przewidywaniach, nikt jej nie słucha. Pewnego ranka tak zirytowała ją wiadomość o kolejnym głosowaniu bez rezultatu, że poszła do proboszcza, żeby dać upust swoim uczuciom. Powiedziała mu, że to zły znak, niepomyślny dla Rzymu i dla całego świata. Dla *urbis* i *orbis*, powiedziała babcia, która pamięta jeszcze słowa, jakich używał prałat; w jej szafie ciągle wisi jego czerwone okrycie na wielkie uroczystości. Ksiądz proboszcz opowiedział potem o tej rozmowie Annie i jej matce, kiedy spotkał je pod domem na przystanku tramwajowym, i zatrzymał się, żeby zaprosić obie na niedzielny poranek koncertowy do kościoła San Clemente.

– Taka wiara, jaką ma pani matka, to rzadkość w naszych czasach. Wiara, która pozwala odczytywać znaki i ostrzeżenia Opatrzności... Dzisiaj, droga pani Ceroni, żeby zapełnić kościoły, musimy organizować koncerty... – powiedział przed pożegnaniem.

Teraz, na widok tej burzy, Annie przypominają się słowa babci Cesiry.

W tej samej chwili na łóżko spada pierwsza kropla wody, prosto na powiekę Lorenza, co sprawia, że chłopak budzi się, otwiera oczy i uśmiecha do niej.

Tego samego wieczoru, w odległości wielu kilometrów od Rzymu, w pewnej bolońskiej klinice inna para młodych ludzi rozkoszuje się intymnością spotęgowaną pogodą, która uniemożliwia wyjście na dwór. Dla Francesca i Cateriny to szczęśliwa okoliczność. On jest i tak unieruchomiony gipsem i nie może marzyć o spacerze, nawet gdyby to był piękny, słoneczny dzień. A jej łatwiej wytrzymać w tym uprzykrzonym zamknięciu, gdy za oknem szaleje burza; bardziej się wtedy potrzebuje czulej bliskości kochanego człowieka, a problemem jest nie tyle świadomość tracenia kolejnego dnia, ile obawa, że ktoś może wejść i przeszkodzić im w przeżywaniu intymnych chwil.

Deszcz nie jest na razie ulewny, ale widać, że szybko nie minie. Krople spadające z nieba są drobne i gęste, a powietrze parne i niezwykle ciepłe, prawie jak latem, co w grudniu nie jest naturalne. Prognozy zapowiadają, że przez cały tydzień, aż do Bożego Narodzenia, pogoda będzie fatalna.

W pokoju, w którym Francesco Cariati, siostrzeniec kardynała z Turynu, przebywa od ponad dwóch tygodni z powodu wypadku samochodowego, panuje wesoły rozgardiasz. Na próżno Caterina, matka Francesca i pielęgniarki próbują wprowadzić trochę porządku. Wszędzie poniewierają się magazyny poświęcone motoryzacji, żeglarstwu i architekturze wnętrz, prospekty agencji podróży, gazety, karty do gry, długopisy, zeszyty, hantle (by utrzymać się w formie i zlikwidować początki brzuszka – efekt przymusowego bezruchu). Do tego przenośny komputer. Chaos, nad którym króluje telewizor o ogromnym ekranie, uzupełniają swetry i koszule, rzucone na wolne łóżko, oraz różnokolorowe butelki z wodą i z winem, nie wszystkie puste, między którymi wyróżnia się szampan Veuve Cliquot, ulubiony trunek Cateriny, który rozpala jej krew w żyłach. To ona go przyniosła, gdy zauważyła przygnębienie Francesca po komunikacie lekarzy, że nie wypuszczą go w niedzielę do domu, na co bardzo liczył.

– Jak tak dalej pójdzie, spędzimy Boże Narodzenie w szpitalu.
– Cóż, więc spędzimy je w szpitalu, czy to takie ważne?
– Już nie mogę tu wytrzymać. Poza tym od lat świętujemy je u wujka w Turynie. Ciebie też zaprosił.

– Jak mówi moja mama, nie da się ściągnąć gwiazdki z nieba, a ja dodam jeszcze od siebie: nawet jak ma się wujka kardynała.

Śniła mu się tej nocy. Tylko że we śnie zamieniała się w inne kobiety. Raz była jego matką, pokazywała mu indeks ze stopniami i ganiła go za to, że stracił rok na uniwersytecie. Kiedy indziej miała piękną twarz opiekującej się nim pielęgniarki, którą jego ojciec nazywał Gretą Garbo, i groziła mu, że jeżeli będzie bawić się hantlami, nadweręży się i nieprędko wyjdzie z kliniki. Innym razem stawała się dziewczyną, którą dla niej porzucił, i przychodziła do niego z ogromną strzykawką. Przez całą noc nie zaznał spokoju, dopiero przed świtem wszystkie te surowe twarze zniknęły. Pozostała tylko jedna, łagodna i smutna, której nie widział od miesięcy – twarz wujka Ettore.

Mówił coś do niego długo, ale Francesco nie potrafił go zrozumieć, bo słyszał tylko niewyraźny, cichy szept, znużone mamrotanie, jakby wujek bardzo się wysilał, żeby przekazać mu coś, co leżało mu na sercu, ale wskutek niespodziewanej afazji nie mógł znaleźć słów. Wtedy on zaczął podsuwać brakujące słowa; jemu – sławnemu krasomówcy, który wyrafinowaniem swoich kazań fascynował słuchaczy w katedrze turyńskiej i o którym mówiło się, że w konfesjonale po mistrzowsku wykorzystuje Sokratesową metodę majeutyczną, by wejść w bezpośredni kontakt z duszą penitenta... Francesco uświadomił sobie, że wypowiedział słowa: „Deszcz, Rzym, dom, Turyn, wracam”, a potem jeszcze: „Wiatr, żagiel, okno, niebo, skrzydła”. I kiedy wymawiał te słowa, z ulgą obserwował, jak ta droga twarz odpręża się, rozjaśnia i uśmiecha – aż w końcu wujek odzyskał głos i powtórzył wszystko za nim...

Teraz, kiedy deszcz staje się gęstszy i w pokoju jest prawie ciemno, dobrze

byłoby zapalić główne światło. Ale Francesco – widząc, że Caterina zbliża się do przełącznika – prosi, żeby tego nie robiła i przyciąga ją do siebie. W tej samej chwili, gdy dziewczyna pochyła się nad nim, Francesco przypomina sobie sen. W jednej chwili stają mu przed oczami twarze, które widział w nocy, jedna po drugiej, także twarz wujka. Wtedy dzwoni telefon.

– Podnosimy słuchawkę czy nie, Caterino?

– Rób, jak chcesz.

– To pewnie mama. Lepiej odpowiem.

– Jasne. Tymczasem doprowadzę się do porządku, na wypadek gdyby miała wejść pielęgniarka.

Telefon nie przestaje dzwonić dźwiękiem szczególnie natrętnym, charakterystycznym dla połączeń wewnętrznych. A jeżeli to nie jest mama? Nie ma ochoty na rozmowę z kolegami, którzy czują się w obowiązku odezwać od czasu do czasu, by lżej było mu znosić uwięzienie, i przy tej okazji mówią zawsze o tym, co razem wykombinują, jak tylko wyjdzie ze szpitala.

Oni żyją sobie normalnie tam, na zewnątrz, podczas gdy on... Ale kiedy myśli o swojej Caterinie, przestaje im zazdrościć. Wyciąga rękę po słuchawkę. To matka.

– Włącz zaraz telewizor, pierwszy program!

– Dlaczego? Co się stało?

– Mówię ci, żebyś włączył! Wygląda na to, że wybrali papieża.

– Co?... Już włączam.

Nigdy dotąd nie zauważył, że po włączeniu telewizora trzeba tak długo czekać na pojawienie się obrazu. Męski głos zapowiada połączenie z placem Świętego Piotra, skąd za chwilę będzie widać dym z komina na dachu Kaplicy Sykstyńskiej. Z dobrze poinformowanych źródeł wiadomo, że istnieje duże prawdopodobieństwo, iż kardynałowie wybrali wreszcie nowego papieża i dym będzie biały.

Ukazuje się twarz dziennikarza, po czym pojawia się niewyraźny,

zakłócony obraz placu Świętego Piotra. Spiker przeprosza za złą jakość wizji, ale nad Rzymem szaleje huraganowa burza o niespotykanej sile, która już spowodowała bardzo poważne szkody. Są też ofiary w ludziach na skutek obsunięć ziemi i zawaleń domów. Istny kataklizm, którego straszne skutki skłoniły burmistrza Rzymu do ogłoszenia stanu klęski żywiołowej.

Po jakimś czasie matka dzwoni ponownie.

– Francesco, Francesco, słyszysz mnie?

Trzyma słuchawkę przy uchu, ale myśli o nocnym śnie, o wujku, który szeptał niezrozumiałe zdania, dopóki on nie nadał im sensu, podpowiadając niektóre słowa... Obraz z nocnego snu nakłada się na telewizyjne ujęcie Kaplicy Sykstyńskiej z kominem wciąż bez dymu, wznoszącym się na tle szarego nieba, w deszczu i chmurach.

– Jakie to dziwne... Wiesz, śnił mi się dzisiaj.

– Kto?

– Śnił mi się wujek Ettore...

– Francesco, pomyśl tylko, gdybyśmy go tak zobaczyli za chwilę na balkonie bazyliki...

– Ależ mammo, twierdziłaś zawsze, że nie ma szans... i że nigdy nie miał takich ambicji...

– To prawda, ale podczas naszej ostatniej rozmowy, przed tygodniem, wydawał mi się małomówny i rozdrażniony, a przecież go znasz, wiesz, jaki jest otwarty i serdeczny. I wiesz, jak zawsze chętnie o wszystkim opowiada. Miałam wrażenie, jakby chciał przemilczeć coś, co mu bardzo ciąży.

– Czy nie odniosłaś przypadkiem takiego wrażenia, bo masz nadzieję zostać siostrą papieża? Rozmawiając ze mną, był radosny i bardzo sympatyczny, nigdy przedtem tak ze mną nie żartował.

– A jaki był we śnie?

– We śnie?... Ale posłuchaj, mówią coś o dymie, słyszysz?

– Tak...

W tej chwili do pokoju wraca Caterina. Widzi włączony telewizor i

Francesca przy telefonie. Rozmawia pewnie z matką, sugeruje to obraz na ekranie telewizora. Ten wujek na konklawe jest im tak bliski, że chwilami czuje się o niego zazdrosna. Do tej pory nie poznała go osobiście, a i teraz obawia się chwili spotkania. Ale nie da się tego uniknąć, Francesco i jego matka tego od niej oczekują. A teraz ona dla nich po prostu nie istnieje.

Siada w milczeniu i czeka na dym, pragnąc ze wszystkich sił, żeby był czarny, żeby ten nieznajomy człowiek nie pojawił się w białej sutannie na ekranie.

Kolor pierwszej smużki dymu jest nieokreślony, co daje dziennikarzowi możliwość podtrzymywania napięcia milionów widzów. Ta teatralna sztuczka, jak przed wiekami, działa i teraz, podnosi oglądalność, co do tego nie ma wątpliwości.

Potem pojawia się czarny dym i po chwili – kiedy dziennikarz odgrywa rolę reżysera nieudanego spektaklu i przeprosza widzów – wszystko powraca do pierwotnego stanu. Życie bez papieża toczy się dalej normalnie, co widać po reklamie mięsa w konserwie dla psów, którą telewizja nadaje zaraz po transmisji z placu Świętego Piotra. Francesco rozmawia przyciszonym głosem z matką i Caterina czuje się wyłączona. Tym jednak razem uczucie to nie jest tak bolesne i bez trudu je ukrywa.

– Francesco, nie dałeś mi zamienić z twoją mamą nawet dwóch słów.

– Przepraszam. Mama prosiła, żeby przekazać ci pozdrowienia, bardzo się śpieszyła, wychodziła gdzieś z ojcem.

– Lepiej, żebyś się okrył. Przedtem byłeś zawsze przykryty, a dzisiaj jest chłodniej niż kiedykolwiek.

– Widziałaś? Tym razem też im się nie udało. Ciekawe, co przyszło do głowy dziennikarzom z telewizji, żeby robić bezpośrednią transmisję. Jeszcze bardziej pogorszyli wizerunek kardynałów.

– Wolałbyś nie być świadkiem jeszcze jednej straconej okazji dla twojego wujka, prawda?

– Ależ jesteś złośliwa...

– Przepraszam, nie chciałam. Posłuchaj, jutro muszę pójść do Marii, ma urodziny. Nie sprawi ci różnicy, jeżeli zobaczymy się pojutrze?

– Podejdz do mnie. Co się stało?

– Nic, a dlaczego?

– Zmieniłaś się, powiedziałem pewnie coś, co cię dotknęło, ale nie wiem co.

Woli nie mówić już o tym, jest szczęśliwa, że na nowo okazuje jej czułość. Cień konklawe rozwiązał się – wujek kardynał został zwyciężony dwukrotnie: przez telewizję i przez nią.

Zegnają się, obiecując sobie zadzwonić nazajutrz, zaraz po przebudzeniu. W drzwiach pokoju Caterina odwraca się jeszcze i patrzy na niego z profilu. Powinien obciąć włosy.

Straciły puszystość, przygniecione na poduszce. Chciałaby, żeby zawsze wyglądał tak jak wtedy, gdy zobaczyła go po raz pierwszy, odwróconego plecami, na urodzinach Cinzii. Od razu zwróciła uwagę na jego włosy, długie, kędzierzawe i tak miękkie, że przysła jej wtedy ochota zanurzyć w nich dłoń. Ledwo Francesco zgasił światło, znowu zadzwonił telefon. To matka.

– Wybacz, skarbie, pewnie już spałeś, jest późno, ale trochę się niepokoję. W telewizji podano przerażające informacje na temat nawałnicy, jaka szaleje w Rzymie, powiedzieli, że kataklizm o tej sile nie zdarzył się od lat. A Watykan ucierpiał najbardziej... Runęły posągi, zawaliły się mury i, jak w całym Rzymie, nie ma prądu.

– Myślisz, że wujek Ettore siedzi po ciemku?

– Tak, Francesco. Zadzwoniłam do niego od razu, ale połączenie jest przerwane.

– To normalne przy takiej pogodzie, spróbuj jeszcze raz później.

– Dobrze, przepraszam kochanie. Ale mówiłeś... Jak ci się śnił wujek tej nocy?

– Na początku był zmęczony, mówił z trudem, nic nie można było

zrozumieć, ale potem wrócił do sił. Pomyśl tylko, że to ja pomogłem mu znaleźć właściwe słowa... W snach wszystko jest możliwe...

– Zadzwońłam do ciebie ponownie, bo przedtem była przy tobie Caterina i nie chciałam poruszać tego tematu.

– Dlaczego?

– Niektóre sprawy powinny pozostać w rodzinie. Dobranoc, Francesco.

– Dobranoc, mammo.

Mama i Caterina na razie nie przepadają za sobą. To jego jedyne zmartwienie, zaraz po niezdanych egzaminach. Nie leży w jego mocy, żeby te dwie kobiety się polubiły.

Wujek znajduje się w ciemnościach, tak samo jak on w tej chwili. I tak jak on zamknięty jest w szpitalu, wujek zamknięty jest na konklawe. Mama za bardzo się martwi, ale dobrze byłoby posłuchać dziennika, na pewno powiedzą, co się dzieje w Rzymie. Włącza telewizor i zaraz widzi to, co tak bardzo zaniepokoiło jego matkę. Musi jej przyznać rację, to nie jest zwykła burza. Dziennikarze przeprowadzają wywiady z ludźmi, których domy runęły albo którzy widzieli, jak błoto zalewa całe kwartały miasta. Francesca niepokoją ich twarze, wyglądają, jakby widzieli rzeczy zbyt przerażające, by dały się opisać. Nawet telewizja nie jest w stanie pokazać strachu, są uczucia, których nie potrafi przetworzyć i oddać. Tymczasem umysł tak – odbiera je, przetwarza i boleśnie przeżywa.

Wyłącza światło z lekkim poczuciem winy, jak gdyby swoją ciekawością znieważał cierpienie tych biedaków, leżących na szpitalnych łózkach z obandażowanymi ramionami czy głowami, którym jakiś niemądry dziennikarz zadaje idiotyczne pytania w rodzaju: „Co pan czuł, kiedy walił się pański dom?”

Telewizja jest okrutna. Sen ma o wiele więcej litości niż ludzie.

Nigdy nie wykryto, kto zakpił sobie ze Świętego Kolegium i zorganizował bezpośrednią transmisję telewizyjną tego grudniowego wieczoru, kiedy Wieczne Miasto jęczało pod naporem burzy.

W biurze prasowym Watykanu, dokąd kardynał kamerling przybył osobiście, żeby przeprowadzić pierwsze przesłuchania, wszyscy oskarżali się wzajemnie i zrzucali z siebie odpowiedzialność. Ktoś powiedział, że informację o bliskim wyborze papieża przekazał na zewnątrz kapelan jednego z trzech kardynałów, na których oddawano najwięcej głosów. Komuś innemu obilo się o uszy, że któryś z kardynałów zabiegał u dyrektora pewnego dziennika telewizyjnego o jak najszybszy kontakt z państwową telewizją RAI i z telewizjami prywatnymi. Mówiło się też, że telefonował prezes telewizji państwowej z prośbą o potwierdzenie wiadomości o dokonanym wyborze, jak gdyby informacja ta dotarła do niego wcześniej za sprawą kogoś z bohaterów dnia.

Nigdy nie natrafiono na żaden ślad oficjalnego komunikatu, nie znalazł się żaden niedyskretny kapelan czy przedstawiciel telewizji, który wyznałby, od kogo wyszła ta wiadomość. Kamerling miał pretensje do hrabiego Nasalli Rocca, do książąt Orsiniego i Colonna oraz do rzecznika prasowego i groził im, że nowemu papieżowi zasugeruje, by zdjął ich ze stanowisk. Z winy ich zaniedbań to święte odosobnienie, które ma gwarantować kardynałom możliwość niezależnego wyboru, poniosło szkodę nie mniejszą niż ta, którą spowodowały przykre wydarzenia w ubiegłych miesiącach. Tamte wypadki miały przynajmniej miejsce za zamkniętymi drzwiami i nikt z zewnątrz o nich nie wiedział, a ten wstyd musieli przeżywać na oczach świata; tego świata, który okazuje im taką obojętność.

Kamerling musi zadowolić się oddaleniem paru prałatów, odpowiedzialnych za rozpowszechnianie informacji, i surowym upomnieniem osób, zajmujących się kontaktami ze światem podczas wakatu

Stolicy Apostolskiej. Następnego dnia gazety utwierdzają negatywny obraz Watykanu, publikując zdjęcia komina z czarnym dymem, opatrzone tytułami bez śladu rewerencji. Obraz komina Kaplicy Sykstyńskiej będzie się już teraz zawsze kojarzyć z przygnębiającym nastrojem Rzymu rzuconego na kolana przez wściekłą nawałnicę, która po dwudziestu czterech godzinach nie straciła nic ze swojej gwałtowności.

Tak więc głosowanie w dniu następnym odbywa się w atmosferze podejrzeń, niechęci i wyrzutów sumienia, a także w poczuciu odrzucenia przez miasto, któremu kardynałowie starają się wybrać biskupa. Wielu członków konklawe jest przeświadczonych, że ta klęska żywiołowa ma bezpośredni związek z ich niezdecydowaniem; Rzym cierpi jak chore ciało z powodu braku swojego najwyższego duszpasterza.

Monsignore Giorgio Contarini zapytał właśnie kardynała Malvezziiego, o której godzinie tego wieczoru życzy sobie zjeść kolację. Podmuchy wiatru, które bez przerwy uderzają w okna pokoju arcybiskupa Turynu, są chwilami tak silne, że nie można dosłyszeć własnego głosu. Szpary w starych oknach i ramach okiennych przepuszczają zimne powietrze; przeciąg porusza firany, obrus na stole, a nawet kapę na łóżku. Kardynał ma wrażenie, jakby w pokoju wszystko bez przerwy wibrowało, nie pozwalając mu się skoncentrować na czytanej książce.

Jego lekturą są *Wyznania* świętego Augustyna, które już dawno obiecywał sobie ponownie przeczytać. *Pondus meum amor met* – moim więzieniem jest miłość do samego siebie. W ostatnich dniach długo dyskutował ze swoimi niewidzialnymi gośćmi na temat tego cytatu z dzieła afrykańskiego świętego – lapidarnej definicji najpowszechniejszej choroby naszych czasów. Zarówno Contardi jak Mascheroni nie zgadzali się z przypisywaniem tej przypadłości jedynie czasom współczesnym. Trapiła ludzkość w ciągu całych jej dziejów. Co więcej, zdarzało się, że egoizm i kult własnej osoby bywały dobrze zamaskowanym motywem służby drugiemu człowiekowi. Czasami nawet świętych toczył robak pychy, ukrytej pod przykrywką misji

w Imię Boże, co poświadczał święty Augustyn z Hippony. Bliski kontakt z Bogiem, naturalny dla stanu kapłańskiego, nie zawsze daje dobre owoce. Często jego skutkami są duma, próżność i wygórowane mniemanie o własnej wartości, które – w związku z wysoką pozycją społeczną duchownych – mają moc szkodenia w imię Boga. W trzech pokrewnych religiach objawienia Mojżesza, Mahometa czy Chrystusa stanowiły często pretekst do działań dalekich od nauczania proroków, a ich konsekwencją był między innymi integryzm religijny.

Malvezzi doszedł do wniosku, że demoralizacja władzy jest bezpośrednim następstwem faktu jej sprawowania. Na każdym poziomie, także w imieniu Boga. Jedynie niewinność młodości może przed nią chronić.

Zaawansowany wiek kardynałów i papieży sprawia, iż są oni wystawieni na pokusę naturalną w tym okresie życia, kiedy, zbliżając się do śmierci, człowiek pragnie zrekompensować ograniczenie swoich sił fizycznych większą mocą oddziaływania na bliźnich. Ze starością łączą się świadomość bliskiego końca, lęk przed wielką zmianą, obawa przed pozostawieniem zła znanego dla nieznanego – jak pisał Szekspir. Dotyczy to także duszpasterzy, choć sami swoim owieczkom muszą dać siłę i pociechę przed przejściem na drugi brzeg.

Szczekanie psa uwiązanego na podwórzu, na które wychodzą okna pokoju, budzi Malvezziego z zamyślenia.

Wkrótce w mieszkaniu z oknami o żółtych szybach na nowo zapali się światło. Każdego wieczoru o tej właśnie porze wracają jego tajemniczy mieszkańcy. Podczas tych długich dni, przeżywanych w bezruchu i odosobnieniu, z dala od Kaplicy Sykstyńskiej i kardynałów, wyostrzyła się jego wrażliwość – podobnie jak u jego zwierząt: kur, sów i kotów – na wszelkie ruchy czy zmiany w pokojach naprzeciwko, na podwórzu i w całym przeciwnym skrzydle pałacu. Przyzwyczał się już do pewnych zjawisk, powtarzających się tam codziennie o stałych porach i obserwowanych przez niego z przyjemnością podczas tego powolnego

mijania godzin, którym rytm nadaje lektura i zmiany kąta padania promieni słonecznych. Do najbardziej wyczekiwanych chwil należą pojawianie się i znikanie światła w oknie naprzeciwko. Cienie poruszające się za żółtymi szybami dotrzymują mu towarzystwa.

Teraz wiatr wzmaga jeszcze swój atak na pałac. Choć Malvezzi wie, że są to już ostatnie podrygi ślepej przemocy tego, który czuje się bliski ostatecznej porażki, uderzenia w okna wywołują w nim strach. Nie słysząc już psa z podwórza. Jego zwierzęta też wolą trzymać się z daleka od okien – schroniły się pod łóżkiem i pod szafami.

Naprzeciwko zapala się światło.

Pojawiają się ruchliwe cienie. Powtarzające się uderzenia wiatru w okna kojarzą się ze stukaniem niewidzialnej ręki kogoś, kto chce, żeby mu otworzono. Kto sobie pozwala na coś takiego w domu zastępcy Chrystusa?

Teraz cienie na żółtych szybach są bardzo wyraźne. Ci ludzie odczuwają pewnie ten sam lęk, który i jego dręczy. Wstaje z fotela. Przewycięża strach, że wiatr wyrwie okiennice. Coś przyciąga go do okna. Minęły ponad trzy miesiące od dnia, w którym zauważył czyjąś obecność w mieszkaniu naprzeciwko, ale dopiero teraz odczuwa ją tak wyraźnie. I czuje, że go przyzywa. Musi być posłuszny.

Wyciąga rękę do klamki starego okna, żeby je otworzyć – i w tym samym momencie podmuch wiatru rozbija szyby na kawałki i otwiera je na oścież.

Jednocześnie, po drugiej stronie podwórza ten sam podmuch wiatru tłucze żółte szyby okna naprzeciwko. Pojawiają się w nim osoby, których cienie towarzyszyły mu przez tyle dni. To dwaj bliźniacy, dwaj młodzi mężczyźni tak łudząco do siebie podobni, że przeciera oczy, by upewnić się, czy nie widzi przypadkiem podwójnie. Wyglądają tak, jakby się wahali, czy próbować zamknąć ramy bez szyb, czy też zebrać najpierw potłuczone szkło, a może pozostawić wszystko tak, jak jest? W tym momencie zauważają, że ktoś ich obserwuje. Są rzeczywiście bliźniakami, Malvezzi ma jeszcze dobry wzrok.

Ich spojrzenia spotykają się, podczas gdy wiatr wciąż gwizdże, a deszcz zalewa podłogę pokoju.

Kim są ci dwaj mężczyźni? Noszą koloratki, są więc kapłanami. Nigdy dotąd ich nie spotkał, a jednak wydaje mu się, że gdzieś ich już widział...

Błysk pioruna oświetla ściany, okna, twarze i napełnia przerażeniem zwierzęta w pokoju kardynała, a także psa na podwórzu. Światło wydobywa na chwilę z ciemności twarze trzech mężczyzn przy oknach. Rozpoznają się.

Ettore Malvezzi przypomina sobie, do kogo podobni są bliźniacy i klęka do modlitwy, by podziękować Bogu, że pozwolił mu poznać prawdę. Dwaj młodzi księża patrzą na siebie i pozostają nieruchomi, chłostani deszczem i wichrem. Ta chwila zawieszenia wydaje się trwać nieskończenie długo, a tymczasem pioruny, błyskawice, pędzące nisko chmury i ulewa przywodzą skojarzenia ze scenami z biblijnego Potopu.

W tym momencie wpada zadyszany Contarini.

Widok Jego Eminencji na kolanach – mokrego od deszczu, między potłuczonym szkłem, przy otwartym na oścież oknie, smaganego wiatrem, który unosi w powietrzu papiery – paraliżuje go. Woda dotarła aż pod łóżko, gdzie schowały się zwierzęta. W ostatniej chwili kapelan zwraca uwagę, że naprzeciwko ktoś zamyka okno z podobnie jak u kardynała potłuczoną szybą. Zaraz jednak gaśnie światło, nie dostrzegł więc, kto je zamknął.

Rzuca się, żeby zamknąć okno, chociaż tylko górna jego część ma szyby w całości. Potem podnosi z podłogi kardynała; twarz Malvezziego ocieka wodą, a ubrania są kompletnie przemoczone.

Godzinę później, kiedy wstawiono już nowe szyby, kardynał siedzi przy stole w suchym ubraniu. Prosi Contariniego, żeby zaniósł kamerlingowi do rąk własnych wiadomość od niego.

– Czy mogę ją przeczytać, Eminencjo?

– Proszę bardzo.

Malvezzi w krótkim liście zawiadamia kamerlinga, że następnego dnia weźmie udział w głosowaniu. Wiadomość jest lakoniczna, bez słowa

wytłumaczenia, i świadczy o jego determinacji.

Contarini szybko wykonuje otrzymane polecenie, zadowolony ze stanowczości swojego kardynała. Osobiście wręcza kamerlingowi, który nie położył się jeszcze spać, kopertę z listem.

Veronelli czyta w jego obecności i marszczy brwi. Co to znaczy? Malvezzi wraca do gry? Zmienił zdanie i na nowo żywi nadzieję? A może to rada otrzymana od duchów, które go odwiedzają?...

– Jak się czuje Jego Eminencja?

– Mam wrażenie, że dobrze.

– Dobrze? Ale w jakim sensie, monsignore? Czemu przypisać tę zmianę? Skąd znowu te aspiracje? Czy nie znajduje się przypadkiem w stanie podniecenia nerwowego, normalnego przy jego chorobie? Czy nie byłoby lepiej doradzić mu dłuższy odpoczynek? A może zwołamy konsylium lekarskie?

– Pozwolę sobie zauważyć, Wasza Eminencjo, że nikt nigdy nie stwierdził u kardynała Ettore Malvezzi choroby umysłowej i że jego zachowanie do tej pory odznaczało się wyjątkowym opanowaniem i wyrozumiałością wobec ograniczeń narzuconych przez Waszą Eminencję.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Tym bardziej dziwi mnie i niepokoi ten list. Co sprawiło, że kardynał zmienił zamiary? Ksiądz rozumie chyba, że moim obowiązkiem jest zapobieganie kłopotom na konklawe. Wystarczą nam te, z którymi musieliśmy się borykać do tej pory. Ksiądz wie, że nie dalej jak wczoraj prestiż tego gremium narażony został po raz kolejny na uszczerbek, tym razem za sprawą telewizji.

– Eminencjo, nie wiem, co dzieje się w umyśle mojego arcybiskupa, ale mogę zapewnić Waszą Eminencję, że jest spokojny i doskonale nad sobą panuje.

– Zgoda, ale jeżeli chce jutro przyjść do Kaplicy Sykstyńskiej, to znaczy, że ma nam coś do powiedzenia, że chce coś zaproponować.

– Proszę zapytać kardynała o jego zamiary.

– Ma ksiądz rację, dziękuję za radę. Może ksiądz wrócić do Jego Eminencji. I proszę mu przekazać, że zaraz do niego zadzwonię; jest za późno na składanie wizyt.

Gdy Contarini wrócił do pokoju Malvezziiego, zastał go już przy telefonie. Natychmiast się wycofał, ale zdążył zauważyć, że rozmowa nie szła gładko. Nie będzie łatwa.

I rzeczywiście nie jest łatwa, jest też bardzo długa.

Spokojny, zrównoważony i ustępliwy ton wypowiedzi Malvezziiego można z jednej strony uznać za objaw pozytywny, za znak, że arcybiskup Turynu zachowuje się znowu tak jak kiedyś; jest jednak w tym tonie także coś, co jeszcze bardziej niepokoi kamerlinga.

Całej tej łagodności i opanowaniu towarzyszy bowiem doskonała samokontrola, niezwykła determinacja, stanowiąca jakby mur, przez który nie można wydobyć ani słowa na temat prawdziwej przyczyny powrotu Malvezziiego do głosowania. A to nie zapowiada niczego dobrego.

Kardynał chowa w zanadrzu coś, czego nie ma zamiaru zdradzić. Może chce ponownie zaproponować swoją kandydaturę, tym razem z pewniejszej pozycji? Ale kto w ubiegłych dniach, kiedy to przecież przebywał w odosobnieniu i odwiedzały go tylko duchy z zaświatów, mógł dać temu człowiekowi jakieś nowe gwarancje? Codziennie informowano kamerlinga o poczynaniach i stanie zdrowia turyńczyka – po jego wizycie nie było u niego nikogo innego. Skąd więc czerpie tę pewność siebie? A może nie chodzi mu wcale o wysunięcie własnej kandydatury? Czyjej więc, spośród członków Świętego Kolegium? Kto mógł poprosić go o poparcie? Jakie atuty jako sojusznik może mieć Malvezzi?

Veronellemu nie udało się złapać Malvezziiego w żadną z pułapek, jakie zastawił na niego w dziesiątkach podchwytliwych pytań. Arcybiskup Turynu

nie ustępuje, jest niewzruszony jak skała, głęboko przekonany o swoim prawie i obowiązku uczestniczenia w wyborze papieża...

Nie ma możliwości, żeby dojść do porozumienia. Skończyło się na oświadczeniu Malvezziiego, że zobowiązał się przed Bogiem i przed własnym sumieniem do zachowania tajemnicy.

Rozstają się raczej chłodno, a poza tym przy pożegnaniu kamerling usłyszał od turyńczyka coś, co umocniło jego najgorsze obawy. Kiedy bowiem wspomniał o nawałnicy, która nie oszczędziła Watykanu, i szkodach, jakie wyrządziła, usłyszał, że ta długa próba ma się ku końcowi i wkrótce w Rzymie i na całym świecie powróci spokój.

W wigilię Bożego Narodzenia pojawienie się kardynała z Turynu na porannym głosowaniu zostało przyjęte przez wielu jako dobry znak, jako zapowiedź, że ten, który już raz poradził sobie z wyjątkową sytuacją, teraz ponownie przyczyni się do przywrócenia w Kaplicy Sykstyńskiej normalnej atmosfery.

Poprzedniej nocy także pogoda nieznacznie się poprawiła. Choć sytuacja w wielu dzielnicach Rzymu jest wciąż bardzo trudna, nie dochodzą już informacje o nowych katastrofach. Po karuzeli wiadomości, z których każda była gorsza od poprzedniej, jest to pozytywne zjawisko. Niektórzy kardynałowie z Kurii rezydują w Rzymie i niemożność pośpieszenia z pomocą bliskim, którzy często mieszkają w szczególnie poszkodowanych częściach miasta, powiększa jeszcze cierpienia wynikające z klauzury.

Minęły prawie cztery miesiące. Brakuje jednego dnia do Bożego Narodzenia. Rzym oraz cały chrześcijański świat obchodzić będzie te święta niemal na pewno bez swojego najwyższego pasterza. Świat jednak nie wydaje się przejmować tą okolicznością; fałszywy alarm, transmitowany bezpośrednio przez telewizję, sprawił, że zainteresowanie konklawe jeszcze się zmniejszyło. Jakby ten przykry incydent był kolejnym dziełem tego, który nie chce, by wybrano nowego papieża.

Tłum kardynałów zatrzymuje Malvezziego przy marmurowej barierze, dzielącej Kaplicę Sykstyńską na pół. Gratulują mu zdrowego wyglądu, nazywają żartem jego kilkudniową nieobecność chorobą z urojenia. Niektórzy pytają wręcz, czy mogą na niego jeszcze głosować. Inni, mniej zdecydowani, interesują się, czy podczas tych dni odosobnienia znalazł może jakieś nowe rozwiązanie. Są i tacy, co z tajemniczą miną proszą o rozmowę wieczorem, sam na sam, w jego gabinecie.

Nieprzenikniony uśmiech Ettore Malvezziego dezorientuje jego interlokutorów.

Nie widział ich od wielu dni i teraz ich znużone twarze, niespokojne ruchy, podatność na emocje i niepewność, której jeszcze nie przezwyciężyli, choć minęło tyle czasu, wywołują w nim współczucie. Wielu odczuło bolesne skutki tego przedłużającego się oczekiwania. Patriarcha Selim, przyjaciel Malvezziiego, nie potrafi utrzymać się na nogach bez pomocy dwóch prałatów. Youssef, purpurat z Palestyny, stracił na wadze i wygląda jak swój własny cień. Rabuiti, korpulentny kardynał z Palermo, cierpi na częste ataki astmy, co zmusza go do korzystania z tlenu. Arcybiskup Nairobi, bardzo mizerny, ledwo dosłyszalnym szeptem prosi, by pozwolono mu wcześniej oddać głos; pragnie zaraz wrócić do swojego pokoju, bo czuje się bardzo słabo po przebytych niedawno ataku serca. Arcybiskup większy Lwowa wjeżdża do Kaplicy Sykstyńskiej na wózku inwalidzkim, popychanym przez sekretarza – i nie jest jedynym z purpuratów, którzy korzystają z tego środka transportu, by dotrzeć do Kaplicy.

Miara cierpliwości wypełniła się. Patrzy na siedzących w kącie dwóch niedoszłych uciekinierów, kardynałów z Nowego Jorku i Filadelfii. Oni też wyglądają jak własne cienie. Kto uwierzyłby dzisiaj, że nie dalej jak kilka tygodni temu byli na tyle sprawni, by spuścić się z okna po zaimprovizowanej linie? Wszyscy przewielebni kardynałowie, ogarnięci są jedną myślą – żeby wyjść stąd nareszcie, wrócić do domu, skończyć z klauzurą.

Tłum purpuratów zagradza wejście. Procedura poprzedzająca wywoływanie nazwisk jest długa, kilku lekarzy biega tam i z powrotem między drzwiami Kaplicy. Zgromadzenie znamienitych elektorów następcy świętego Piotra jest smutnym widowiskiem starczej niedołężności, żalonym obrazem klęski. Chrystus żył trzydzieści trzy lata i w ciągu samych tylko ostatnich trzech lat dokonał całego swojego ziemskiego dzieła, po czym zniknął w niebiosach w swej zwycięskiej, młodzieńczej postaci, takiej samej, jaką obiecał wszystkim dzieciom Bożym w godzinie zmartwychwstania...

Malvezzi patrzy w górę, ponad purpurowymi piuskami na siwych głowach – na Chrystusa Wielkiego Sędziego w glorii swojej nieśmiertelnej młodości.

W tej samej chwili dostrzega ich. Dwaj księża bliźniacy stoją przy fresku! Pokornie pełnią skromną funkcję kapelanów, prawdopodobnie należą do świty któregoś z kardynałów.

Dzierżą długie tyki, za pomocą których starają się zapalić sześć wysokich świec na ołtarzu – jedynych świec woskowych, nie elektrycznych – oddzieleni tronem kamerlinga od członków Świętego Kolegium, od wszystkich tych siwych głów, całej tej falującej starości. Bardzo jasne włosy, pociągłe twarze zwrócone w górę, w stronę sześciu srebrnych świeczników ze świecami, których drżące płomyki za chwilę wzniosą się do Jezusa Chrystusa Najwyższego Sędziego i do jego Najświętszej Matki. Malvezzi patrzy ponownie na Chrystusa, potem spuszcza wzrok na bliźniaków. Raz jeszcze podnosi oczy i je opuszcza... Pamięć go nie zawiodła, są do Niego niesamowicie podobni... Ich twarze są doskonałymi kopiami twarzy Zbawiciela pędzla Michała Anioła. Czy to możliwe, że nikt tego jeszcze nie zauważył?

Może są niewidzialni jak aniołowie albo może ich widok jest zbyt nieznośny dla tych starych ludzi? Jak inaczej wytłumaczyć, że tylko on spostrzegł to podobieństwo?

– Czemu się tak przypatrujesz, Ettore? – słyszy głos o silnym obcym akcencie. Obraca się zmieszany i poznaje kardynała Matisa Paide. Bez słowa wskazuje palcem na bliźniaków, którzy wciąż jeszcze zapalają świece. Zostawia mu czas, żeby dobrze im się przypatrzył, po czym, dotykając jego ramienia, naprowadza jego spojrzenie wyżej, na centralną część fresku Michała Anioła.

– Na co mam patrzeć, na świętego Bartłomieja?

– Nie, patrz wyżej, spójrz na Chrystusa Sędziego...

Estoński purpurat przygląda się z uwagą swoimi niebieskimi oczami postaci Jezusa Chrystusa. Następnie patrzy niżej, na dwóch młodych księży,

po czym biegnie spojrzeniem w górę i w dół, w górę i w dół, w krańcowym zdumieniu. Mamrocze:

– To niemożliwe, to niemożliwe... – I nie może oderwać od nich wzroku.

Zaraz jednak muszą posłuchać polecenia kardynała skrutatora i zająć miejsca.

Za chwilę wejdzie kamerling, jego nadejście zapowiada śpiew chóru o odnowionym składzie, w którym młodych śpiewaków zastąpili starsi prałaci, podobnie jak wielu kapelanów Ich Eminencji.

– Obiecuj mi, że poprzesz moją propozycję – szepcze Malvezzi do Paidego, który jeszcze nie doszedł do siebie po szoku, spowodowanym nieprawdopodobnym podobieństwem bliźniaków do Jezusa.

– Ale... gdzie oni poszli? Nie ma ich!...

– Musieli wyjść po *extra omnes*... Bądź spokojny, nie przyśnili nam się, są pewnie w zakrystii.

– Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem, co zamierzasz zrobić, ale będę stał za tobą murem aż do końca! – obiecuje podekscytowany Paide, ściskając go silnie za ramię.

Rozlega się hymn *Veni Creator Spiritus*. Głębokie, dojrzałe głosy nadają tej pieśni o wiele bardziej podniosły charakter niż delikatne, młode gardła w pierwszych dniach konklawe. Wtedy ta muzyka kojarzyła się z rajem i anielską lekkością, teraz z tragiczną inwokacją do Tego, który nie chce nawiedzić Świętego Kolegium.

Ale oto z kilkuminutowym spóźnieniem wchodzi zasapany kardynał kamerling, przeprosza zebranych za stratę czasu i rozpoczyna wywoływanie nazwisk. Po apelu ogłasza rozpoczęcie wyborów i od razu przekazuje głos elektorom, którzy pragną coś powiedzieć.

Wszyscy obecni kardynałowie zapamiętają aż do śmierci to, co głosem z początku niepewnym ze wzruszenia, a potem coraz mocniejszym, powiedział kardynał arcybiskup Turynu, Ettore Malvezzi. Jednocześnie

jednak za każdym razem, gdy będą próbowali przypomnieć sobie szczegóły jego przemowy, nie będą w stanie odtworzyć sekwencji poruszanych tematów, następstwa argumentów, motywacji, przejść i końcowych konkluzji. Wydaje się, jakby mgła tajemnicy, do jakiej zobowiązali się przed Bogiem i ludźmi, spowiła ich umysły, chroniąc tego, który został oświecony przez Ducha Pocieszyciela i który poddał się jego woli przy tym najtrudniejszym wyborze w historii Kościoła.

Jak długo mówił? Nikt nie potrafi tego sprecyzować. Niemożliwością wydaje się zmierzyć ten potok słów, to nawiedzone delirium kardynała, którego wszyscy uważają za szaleńca, ale słuchają z uwagą, tak jak niegdyś słuchano tego wesołka bożego, biedaczynę z Asyżu, świętego Franciszka.

Mówił o tym, że ludzie potrzebują wiary, potrzebują przewodnika i miłości, ale także radości, spokoju i siły. Mówił o Kościele, o jego zmęczeniu, o tym, że jest osłabiony swą misją, trwającą dwa tysiące lat, w ciągu których obciążęły go grzechy, błędy i winy, a także zbyt pochopne oskarżenia pod adresem nowych zjawisk, które po jakimś czasie i tak musiał uznać i kajać się za pomyłkę przed ludzkością. Mówił o sacrum, bez którego człowiek nie może się obejść, bo nie może znieść pustki życia bez Boga. Mówił o wielkiej nadziei, która otwiera się przed tymi, co tej pustki znieść nie potrafią, a nadzieja ta jest w Bogu właśnie. Mówił o konieczności wyznaczenia zastępcy Chrystusa, który oby przyniósł nowe życie – jeżeli ich wybór oznacza w istocie nowe życie – niech jednak przyniesie i śmierć – jeżeli dla nich, kardynałów, śmierć oznacza wybór z pominięciem ich samych, spoza ich uświęconego kręgu, wyjście poza własne plany i podążenie za Chrystusem w nieznanne rejony, by odnowić szeregi chrześcijan. Mówił o tym, że muszą z pokorą szukać w samych sobie wytłumaczenia wszystkich tych strasznych wypadków, jakie zaszły w ubiegłych miesiącach, kiedy to Zły, nie napotkawszy oporu, bez trudu znalazł do nich dostęp i zaatakował z okrutną gwałtownością, wykorzystując ich słabość. Mówił o ich smutnej starości, o egoizmie podeszłego wieku, o

strachu przed bliskim końcem – często jedynym spoiwie zebrań, podczas których okazali się niezdolni do podjęcia decyzji i dokonania definitywnego wyboru. Duch Święty odstąpił od nich, bo ich celem było wybrać kogokolwiek, zakończyć jak najszybciej to konklawe, a potem już spokojnie, aż do śmierci, korzystać ze swoich przywilejów. Znieśli tyle zła, nie starając się nawet zrozumieć jego sensu, nie skorzystali z możliwości przeżywania w samotności i milczeniu tych czterech miesięcy konklawe, bo ich serca są przepełnione gorączką działania, działania bez ustanku, bez chwili głębszego zastanowienia nad jego celowością. Mówił o ich listach pasterskich, pełnych pychy, w których próżno szukać miłosierdzia, bo jest w nich tylko zimna doktryna, wykładana językiem dalekim od życia. A przecież listy te są kierowane do wiernych z okazji świąt, które nie są niczym innym, jak rocznicami wydarzeń związanych z życiem właśnie, z codziennym życiem Chrystusa i Apostołów. Boże Narodzenie, obchodzone z przepychem w starych katedrach Europy i w nowszych świątyniach reszty świata, nie ma już nic wspólnego z drzeniem aniołów i pasterzy w dniu Jego narodzin...

W tym miejscu zatrzymał się, myśląc pewnie o tych świątach, które spędzą sami, z dala od bliskich, w poszukiwaniu zastępcy Tego, który narodził się przed dwoma tysiącami lat.

Po chwili wrócił do przemowy, nie kryjąc wzruszenia.

Ileż to razy odprawiał mszę i trzymając w rękach hostię, zastanawiał się, podobnie jak wielu z nich, czy nie jest jak Don Kichot, który w wiatrakach widział gigantów! Ile razy tracił nadzieję, że otrzyma Bożą pomoc!

Ileż to razy widział Ewangelie jako zamknięte skrzynki, od których klucze dawno się zgubiły – i nie przyszło mu do głowy, żeby samemu je odtworzyć! Tak robili święci, a przecież oni uważają się za ich spadkobierców!

Albowiem to, za co ich gani, wyrzuca przede wszystkim sobie samemu; nie mogą w to wątpić ani przez chwilę. Bo to on właśnie jest najsłabszy i najbardziej niezdecydowany, najbardziej zmęczony, zagubiony i przerażony

perspektywą śmierci, to on jest największym egoistą w tym gremium. Prosi o wybaczenie, jeżeli poczuli się urażeni, ale musiał im to wszystko powiedzieć, ponieważ tylko w ten sposób może skierować do nich pewną prośbę w imieniu Boga. Niech się przyjrzą młodemu Jezusowi Chrystusowi, Panu czasu i wieczności, namalowanemu na tej ścianie w jego trzydziestotrzyletniej postaci przez Michała Anioła. Niech się zastanowią nad harmonią młodego ciała i poszukają w tym głębszego sensu, mając w pamięci, że sam Bóg obiecał wszystkim swoim dzieciom zmartwychwstanie ciała w takiej właśnie postaci. Niech się zastanowią nad wagą wyboru, jakiego mają dokonać, nad osobą nowego następcy świętego Piotra. Może należałoby dosłownie odczytać wolę Boga i pozwolić, żeby Jego oraz cały starzejący się Kościół reprezentował młody pasterz, podobny do Chrystusa. Może wtedy cała ludzkość, łącznie z tymi, którzy do Kościoła nie należą, skłoniłaby się przed pomazańcem, uznała w nim symbol Kościoła i uwierzyła w możliwość jego odrodzenia.

Mniej więcej w tym momencie – jak wspominają żyjący świadkowie – kardynał z Turynu dramatycznym gestem wskazał ręką Chrystusa Wielkiego Sędziego na górnej części fresku.

Następnie – podczas gdy kardynałowie Świętego Kolegium, owładnięci najróżniejszymi uczuciami i oczekujący ostatecznej propozycji głosowania, wszczynają gwar, a kamerling, by zapanować nad sytuacją, potrząsa dzwonkiem i wzywa do zachowania spokoju – Malvezzi biegnie do zakrystii.

Nie pozostaje tam długo, po kilku minutach pojawia się na nowo w drzwiach Kaplicy Sykstyńskiej, prowadząc przed sobą, jednego po prawej, drugiego po lewej stronie, dwóch łądząco do siebie podobnych bliźniaków w sutannach.

W sali zapada cisza.

Malvezzi popycha przed sobą onieśmielonych jasnowłosych księży, o uderzającej urodzie, na środek Kaplicy Sykstyńskiej.

Potem, kiedy szmer głosów zamiera i nawet kamerling koncentruje się na scenie, rozgrywającej się na oczach Kolegium Kardynalskiego, Malvezzi odwraca młodych mężczyzn w stronę fresku i razem z nimi i z całym zgromadzeniem patrzy na twarz Chrystusa, namalowaną przez Michała Anioła. Takie właśnie słowa słyszą wszyscy:

– Oto twarz naszego Pana, którego pierwszym zastępcą był święty Piotr. Najdrożsi bracia, wzywam was, byście oświeceni światłem Ducha Świętego wybrali księży Lina i Stefana na tron Piotra Apostoła!

Okrzyki oburzenia i potępienia, groźby i klątwy, ironiczne komentarze na temat mylenia konklawe z Senatem rzymskim, gdzie wybierano dwóch konsulów, czy dworem Spartan, gdzie rządzili diarchowie, próby spoliczkowania arcybiskupa Turynu uniemożliwione przez żołnierzy gwardii szwajcarskiej zmuszonych do interweniowania, by chronić biednego kardynała – wszystko to uderza w Malvezziego jak wzburzone fale, które rozbijają się o skałę i nie zostawiają na niej nawet najmniejszego śladu.

Tymczasem coraz więcej purpuratów jest pod wrażeniem niezwykłego podobieństwa między Chrystusem Michała Anioła i dwoma młodymi kapłanami, bliźniakami o imionach Lino i Stefano, w których ktoś rozpoznał kapelanów ze świty kardynała z Kurii, Lo Cascio. Nikt nie może temu zaprzeczyć: te same nosy, te same czoła, ten sam rysunek brwi i jasne włosy, ten sam wyraz oczu.

W pewnej chwili bliźniacy – przypadkiem bądź specjalnie – wykonują gest, jakby chcieli uspokoić wrzawę, obronić Malvezziego albo osłonić się przed najbardziej gwałtownymi kardynałami. Rozlega się wtedy w sali zduszony okrzyk zdumienia... Identyczny gest Chrystusa zbyt głęboko tkwi w świadomości zebranych, by widok ten nie wywołał w nich niesamowitych emocji.

Wykorzystuje tę chwilę kardynał Matis Paide i wstaje, żeby zabrać głos. Odczekawszy parę minut, aż wszyscy się uspokoją, zaczyna swą przemowę.

Jest ostrożny, pełen szacunku wobec zrozumiałych reakcji Świętego Kolegium, taktowny wobec kamerlinga i przychylny w stosunku do księży bliźniaków, Lina i Stefana, którzy stoją wyciągnięci jak struny po dwóch stronach Malvezziego, gotowi go bronić. Na koniec stwierdza, że słowa kardynała Turynu poruszyły tak głęboko serca kardynałów, bo wezwały Ich Eminencje do spojrzenia na to wyjątkowe zadanie, do jakiego zostali powołani, z zupełnie nowego punktu widzenia, tak odległego od zwykłej dla nich perspektywy, że potrzebowaliby nie jednej, ale tysiąca nocy, żeby to rozważyć. Opatrzność sprawiła jednak, że usłyszeli to w dniu poprzedzającym noc niezwykłą, noc Narodzenia naszego Pana. Będą ją mogli spędzić w milczeniu i w samotności, których, jak zauważył kardynał Malvezzi, do tej pory nie potrafili docenić i wykorzystać, wyczerpani do granic możliwości przeciągającym się konklawe.

W związku z tym prosi kardynała kamerlinga Vladimira Veronellego, by zawiesił wybory i wznowił je, biorąc pod uwagę nową kandydaturę, następnego ranka, kiedy serca elektorów będą spokojniejsze.

Kamerling, wykorzystując atmosferę ogólnego oszołomienia, odczuwając potrzebę przemyślenia w spokoju strategii, jakiej powinien użyć, by poradzić sobie z tą niezwykłą sytuacją, zgadza się na propozycję Paidego, odebrawszy ją jako dyskretną pomoc, oferowaną przez tego nieprzewidywalnego człowieka. Wykorzysta tę noc przede wszystkim na to, by porozmawiać z dwoma młodymi księżmi, których niespodziewane pojawienie wygląda mu na nieprzypadkowy zbieg okoliczności i ingerencję na szkodę konklawe.

Jako pierwszy z Kaplicy Sykstyńskiej wychodzi kardynał Ettore Malvezzi, eskortowany przez gwardzistów. Za nim opuszczają ją wszyscy inni kardynałowie, przygotowując się w duchu na tę wyjątkową noc Bożego Narodzenia.

W noc Bożego Narodzenia Duch Święty lituje się nad swoimi cierpiącymi synami, rozwiewa mgłę, panującą w ich umysłach, i otwiera je na prawdę, którą objawia im we śnie.

Widzą się ponownie w Kaplicy Sykstyńskiej, w tej samej sytuacji jak wtedy, gdy arcybiskup Turynu, Ettore Malvezzi, pojawił się pod freskiem Sądu Ostatecznego.

We śnie towarzyszą mu po obu jego stronach, tak jak podczas ostatniego głosowania na konklawe, dwaj księża, Lino i Stefano. Za plecami każdego z nich widać wysokie skrzydła. Oślepiający blask ich oczu zmusza kardynałów do spuszczenia powiek, pozostaje im jednak przed oczami obraz nagiego piękna ich boskich ciał, podobnego do piękna aniołów namalowanych na ścianie z Sądem Ostatecznym, podobnego do Jezusa Chrystusa Wielkiego Sędziego.

Kardynał Malvezzi przemawia, by przekonać zebranych do proponowanych kandydatur i nie widzi nieziemskiego uśmiechu i porozumienia między tymi dwiema przepięknymi istotami. Aniołowie wydają się rozbawieni faktem, że kardynał, dotknięty tajemniczą ślepotą, nie dostrzega ich skrzydeł. Sen kończy się nagłym zniknięciem Lina i Stefana w chwili, gdy kardynał kończy swoją mowę...

Rankiem w dzień Bożego Narodzenia, na krótko przed kolejną turą wyborów w Kaplicy Sykstyńskiej, wśród kardynałów rozchodzi się wiadomość, że dwaj księża zniknęli bez śladu i że ich pokoje, zagracone starymi meblami, pokrytymi grubą warstwą kurzu, wyglądają tak, jakby od lat nie były zamieszkałe. Wtedy dopiero wielu elektorów zaczyna pojmować znaczenie snu z minionej nocy i zdawać sobie sprawę z tego, że tym razem nadnaturalne siły przysły im z pomocą.

Zaraz po hymnie *Veni Creator Spiritus* kamerling otwiera dyskusję. O głos prosi kardynał Matis Paide, prefekt Kongregacji do spraw Ewangelizacji Narodów. Spokojny, ale poważny wyraz jego twarzy skłania zgromadzonych do skupienia uwagi. Nie zatrzymuje się nad tym, co, jak się dowiedział, ukazało się we śnie wszystkim elektorom podczas tej najświętszej nocy w roku, podczas nocy Narodzenia Pańskiego. Przechodzi od razu do stwierdzenia, że jeżeli Duch Pocieszyciel zechciał wskazać swojego wybrańca, wysyłając aniołów, żeby przyprowadzili go na konklawe i jednocześnie obdarzył go mądrością, która zakwestionowała zwykłe ludzkie pojmowanie, zgrzeszyliby pychą, gdyby nie poddali się Jego woli.

Uważa więc za swój obowiązek zgłosić kandydaturę Jego Eminencji arcybiskupa Turynu, kardynała Ettore Malvezziiego na urząd papieża Kościoła powszechnego i biskupa Rzymu.

Gęsty szmer głosów, który unosi się nad zgromadzeniem od chwili, gdy przebrzmiały ostatnie słowa Matisa Paide, kamerling odbiera jako reakcję ludzi gotowych do ustąpienia, z zachowaniem własnej godności, i współuczestniczenia z radością w doniosłym wydarzeniu.

Veronelli rozgląda się wolno po sali, pozwalając, by wybrzmiały komentarze, wyznania i emocje, zanim to najdostojniejsze gremium wyrazi swą decyzję, tak ważną i tak długo wyczekiwaną. Przy swoim ponad czterdziestoletnim doświadczeniu, po wszystkich tych konsystorzach, zebraniach kapituł, soborach, synodach i innych posiedzeniach, w jakich uczestniczył, potrafi wyczuć nastrój tego zgromadzenia. I nie ma wątpliwości – po raz pierwszy po długich miesiącach niepewności. Wie, że purpuraci zebrani w Kaplicy Sykstyńskiej doszli w końcu do jednogłośnego porozumienia. Jako najwyższy notariusz konklawe jest szczęśliwy z tego powodu; jako świadek i narzędzie najwyższej woli Pana, jest wzruszony do

łez.

Fiat voluntas tua... Fiat voluntas tua... – powtarza półgłosem i myśli, że ten, którego za chwilę wybiorą, będzie jego ostatnim papieżem. Radość kamerlinga zaprawiona jest nutą melancholii, wynikającą ze świadomości nieuchronnego końca wszelkiej rzeczy, także tego konklawe, które wydawało się nieskończone, a jednak zbliża się teraz, wraz ze swymi uczestnikami, do mety... On na pewno nie dożyje następnego...

Nieobecność w Kaplicy Ettore Malvezziiego, który w swoim pokoju wpatruje się tymczasem nieruchomo w ciemne okno z żółtymi szybami, działa na jego korzyść.

Sen tej nocy nikomu jaśniej niż jemu nie objawił zamierzeń Opatrzności.

Obowiązek podporządkowania się zamysłom Bożym i wyrażenia zgody na kandydowanie wzbudza w nim lęk – i lęk ten, który w jakiś sposób bracia zebrani w Kaplicy odgadli, nadaje jego nieobecności cech autentycznej pokory. Kardynałowie dopiero teraz rozumieją sens jego zachowania, znaczenie niejasnych słów, odbieranych wcześniej jako głędzenie nawiedzonego szaleńca, dopiero teraz oczywisty staje się opatrznościowy wymiar jego choroby.

Tak więc, kiedy sam kardynał kamerling wstaje i proponuje donośnym głosem wybór na urząd papieski przez aklamację, bez głosowania, kardynała Ettore Malvezziiego, dreszcz, który obiega obecnych, jest tylko uzewnętrznieniem świadomości tego, co się wydarzyło.

Kolejno, jeden po drugim, wszyscy wstają z miejsc, by okazać swoją zgodę. Kardynał dziekan Antonio Leporati intonuje *Tu es Petrus*, za nim robią to samo wszyscy purpuraci.

Zgodnie z tradycją opuszczają się wszystkie baldachimy z wyjątkiem tego nad pustym tronem arcybiskupa Turynu. Kamerling wychodzi z Kaplicy Sykstyńskiej, w której purpuraci z drzeniem serc będą czekać na nowego papieża, i w towarzystwie kardynałów skrutatorów oraz kapelana niosącego

krzyż, kieruje się w stronę mieszkania Ettore Malvezzi, by powiadomić go o wyborze.

Zastaje elekta w jego gabinecie, nieruchomo wpatzonego w ciemne okno naprzeciwko. Gdyby nie przyśpieszony oddech, który porusza coraz szybciej jego piersią, nikt nie odgadłby, że zauważył wejście Veronello, chociaż monsignore Contarini zaanonsował pojawienie się kardynała kamerlinga i jego świty.

– Wasza Eminencjo, przewielebny kardynale Ettore Malvezzi, w imieniu Jezusa Chrystusa powiadamiam cię o twoim wyborze na papieża Kościoła powszechnego i biskupa Rzymu, którego dokonało Święte Kolegium Kardynalskie z natchnienia Ducha Świętego.

Następuje długie milczenie. Potem słychać nerwowy kaszel kamerlinga, który musi do końca wypełnić swoje obowiązki.

Jego starczy głos drży i jest ledwo słyszalny, kiedy zadaje zgodne z ceremoniałem pytanie:

– Czy przyjmujesz twój kanoniczny wybór na Biskupa Rzymskiego?... przyjmujesz?...

Kardynał Ettore Malvezzi wstaje. Kardynał dziekan zauważa, że wydaje się wyższy niż zwykle...

Nieskończenie wolno obraca się twarzą do kamerlinga i patrzy na niego szeroko otwartymi oczami, ręce zaciska na krzyżu na piersi, by ukryć ich drzenie. Przesuwa językiem po suchych wargach, jakby nie umiał wydobyć głosu.

– *Fiat...* – odpowiada w końcu ledwo słyszalnie, opuszczając głowę i pozwalając opaść ramionom.

– Jakie imię obierasz? – wykrzykuje prawie Veronelli z energią wyzwoloną ulgą po usłyszeniu tego słowa aprobaty, której jeszcze przed chwilą wcale nie był pewny.

– Lino Stefano.

Wszyscy obecni, z wyjątkiem kamerlinga i kapelana trzymającego krzyż,

klękają szeleszcząc sutannami. Ettore Malvezzi po raz ostatni spogląda na ciemne okno, którego światło aż do dzisiaj go oświecało.

– Nazywać się więc będziesz Lino Stefano Pierwszy – mówi Veronelli, pomny w historii Kościoła papieży, którzy nosili imię Stefano bądź Lino, nie przypominając sobie jednak nikogo, kto połączyłby te dwa imiona. Przed oczami stanęli mu przez chwilę dwaj aniołowie, widziani we śnie. Klęka, żeby ucałować rękę nowego papieża z pierścieniem rybaka, który wcześniej wsunął mu na serdeczny palec.

Podczas gdy w dzień Bożego Narodzenia unosi się nad kominem Kaplicy Sykstyńskiej biały dym, kardynał kamerling poleca otworzyć na oścież okno balkonu Bazyliki Świętego Piotra, przygotowując wszystko na bliskie ogłoszenie *Habemus Papam*. Prowadzi potem orszak z nowym papieżem w białym stroju do Kaplicy Sykstyńskiej, gdzie czekają już na niego wszyscy kardynałowie, gotowi wyrazić mu cześć i przyrzec posłuszeństwo.